

*Skrzyżowanie Nostalgii Aniola
i Milczenia owiec*

METODA

SHANNON KIRK

SĄDZILI,
ŻE TO ONA
JEST OFIARĄ,
A BYŁO WRĘCZ
PRZECIWNIE

Prószyński i S-ka

METODA

SHANNON KIRK

Przełożył
Łukasz Praski

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

METHOD 15/33

Copyright © 2015 Shannon Kirk

All rights reserved

Projekt okładki

Wojciech Wawoczny

Zdjęcie na okładce

© Mohamad Itani/Plain Picture/East News

Redaktor prowadzący

Monika Kalinowska

Redakcja

Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta

Katarzyna Kusojć

Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8097-964-2

Warszawa 2017

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Dla moich najukochańszych,

Michaela i Maxa

„Rozwój mózgu można scharakteryzować
jako stopniowy rozrost potężnej,
samoorgani-zującej się sieci procesów,
w której następują złożone interakcje między genami a środowiskiem”.

KARNS I INNI, 11 LIPCA 2012, „JOURNAL OF NEUROSCIENCE”,

ALTERED CROSS-MODAL PROCESSING

(ODMIENNE PRZETWARZANIE KROSMODALNE)

[TYTUŁ SKRÓCONY]

ROZDZIAŁ 1

CZWARTY I PIĄTY DZIEŃ W NIEWOLI

Leżałam tam piątego dnia i snułam plany jego śmierci. Układanie w głowie listy atutów przynosiło mi ulgę... *obluzowana deska w podłodze, czerwony koc z dzianiny, wysoko osadzone okno, odsłonięte belki u sufitu, dziurka od klucza, mój stan...*

Pamiętam wszystkie swoje myśli, jak gdybym jeszcze raz to wszystko przeżywała, jakbym myślała o tym wszystkim właśnie teraz. *Znowu stoi za drzwiami*, myślę, chociaż minęło siedemnaście lat. Być może te dni na zawsze zostaną moją terażniejszością, bo ocalałam dzięki każdej godzinie i sekundzie mozolnego i drobiazgowego planowania strategii. Podczas tamtej udręki, której nie da się wymazać z pamięci, byłam zdana wyłącznie na siebie, a dziś muszę przyznać, nie bez dumy, że efekt, moje bezsprzeczne zwycięstwo, było wręcz majstersztykiem.

W dniu czwartym miałam już spory katalog atutów i zarys planu zemsty wraz z analizą różnych rozwiązań, opracowany bez żadnego długopisu czy ołówka, naszkicowany wyłącznie w głowie. Zdawałam sobie sprawę, że to trudna łamigłówka, postanowiłam ją jednak koniecznie rozwiązać... *obluzowana deska w podłodze, czerwony koc z dzianiny, wysoko osadzone okno, odsłonięte belki u sufitu, dziurka od klucza, mój stan... jak to wszystko się ze sobą łączy?*

Odświeżałam sobie tę zagadkę bez końca, szukając następnych atutów. *Ach, no oczywiście, wiadro. I... tak, skrzynia łóżka jest nowa, nie zdjął z niej folii. Dobra, jeszcze raz, wykombinuj coś z tego. Odsłonięte belki, wiadro, łóżko, folia, wysoko osadzone okno, obluzowana deska w podłodze, czerwony dzianinowy koc...*

Żeby dodać temu nieco naukowości, przypisałam im numery. *Obluzowana deska w podłodze (atut nr 1), czerwony koc z dzianiny (atut nr 5), folia...* Na początku dnia czwartego zestaw wydawał się skończony. Doszłam do wniosku, że będę potrzebowała więcej atutów.

Około południa myśli przerwało mi skrzypnięcie sosnowej podłogi za drzwiami sypialni, mojej celi. *To na pewno on. Lunch.* Zasuwa poruszyła się w prawo, klucz obrócił się w zamku, a on, nie przystając nawet na chwilę na progu, jak nakazywałaby przyzwoitość, wpadł do środka.

Jak zwykle upuścił na łóżko tacę ze znanym mi już jedzeniem, mlekiem w białym garnuszku i wodą w dziecięcym kubeczku. Żadnych sztuczków. Kawalek tarty z bekonem i jajkiem przyciśnięty do chleba domowej roboty na talerzu, krążku porcelany ozdobionym różowawą scenką rodzajową przedstawiającą

kobietę z dzbankiem i mężczyznę w kapeluszu z piórkiem z psem u boku. Nie cierpiałam tego talerza, czułam do niego tak nienaturalnie głęboką odrazę, że wzdygam się na samo wspomnienie. Na odwrocie miał napis „Wedgwood” i „Salvator”¹. *To będzie mój piąty posiłek na tym „wybawieniu”.* Nienawidzę tego talerza. *Ten talerz też zabiję.* Wygląda na to, że talerz, kubek i kubeczek to te same naczynia, których używałam podczas śniadania, lunchu i kolacji w trzecim dniu niewoli. Pierwsze dwa dni spędziłam w vanie.

– Jeszcze wody? – zapytał opryskliwym, głuchym i monotonnym głosem.

– Tak, poproszę.

Ten schemat zaczął się w trzecim dniu i przypuszczam, że właśnie dlatego zabrałam się na serio do układania planów. Pytanie stało się rutyną, przynosił mi jedzenie i upewniał się, czy chcę jeszcze wody. Postanowiłam odpowiadać „tak” i przygotowywałam się do wypowiedzenia tego słowa za każdym razem, chociaż ta sekwencja nie miała sensu. Dlaczego od razu nie przynosił mi większego kubka? Po co tyle zachodu? Wychodzi, zamyka drzwi na klucz, słychać brzęk rur w ścianach korytarza, charkot kranu, a potem plusk wody płynącej do umywalki, niewidocznej przez dziurkę od klucza. I wraca z plastikowym kubkiem letniej wody. Dlaczego? Powiem wam – wiele rzeczy na tym świecie pozostaje niewyjaśnionych, jedną z nich jest powód wielu zagadkowych czynności mojego strażnika.

– Dziękuję – powiedziałam po jego powrocie.

W drugiej godzinie pierwszego dnia postanowiłam, że będę próbowała udawać pensjonarską grzeczność i wdzięczność, ponieważ szybko odkryłam, że potrafię przechytryć tego czterdziestokilkuletniego mężczyznę, który mnie więził. *Pewnie jest po czterdziestce, wygląda na kogoś w wieku mojego taty.* Wiedziałam, że mam na tyle rozumu, żeby pokonać tego straszego obrzydliwca, a miałam zaledwie szesnaście wiosen.

Lunch czwartego dnia smakował tak samo jak lunch trzeciego. Być może jednak jego pożywność dała mi coś, czego potrzebowałam, bo zorientowałam się, że mam znacznie więcej atutów: czas, cierpliwość, dozgonną nienawiść, a poza tym, pijąc mleko z grubego kubka, zauważyłam, że wiadro ma metalowy pałak o ostrych końcach. *Muszę tylko wyjąć pałak. To może być oddzielny atut, niezależnie od wiadra.* Przebywałam wysoko w budynku, nie pod ziemią, jak przypuszczałam w pierwszym i drugim dniu. Sądząc po widocznej przez okno koronie drzewa i trzech kondygnacjach schodów, które musiałam pokonać, najprawdopodobniej byłam na trzecim piętrze. Tę wysokość uznałam za jeszcze jeden atut.

Dziwne, prawda? Czwartego dnia jeszcze mi się nie znudziło. Niektórzy mogliby sądzić, że jeżeli ktoś tkwi w zamkniętym na klucz pokoju, może ulec otępieniu albo urojeniom. Ja jednak miałam szczęście. Dwa pierwsze dni spędziłam

w drodze, a z powodu jakiegoś ogromnego błędu albo rażącej pomyłki w ocenie mój porywacz korzystał z vana, a van miał przyciemniane boczne szyby. Oczywiście nikt nie mógł zajrzeć do środka, ale ja mogłam wyglądać na zewnątrz. Obserwowałam i odnotowywałam naszą trasę w rejestrze w głowie, zwracając uwagę na szczegóły, których nigdy nie wykorzystałam, ale przez wiele dni zajmowałam myśli pracowitym wypalaniem trwałych danych w pamięci.

Gdybyście zapytali mnie dzisiaj, siedemnaście lat później, jakie kwiaty rosły przy zjeździe 33, powiedziałabym wam, że stokrotki dość gęsto poprzątkane pomarańczowymi jastrzębcami. Potrafiłabym wam namalować niebo, mglistą niebieskawą szarość gęstniejącą w rozmazane błoto. Zrekonstruowałabym też szczegółowo scenę, kiedy dwie minuty i dwadzieścia cztery sekundy po tym, jak minęliśmy kępę kwiatów, rozpętała się burza i z czarnej skłębionej masy nad nami sypnął wiosenny grad. Widziałam kulki lodu wielkości grochu, które zmusiły mojego porywacza do zaparkowania pod estakadą, gdzie trzy razy powiedział „kurwa mać”, wypalił jednego papierosa, wyrzucił niedopałek i ruszył w dalszą drogę trzy minuty i sześć sekund po uderzeniu pierwszej bryłki gradu w maskę vana. Przekształciłam czterdzieści osiem godzin szczegółów tej jazdy w film, który odtwarzałam codziennie w swojej celi, analizując każdą minutę, każdą sekundę, każdą klatkę, szukając wskazówek i atutów.

Z faktu, że van miał przyciemniane szyby, a kidnaper pozwolił mi oglądać trasę, szybko wyciągnęłam wniosek: zwiastun mojego uwięzienia to bezmyślna małpa działająca na autopilocie, zdalnie sterowany żołnierz. Siedziało mi się jednak wygodnie w fotelu, który przykręcił do podłogi furgonetki. Wystarczy powiedzieć, że chociaż ostro protestował przeciwko temu, że opaska ciągle zsuwała mi się z oczu, był albo zbyt leniwy, albo zbyt rozkojarzony, żeby porządnie zawiązać kawałek ceraty, dlatego dzięki mijanym znakom udało mi się ustalić kierunek naszej podróży: jechaliśmy na zachód.

Pierwszej nocy spał cztery godziny i osiemnaście minut. Ja dwie godziny i sześć minut. Po dwóch dniach i jednej nocy jazdy skręciliśmy w zjazd 74. Nawet nie pytajcie o ogromnie krępujące wizyty w toalecie podczas postojów na pustych parkingach.

Kiedy trasa się skończyła, samochód wolno skręcił na pochyły zjazd, a ja postanowiłam odmierzać czas, licząc sekundy i dla precyzji dodając w myśli „sto dwadzieścia”. *Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy...* 10,2 serii po sześćdziesiąt „stodwudziestek” później zaparkowaliśmy, silnik prychnął i umilkł. *10 minut i 12 sekund od autostrady.* Znad górnego rogu opadającej opaski na oczach dostrzegłam pole tonące w szarości zmierzchu i muśnięte białym blaskiem pełni księżyca. Furgonetkę otaczały wiotkie wici gałązek, drapiących karoserię. *Wierzba. Jak u babci. Ale to nie jest dom babci.*

Stoi z boku samochodu. Idzie po mnie. Będę musiała wysiąść. Nie chcę

wysiadać z vana.

Drgnęłam na dźwięk głośnego zgrzytu metalu o metal i trzasku rozsuwanych bocznych drzwi. *Jesteśmy na miejscu. Chyba jesteśmy na miejscu. Na miejscu.* Serce zaczęło mi tłuc w tempie łopotu skrzydełek kolibra. *Jesteśmy na miejscu.* Na czoło wystąpiły mi krople potu. *Jesteśmy na miejscu.* Moje opuszczone ramiona wyprostowały się i zeszywniały, tworząc z kręgosłupem literę T. *Jesteśmy na miejscu.* I znowu moje serce, które swoim rytmem mogłoby spowodować trzęsienie ziemi i rozkołysać morze, wywołując tsunami.

Do wnętrza samochodu wpadł lekki wietrzyk, jak gdyby przemknął obok mojego porywacza, żeby mnie pocieszyć. Przez krótką sekundę rozkoszowałam się pieśczołą chłodu, ale wyczuwalna bliskość tego człowieka sprawiła, że czar prysł niemal równie szybko, jak się pojawił. Oczywiście kidnaper był dla mnie częściowo niewidoczny z powodu opaski, która na w pół zasłaniała, na w pół odsłaniała mi oczy, ale czułam, że patrzy i zwleka. *No i jak wyglądam? Jak młoda dziewczyna przywiązana taśmą do fotela w twoim vanie? To dla ciebie normalne? Pieprzony kretynie.*

– Nie wrzeszczysz, nie płaczesz, nie błagasz mnie jak inne – powiedział takim tonem, jakby wreszcie pojął objawienie, które od dwóch dni nie dawało mu spokoju.

Szybko obróciłam głowę w jego stronę jak opętana, ruchem, który miał go wytrącić z równowagi. Nie wiem, czy mi się udało, ale przypuszczam, że się zachwiał i cofnął o krok.

– Lepiej byś się wtedy czuł? – zapytałam.

– Zamknij się, stuknięta suko. Gównu mnie obchodzi, co robicie, pieprzone szmaty – odpowiedział głośno i szybko, jak gdyby sobie przypominał, że on tu rządzi. Z dużej liczby decybeli domyśliłam się, że jesteśmy tu sami, gdziekolwiek jesteśmy. *Niedobrze. Może się tu spokojnie wydzierać. Jesteśmy sami. We dwoje.*

Z lekkiego przechyłu samochodu domyśliłam się, że złapał się framugi drzwi i wciągnął do środka. Stęknął z wysiłku, a ja zwróciłam uwagę na ciężki oddech palacza. *Typowy beznadziejny tłuścioch i niechluj.* Mignęły mi fragmenty i cienie jego ruchów, w świetle górnej lampki błysnął srebrzysty ostry kształt w jego ręce. Gdy tylko znalazł się blisko mnie, poczułam jego zapach, starego potu, ostry smród niemytego trzy dni ciała. Jego oddech cuchnął jak skwaśniała zupa. Skrzywiłam się, odwróciłam w stronę przyciemnianej szyby i wstrzymałam oddech, żeby zatkać sobie nozdrza.

Rozciął taśmę izolacyjną, która łączyła moje ręce z przykręconym do podłogi fotelem, i nałożył mi na głowę papierową torbę. *Aha, śmierdzieli, zorientowałaś się, że opaska jest do kitu.*

Zaczęłam się już oswajać ze złem, z którym pogodziłam się podczas podróży w tym fotelu, i nie miałam pojęcia, co mnie czeka. Nie protestowałam jednak,

kiedy ruszyliśmy w głąb farmy. Czując zapach pozostawiony przez krowy pasące się przez cały dzień i dotyk wysokich źdźbeł i łodyg, które trącały moje nogi, wywnioskowałam, że weszliśmy na pastwisko albo pole pszenicy.

Wieczorne powietrze drugiego dnia chłodziło moje ramiona i piersi, przenikając nawet przez czarną kurtkę przeciwdeszczową z podszewką. Mimo papierowej torby i opadającej ceratowej opaski na mojej twarzy drogę oświetlał nam blask księżyca. Czując lufę pistoletu na plecach, szłam pierwsza, przez sześćdziesiąt sekund brnąc na oślep wśród wysokich do kolan amerykańskich zbóż. Unosiłam wysoko nogi, żeby zaznaczać pauzy w liczeniu: słyszałam szuranie jego stóp, gdy deptał mi po piętach, trzymając mnie na muszce. I tak wyglądał nasz dwuosobowy pochód: *raz, szust, dwa, szust, trzy, szust, cztery*.

Porównałam mój smętny marsz do ostatniej drogi na wysuniętej za burtę desce, po której szli marynarze skazani na śmierć w morzu, i pomyślałam o swoim pierwszym atucie: *stałym lądzie*. Po chwili zmieniła się rzeźba terenu i nie wyczuwałam już obecności księżyca. Grunt zaczął się odrobinę uginać pod wymuszonymi i ciężkimi krokami moich stóp, a dotyk drobin kurzu na odkrytych kostkach powiedział mi, że znalazłam się chyba na gruntowej ścieżce. Na skórze obu rąk czułam drapanie gałęzi.

Brak światła + brak traw + gruntowa ścieżka + drzewa = las. Niedobrze.

Wydawało się, jakby puls na szyi i serce złapały zupełnie różny rytm, bo przypominałam sobie relację w Nightly News o innej nastolatce, którą znaleziono w lesie w jakimś innym stanie, daleko stąd. Jej tragedia wydawała mi się wtedy odległa i zupełnie oderwana od rzeczywistości. Odcięto jej ręce, odebrano niewinność, a zwłoki wrzucono do płytkiego grobu. Najgorsze były ślady pozostawione przez pumy i kojoty, które napoczęły ciało pod okiem nietoperzy o diabelskich ślepiach i gapiących się ponuro sów. *Przestań... licz... pamiętaj, że masz liczyć... licz dalej... skup się...*

Przez te okropne myśli zaczęłam się gubić. *Straciłam rachubę*. Żeby opanować przerażenie, zebrałam się w sobie, wciągnęłam do płuc haust powietrza i uspokoiłam kolibra trzepoczącego w piersiach, tak jak uczył mnie tato podczas naszych rodzinnych lekcji dźiu-dżitsu i tai chi i tak jak mówiły instrukcje w podręcznikach medycznych, które trzymałam w swoim laboratorium w piwnicy naszego domu.

Uwzględniając nagły skok poziomu strachu po wejściu do lasu, skorygowałam obliczenia o trzy cyfry. Kiedy doliczyłam do sześćdziesięciu, wypadliśmy z gęstwiny drzew w niską trawę, na nieosłonięte światło księżyca. *To pewnie polana. Nie, to nie polana. A może polana? Nawierzchnia drogi. Dlaczego nie zaparkowaliśmy tutaj? Stały ląd, stały ląd, stały ląd.*

Napotkaliśmy następną kępę niskiej trawy i stanęliśmy. Brzęknęły klucze: otworzyły się drzwi. Dopóki pamiętałam liczbę, zsumowałam i odnotowałam czas,

w którym pokonaliśmy drogę od samochodu do tych drzwi: *minuta i sześć sekund pieszko*.

Nie miałam okazji obejrzeć wnętrza budynku, do którego weszliśmy, ale wyobraziłam sobie biały dom. Porywacz poprowadził mnie od razu na schody. *Jedna kondygnacja, druga kondygnacja...* Na podeście trzeciego piętra obróciliśmy się o czterdzieści pięć stopni, zrobiliśmy trzy kroki i znowu stanęliśmy. Zadźwięczały klucze. Poruszyła się zasuwka. Szczęknął zamek. Skrzypnęły drzwi. Mężczyzna zdjął mi papierową torbę i opaskę, a potem wepchnął mnie do mojej celi, pokoju siedem na trzy i pół metra, bez drugiego wyjścia.

Pomieszczenie oświetlał księżyc wpadający przez trójkątne okno wysoko w ścianie po prawej stronie drzwi. Miejsce pośrodku zajmował materac szerokości półtora metra, na podstawie stojącej bezpośrednio na podłodze, ale otoczonej drewnianą ramą z bokami, poprzeczkami, słupkami i tak dalej. Wyglądało to tak, jakby komuś zabrakło sił albo zapomniał o listwach, na których powinien stać materac. Łóżko przypominało więc płótno malarskie, które nie zostało jeszcze przybite do blejtramu i leżało krzywo na ramie. Na prowizorycznym łóżku leżała biała bawełniana narzuta, jedna poduszka i czerwony koc z dzianiny. W górze równoległe do drzwi od ściany do ściany rozciągały się trzy odsłonięte belki: jedna nad progiem, druga rozdzielała prostokątny pokój na dwie części, trzecia biegła nad moim łóżkiem. Sufit był wysoki jak w katedrze, więc na pewno łatwo byłoby się powiesić na belce – gdyby ktoś chciał. Poza tym w pomieszczeniu nie było nic więcej. Niesamowicie czysto i pusto, jedyne urozmaicenie stanowił cichy szum. W tej próżni nawet mnich poczułby się nagi.

Podeszłam od razu do materaca na podłodze, a on wskazał mi wiadro, z którego miałam korzystać, gdybym musiała w nocy „wysikać się albo wysrać”. Po jego wyjściu księżyc zaczął pulsować mocniejszym światłem, jak gdyby też wypuścił powietrze wstrzymywane w galaktycznych płucach. Wyczerpana padłam na wznak w jaśniejszym już pokoju i skarciłam się za huśtawkę emocjonalną. *W drodze z furgonetki przeszłaś od niepokoju przez nienawiść, ulgę, aż do strachu, a potem niczego. Uspokój się, bo inaczej tego nie wygrasz.* Jak we wszystkich swoich eksperymentach potrzebowałam jakiegoś elementu stałego, a jedynym stałym elementem, jaki miałam do dyspozycji, było niezmaćcone opanowanie, do którego mogłam dodać sute porcje pogardy i bezdennej nienawiści, jeżeli były potrzebne, aby ją zachować. A wobec tego, co zobaczyłam i usłyszałam w zamknięciu, te uzależniające składniki okazały się naprawdę niezbędne. No i były łatwo dostępne.

Jeśli w niewoli udoskonaliłam jakiś talent, wszystko jedno, czy zasiany ręką Opatrzności, czy przyswojony drogą osmozy w ciągu życia w zimnym jak stal świecie mojej matki, czy wykształcony dzięki instrukcjom ojca, kiedy mnie uczył sztuk samoobrony, czy wynikający z naturalnego w moim stanie instynktu, to

bardzo przypominał umiejętności wielkich generałów: postawę pełną opanowania, niechęci, wyrachowania i mściwości.

Taki poziom spokoju nie był dla mnie niczym nowym. W szkole podstawowej pedagog nalegał nawet, żeby mnie zbadano, ponieważ nauczycieli martwiły moje beznamiętne reakcje i wyraźna niezdolność do odczuwania strachu. Nauczycielka w pierwszej klasie zaniepokoiła się, bo nie wybuchnąłam płaczem, nie zadygotałam ze strachu, nie piszczalam i nie krzyczałam – jak wszyscy inni – kiedy w naszej sali otworzył ogień uzbrojony bandzior. Jak pokazał zapis z kamer monitoringu, przyjrzałam się jego histerycznemu dygotowi, plamom potu, ospowatej cerze, powiększonym źrenicom, rozbieganym oczom, pokłutym rękoma i na szczęście kiepskiej celności. Do dziś to pamiętam, odpowiedź była jasna, był naćpany, pobudzony, pod wpływem kwasu albo heroiny, albo jednego i drugiego – tak, znałam te objawy. Za biurkiem nauczycielki, na półce pod dźwignią alarmu pożarowego, stał ręczny megafon, więc tam podeszłam. Zanim pociągnęłam dźwignię, krzyknęłam przez megafon NALOT! najniższym głosem, jaki potrafi wydobyć z siebie sześciolatek. Ćpun padł na ziemię, kuląc się w kałuży własnego moczu, bo zsiąkał się w spodnie.

Nagranie wideo, które spowodowało pilną potrzebę oceny mojej psychiki, pokazywało moje koleżanki, które darły się zbite w grupki, nauczycielkę, która na kolanach błagała Boga na niebie o litość, oraz mnie na stołku, z palcem na przycisku megafonu, który trzymałam przy biodrze, jak gdybym dyrygowała całym tym zamieszaniem. Przechylałam na bok uczesaną w kucyk głowę, rękę z megafonem opierałam o wypukły dziecięcy brzusek, a drugą trzymałam pod brodą i uśmiechałam się subtelnie z filuternym błyskiem w oku, patrząc z aprobatą na policjantów, którzy rzucili się na złoczyńcę.

Mimo to po przeprowadzeniu długiej serii testów psychiatry dziecięcy oznajmił moim rodzicom, że jestem w pełni zdolna do odczuwania emocji, ale potrafię też wyjątkowo skutecznie tłumić jałowe myśli i wszystko, co może mnie rozproszyć.

– Z tomografii mózgu wynika, że jej płat czołowy, który odpowiada za myślenie i planowanie, jest większy niż zwykle. 99. centyl. Mówiąc wprost, najzupełniej szczerze, na sto jeden procent – powiedział – nie jest socjopatką. Rozumie i potrafi zdecydować, czy chce odczuwać emocje. Ale potrafi też sama zdecydować, że nie będzie nic czuła. Córka państwa twierdzi, że ma wewnętrzny przełącznik, którego może w każdej chwili użyć, żeby doznać takich uczuć jak radość, strach, miłość. – Odkaslnął, chrząknął, po czym kontynuował: – Proszę państwa, nigdy nie miałem podobnego pacjenta. Ale wystarczy przywołać Einstei-na, żeby zrozumieć, jak bardzo nie rozumiemy ograniczeń ludzkiego mózgu. Według niektórych korzystamy jedynie z ułamka naszych możliwości. Córka państwa... hm, potrafi wykorzystać coś więcej. Nie wiem jednak, czy ta

wiadomość to przekleństwo, czy błogosławieństwo. – Nie wiedzieli, że wszystko słyszałam przez szparę w drzwiach jego gabinetu. I zapisałam każde słowo na twardym dysku w głowie.

To o przełączniku było mniej więcej prawdą. Może co nieco uprościłam. To bardziej kwestia wyboru, ale ponieważ trudno jest wyjaśnić wybór dokonywany w umyśle, powiedziałam, że to przełącznik. W każdym razie miałam szczęście, że trafiłam na takiego dobrego lekarza. Słuchał mnie i nie oceniał. Ufał mi i nie okazywał sceptycyzmu. Naprawdę wierzył w tajemnice medycyny. W dniu, w którym przestałam być jego pacjentką, pstryknęłam przełącznikiem i uściskałam doktora.

Badali mnie przez kilka tygodni, napisali jakieś dokumenty, a potem rodzice przywrócili mi w miarę normalne życie: chodziłam do pierwszej klasy i zbudowałam sobie laboratorium w piwnicy.

* * *

Od trzeciego dnia niewoli – pierwszego po opuszczeniu furgonetki – zaczęliśmy budować schemat. Trzy posiłki dziennie, podawane przez niego na tym idiotycznym porcelanowym talerzu, mleko w białym ceramicznym garnuszku, kubeczek wody, a po nim większy kubeczek letniej wody. Po każdym posiłku zabierał tacę z pustym talerzem, kubek i kubeczki, przypominając mi, żebym pukała tylko wtedy, gdy będę musiała skorzystać z toalety. Gdyby nie otworzył mi na czas, miałam „użyć wiadra”. Nigdy nie użyłam wiadra. W każdym razie nie po to, żeby się załatwić.

Odtąd nasze nowe procedury od czasu do czasu przerywali goście. Tak, podczas każdej z tych wizyt miałam zawiązane oczy, dlatego wówczas nie udało mi się ich dokładnie zidentyfikować. Ale po tym, co się stało siedemnastego dnia, zaczęłam katalogować wszystkie szczegóły, żeby później wziąć odwet, nie tylko na moim porywaczu, ale i na odwiedzających moją celę. Nie miałam tylko pojęcia, co począć z ekipą w kuchni na dole. Ale na razie nie sprzedajmy faktów.

Mój pierwszy gość pojawił się dnia trzeciego. Na pewno znał się na medycynie i miał zimne palce. Nazwałam go „Doktor”. Drugi gość przyszedł czwartego dnia w towarzystwie Doktora, który oznajmił:

– W sumie czuje się całkiem dobrze.

Drugi z gości ściszonego tonem spytał:

– A więc to ona? – Słyszac te odkrywcze słowa, nazwałam go „Banalarz”.

Kiedy Doktor i Banalarz wychodzili, Doktor poradził mojemu strażnikowi, żeby mnie nie denerwował i by zapewnił mi spokój. Ale zmiana, która zapewniłaby mi spokój, nastąpiła dopiero pod koniec czwartego dnia, kiedy poprosiłam o atuty nr 14, 15 i 16.

Tak więc kiedy czwartego dnia mojej niewoli zaczęło się ściemniać, znów

skrzypnęły deski podłogi. Przez atut nr 8, czyli dziurkę od klucza, odczytałam porę – *kolacja*. Otworzył drzwi i podał mi tacę z talerzem w absurdalny wzorek, garnuszek mleka i kubeczek wody. *Znowu tarta i chleb*.

– Masz.

– Dziękuję.

– Jeszcze wody?

– Tak, poproszę.

Szczęk zamka, brzęk rur, szum wody z kranu, wraca: woda. *Dlaczego, dlaczego, dlaczego ciągle to robi?*

Odwrócił się do wyjścia.

Z opuszczoną głową najbardziej uległym i bezbarwnym głosem, jaki mogłam znieść, powiedziałam:

– Przepraszam. Mam trudności z zaśnięciem i chciałabym spytać, czy to by sprawiło kłopot... no, gdybym mogła obejrzeć telewizję albo posłuchać radia, albo poczytać czy nawet porysować, gdybym mogła dostać jakiś papier i ołówek, może to by... pomogło?

Przygotowałam się na ostrą tyradę, a nawet fizyczną przemoc za swoje zuchwalstwo.

Zgromił mnie wzrokiem, burknął coś i wyszedł, nie reagując na moją prośbę.

Mniej więcej czterdzieści pięć minut później usłyszałam znajome już skrzypienie podłogi. Domyśliłam się, że przyszedł, zgodnie z ustalonym schematem, po talerz i kubki. Kiedy jednak otworzył drzwi, zobaczyłam, że dźwiga oparty o szeroką pierś stary dziewiętnastocalowy telewizor, radio z wyprzedaży staroci, długości około trzydziestu centymetrów, a pod pachą trzyma blok biurowy i dość długi plastikowy piórnik. Różowy piórnik z dwoma konikami na boku, jaki kupuje się na rozpoczęcie szkoły i gubi po tygodniu. Zaczęłam się zastanawiać, czy jestem w budynku szkoły. *Musi być już nieczynna, skoro tu jestem.*

– Nie prosz już o żadne pierdoły – fuknął, zabierając tacę z mojego łóżka gwałtownym ruchem, aż brzęknęły i przewróciły się puste naczynia. Potem zatrzasnął za sobą drzwi. Hałas. Robił wokół siebie uciążliwy hałas.

Studząc oczekiwania, rozsunęłam zamek różowego piórnika, spodziewając się znaleźć tam krótki i tępy ołówek.

Nic podobnego. Nie tylko dwa nowe ołówki, ale jeszcze trzydziestocentymetrowa linijka, a do tego temperówka. Czarna temperówka miała na boku numer 15. Od razu uznałam ją za bardzo cenny atut, któremu nadałam numer 15, mając na uwadze zwłaszcza ukryte wewnątrz ostrze. *Atut nr 15 stawil się z własnym oznaczeniem.* Uśmiechnęłam się na tę zabawną myśl, że temperówka świadomie i celowo dołącza do mojego spisku, meldując się na służbę jak wierny żołnierz, i postanowiłam, że „15” będzie częścią nazwy planu mojej ucieczki.

Żeby więc dowartościować mojego porywacza i dać mu do zrozumienia, że

jestem mu wdzięczna za trud, włączyłam atut nr 14, telewizor, i udawałam, że oglądam. Oczywiście nic mnie nie obchodziło jego dobre samopoczucie, ale to jedna ze sztuczek, aby oszukać naszych wrogów, ukołysać i uspić ich czujność, dopóki nie nadejdzie pora, by uruchomić pułapkę, pociągnąć za sznurek i uderzyć w nich szybką ręką śmierci. No, może nie aż tak szybko, może to potrwa odrobinę dłużej. *Musi troszkę pocierpieć.* Odczepiłam kabłąk od wiadra i użyłam jego ostrych końców jako śrubokrętu.

Tej nocy żadne stworzenie w budynku i jego okolicy nie było przytomniejsze ode mnie. Nawet księżyc skurczył się do bladego okrucha, kiedy pracowałam przez całą czwartą noc.

Kiedy piątego dnia przyniósł mi śniadanie, znów na tym wstrętnym porcelanowym talerzu, nie zauważył subtelnej różnicy, jaka zaszła w mojej celi. Przy lunchu stłumiłam chichot, gdy zapytał, czy chcę jeszcze wody.

– Tak, poproszę.

Nie miał pojęcia, co go czeka ani jaki trud potrafię sobie zadać, żeby wymierzyć swój rodzaj sprawiedliwości.

* * *

Nie obchodzi mnie, co wtedy mówiono w wiadomościach, w każdym razie nie uciekłam. Oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym uciec? Pewnie, że byli wściekli. Szaleli ze złości, ale wiedziałam, że będę w nich miała wsparcie. Byli moimi rodzicami, a ja ich jedynym dzieckiem.

– Przecież jesteś prymuską, prawda? Co zamierzasz zrobić ze szkołą? – zapytał ojciec.

Jeszcze bardziej zdumieli się w przychodni, kiedy się dowiedzieli, że ukrywałam swój stan przez siedem miesięcy.

– Jak może być w siódmym miesiącu ciąży? – zwróciła się do ginekologa matka, choć jej głos nie pasował do spojrzenia, jakim zmierzyła moją sylwetkę, która nie budziła żadnych wątpliwości.

W rzeczywistości wcale nie „przybrałam trochę na wadze”, ale pod nabrzmiewającym biustem urosła mi idealnie krągła kula. Matka, zawstydzona, że tak się łudziła, zwiesiła głowę i zaczęła płakać. Ojciec niepewnie położył jej dłoń na plecach, nie wiedząc za bardzo, co ma począć z kobietą, której rzadko zdarzało się uronić łzę. Lekarz popatrzył na mnie i ściągnął usta, choć życzliwie, po czym zmienił temat, skupiając się na najbliższej przyszłości.

– Będziemy musieli się z nią zobaczyć w przyszłym tygodniu. Chcę zrobić kilka badań. Proszę podejść do rejestracji i ustalić termin.

Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz, byłabym bardziej spostrzegawcza i wpadłabym na ten trop w czasie rzeczywistym. Ale byłam za bardzo zajęta rozczarowaniem rodziców, że bym mogła zwrócić uwagę na fałsz

w piorunującym wzroku rejestratorki czy w zielonej mgiele otaczającej jej postać, która wydawała się nie pasować do tego miejsca. Teraz jednak pamiętam; podświadomie zarejestrowałam wtedy tę informację. Kiedy podeszliśmy do kobiety o zielonych oczach, białych włosach ściągniętych w kok i ze sztucznym różem na policzkach, zwracała się tylko do mojej matki.

– Co powiedział lekarz, kiedy ma się zgłosić? – zapytała rejestratorka.

– Powiedział, że w przyszłym tygodniu – odpowiedziała matka.

Ojciec zawisł nad ladą, wysuwając głowę obok matki i stojąc tuż za nią; wyglądali jak dwugłowy smok na czterech nogach.

Matka bawiła się torebką, a drugą rękę otwierała i zamykała, jak gdyby przy udzie trzymała niewidzialną piłeczkę antystresową. Rejestratorka studiowała terminarz.

– Może w przyszły wtorek o drugiej? Zaraz, przecież będzie w szkole, prawda? Chodzi do Prospect?

Matka nie znosi jałowych rozmów. W innej sytuacji zignorowałaby czy nawet skwitowała kpiącym uśmiechem zupełnie nieistotne pytanie o moją szkołę. W innej sytuacji być może odpowiedziałaby na takie zbędne pytanie własnym i zjadliwym: „Czy to naprawdę takie ważne, do której szkoły chodzi?”. Jest impulsywna i nie ma cierpliwości do osób, które marnują jej czas, i do ludzkiej głupoty. Wybuchowa, bardzo kompetentna, wymagająca, metodyczna i pełna pogardy – oto jej cechy: jest adwokatem. Ale tamtego dnia była tylko zrozpaczoną matką, więc pospiesznie odpowiedziała na pytanie, gorączkowo przeglądając swój kalendarz.

– Tak, tak, do Prospect. Może wpół do czwartej?

– Oczywiście. Zapiszemy ją na wpół do czwartej w przyszły wtorek.

– Dziękuję. – Matka już jej prawie nie słuchała i szybko wyprowadziła mnie i ojca z przychodni. Rejestratorka ciągle się nam jednak przyglądała, a ja przyglądałam się, jak się przygląda. Pomyślałam wtedy, że po prostu zbiera do kolekcji plotkę o „nieszczęsnej” ciąży nastolatki z „prominentnej rodziny” w mieście.

Oczywiście znała nasz adres z dokumentów i właśnie się dowiedziała, że nie ucę się w żadnej z miejscowych szkół prywatnych, wiedziała więc, że mieszkam skrzyżowanie od szkoły publicznej, z czego z kolei wyciągnęła prawidłowy wniosek, że chodzę do szkoły pieszo, gęsto zadrzewioną, pustą drogą. Podano mnie tej wywiadowczyni jak na tacy, zostałam ofiarą idealną. Przymrużone oczy nad zakrzywionym nosem, w których malowało się wyrachowanie, były zapowiedzią, że przystąpiła do działania w tej samej sekundzie, gdy wyszliśmy z przychodni. Może pamięć mnie zawodzi i ustępuje miejsca wyobraźni, ale mam w głowie obraz, jak podnosi słuchawkę telefonu i zasłania pociągnięte różową szminką usta. Na tym obrazie jej zielone oczy są cały czas utkwione we mnie, kiedy na nią

patrzę.

Matka z całą pewnością znacznie wcześniej zauważyłaby mój stan, gdyby nie fakt, że prawie całe trzy ostatnie miesiące spędziła na rozprawie w sądzie dla Południowego Dystryktu Nowego Jorku. Pojawiła się w domu na jeden weekend, w który postarałam się wyjechać „z koleżanką na narty do Vermont”. Ojciec raz pojechał do niej pociągiem. Zostałam wtedy w domu, bez opieki, ale obdarzona zaufaniem, że pilnie odrabiam zadania domowe i przeprowadzam eksperymenty laboratoryjne w piwnicy.

Nie zrozumcie mnie źle, matka nas kocha. Ojciec i ja wiedzieliśmy jednak, że lepiej zostawić ją w spokoju, gdy jest w „trybie procesowym”, w stanie wojny, kiedy zachowywała się, jakby miała klapki na oczach, nie widząc nic prócz swojego zadania, zwyczajstwa i pomyślnego wyroku, co udawało się jej w 99,8 procent przypadków. Niezłe proporcje. Korporacje ją uwielbiały. Pozywający jej nienawidzili. Jednostki śledcze Departamentu Sprawiedliwości, komisji papierów wartościowych, federalnej komisji handlu i prokuratury federalnej uważały ją za „diabła wcielonego”. Prasa liberalna stale mieszała ją z błotem, dzięki czemu rosła tylko liczba jej klientów i umacniała się reputacja czarodziejki do spraw niemożliwych. „Okrutna”, „nieugięta”, „niezmordowana”, „bezwzględna intrygantka”, to tylko niektóre z określeń używanych przez gazety, które matka powiększała, oprawiała w ramki i wieszała na ścianie gabinetu. Czy jest okrutna? Osobiście uważam, że jest dość łagodna.

Ojciec na pewno nie wypytałby mnie o przybieranie na wadze, bo dostrzega szczegóły tylko w maleńkich, niewykrywalnych drobinkach, takich jak kwarki i protony. Kiedyś komandos w Navy Seals, został fizykiem i specjalizuje się w radioterapii. W tamtym momencie naszego życia gorączkowo pracował nad książką, którą u niego zamówiono, o zastosowaniu baloników ze źródłem promieniowania w leczeniu raka piersi. O ile sobie przypominam, też miał klapki na oczach. Matka nie widziała nic oprócz procesu, ojciec nic oprócz terminu oddania tekstu. Przy tym nadzwyczajnym splocie nieobecności rodziców i tempie ich życia mój stan pozostał niezauważony. Ale tu nie chodzi o winę. Chodzi o fakty. Sama wpakowałam się w tę sytuację. Mój stan był moim własnym dziełem, no i oczywiście czymś jeszcze. I nigdy nie żałowałam tego, co niektórzy mogliby nazwać „błędem”. Ja nigdy bym tego tak nie nazwała.

W drodze z przychodni do domu siedziałam w samochodzie z tyłu i milczałam, jak najdłużej zdołałam. Rodzice z przodu trzymali się za ręce i pocieszali nawzajem, nie wytykając mnie palcami. Przypuszczałam, że matkę dręczą wyrzuty macierzyńskiego sumienia, próbowałam więc ją przekonać, że jej kariera nie ma nic wspólnego z moim trudnym położeniem.

– Mamo, nie planowałam tego, ale uwierz mi, to by się stało, nawet gdybyś cały dzień siedziała w domu i piekła brownie. Współczynnik ryzyka zajścia w ciążę

wynosi przeciętnie dwie setne procent w przypadku lateksowej prezerwatywy, poza tym... – Urwałam, ponieważ w tym momencie ojciec wydał odgłos zakłopotania, ale i tak kontynuowałam; w końcu nauka jest obiektywna. – Biologia zawsze znajdzie sposób, nawet przy najmniejszym prawdopodobieństwie. Ciągle mam najwyższe oceny. Nie biorę narkotyków. Zamierzam skończyć szkołę. Potrzebna mi tylko wasza pomoc.

Jak mogłam się spodziewać, usłyszałam litanie kazań o ich rozczarowaniu, o tym, że jestem zupełnie nieprzygotowana do takiej odpowiedzialności i że utrudniłam sobie życie, podczas gdy powinnam cieszyć się dzieciństwem i myśleć o znalezieniu odpowiedniego college'u.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego wcześniej nie przyszedł z tym do mnie i dlaczego postanowiłaś ujawnić to w taki sposób. Po prostu nie rozumiem – powiedziała matka ze wzrokiem pociemniałym od przygnębienia, jakiego nigdy u niej nie widziałam. Rzeczywiście, pokazałam jej moją ciążę w sposób trochę... hm, brutalny. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Nie odpowiadałam, ilekroć pytała mnie, dlaczego nie powiedziałam jej wcześniej, bo mówiąc szczerze, nie wiedziałam, jak odpowiedzieć, żeby jej nie urazić. Kiedy często zapominasz włączyć emocje, działasz tylko na podstawie faktów, praktycznej strony rzeczywistości. A rzeczywistość była taka, że zgodnie z prawdą byłam w ciąży i uważałam, że zakłócanie matce pracy podczas rozprawy nie ma żadnego praktycznego uzasadnienia. Rozumiem, że to może być trudne do zrozumienia. Może ta opowieść pomoże wytłumaczyć, nawet mnie samej, powody moich myśli. Moich działań i braku działań.

– Przecież cię kochamy, bardzo. Damy sobie radę. Razem damy sobie radę – powiedziała. Powtarzała to jak mantrę. „Damy sobie radę”, mamrotała pod nosem przez resztę tygodnia, dając sobie instrukcje do działania. A kiedy się uspokoiła, wróciła do znanego bezpiecznego schronienia: skrupulatnego planowania strategii. Zadzwoiła do swojego biura i zawiadomiła, że wróci do pracy dopiero w poniedziałek. Zaopatrzyła mnie w odpowiednie preparaty witaminowe dla kobiet w ciąży i zmieniła swoją bibliotekę w pokój dziecienny. Robiłam wszystko, co mi kazała, przyjmując jej wsparcie z ulgą i wdzięcznością, a kiedy w wolnych chwilach zwalniałam mój przełącznik lęku, byłam śmiertelnie przerażona.

W poniedziałek po wizycie w przychodni, dzień przed umówionym terminem badań u ginekologa, przed wyjściem do szkoły narzuciłam czarną kurtkę przeciwdeszczową z podszewką i chwyciłam parasol. W plecaku oprócz książek miałam parę spodni ze streczu, sportowy biustonosz, skarpetki i zmianę bielizny – potrzebne na zajęcia z jogi po lekcjach, na które się nie zapisałam. To był drobny szczegół, pozostałość po miesiącach niezamierzonego oszustwa, o której nie powiedziałam rodzicom, ponieważ ćwiczyłam jogę za radą książki o ciąży, którą ukradłam z biblioteki. Krótko mówiąc, dla kogoś, kto o tym nie wiedział,

wyglądało to, jakbym zabierała ubranie na zmianę.

Zarzuciłam plecak na ramiona i skulona wyszłam za próg, gdzie przystanąłam. *Niech to szlag, zapomniałam o pinezkach i farbie do włosów na plastykę. I o lunchu. Lepiej wezmę dwa, żeby nie zemdleć po ćwiczeniach.* Nie zamykając drzwi, podeszłam do drewnianego blatu w kuchni, złapałam pinezki – przydziałowe megaopakowanie z kancelarii matki – i farbę do włosów, po czym wrzuciłam jedno i drugie do plecaka, który położyłam na blacie. Potem zrobiłam sobie cztery kanapki z masłem orzechowym i dżemem, które też wrzuciłam, a ponieważ nie miałam czasu na rozkładanie wszystkiego na czynniki pierwsze, wepchnęłam jeszcze do plecaka całą puszkę orzeszków ziemnych, kiść bananów i dwulitrową butlę wody. Spróbujcie sami być szesnastolatką w ciąży. Można zgłodnieć.

Z wypchaną paką na plecach i brzuchem przed sobą wyglądałam jak koślavo narysowane koło na patykawatych nogach. Przygnieciona tym ciężarem, starając się utrzymać równowagę, wyszłam na wysypany żwirem podjazd. Przy skrzynce na listy z niewiadomego powodu musiałam przystanąć i popatrzeć na dom, na brązowy dach mansardowy w cieniu sosnowego lasu. Na czerwone drzwi. Chyba chciałam sprawdzić, czy nie ma samochodów rodziców, i upewnić się, że wrócili do pracy – do normalnego życia. Być może świadomość, że kontynuują codzienne zajęcia mimo wstrząsów w rodzinie, dała mi poczucie bezpieczeństwa.

Z końca podjazdu mogłam skrócić w lewo lub w prawo, mając do wyboru dwie drogi równej długości: w lewo do tylnego wejścia do szkoły, a w prawo do głównego wejścia. Kiedyś obliczyłam czas, pokonanie trasy w lewo trwało trzy i pół minuty, w prawo trzy minuty i pięćdziesiąt sekund, do samych drzwi. Decyzja, czy pójść w lewo, czy w prawo, zależała wyłącznie od mojego kaprysu. W tamten poniedziałek mój kaprys się pomylił.

Skreśliłam w prawo i szłam pod czarnym okapem parasola w kierunku zatłoczonej samochodami drogi. Na moją płócienną osłonę i ziemię dookoła padały gęsto grube krople deszczu, jak gdyby zaczął się nalot albo wrócił tamten bandzior. Ilekroć słyszę taką kanonadę, myślę o swojej pierwszej klasie, więc naturalnie pomyślałam o dzwonek alarmowych i widoku policjantów zwalających się na leżącego ćpuna. Rozkojarzona tym makabrycznym wspomnieniem, nie zauważyłam, że mokry i szary jak glina poranek to preludium, zapowiedź nieszczęścia.

Gdybym poszła w lewo, nie mógłby zatrzymać vana obok mnie, żeby mnie zaskoczyć. Urządziłby widowisko, bo miałyby do dyspozycji tylko kawałek drogi i pięć sekund, żeby wciągnąć mnie do środka, przez nikogo niezauważony. Dobrze to zaplanowali. Pewnie też przeciwiczyli. Z początku przypuszczałam, że jestem warta, by poświęcić mi tyle czasu i trudu. Zdrowa, młoda blondynka ze zdrowym chłopczykiem w brzuchu. Amerykańska prymuska z zamożnej rodziny,

przed którą rysuje się perspektywa błyskotliwej kariery naukowej. Dostawałam nagrody za zaawansowane eksperymenty, prezentacje, modele i opracowania. Każdego lata, odkąd skończyłam sześć lat, jeździłam na obozy naukowe, a przez cały rok brałam udział w prywatnych konkursach. Z pomocą rodziców zbudowałam w piwnicy laboratorium wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt. W moim świecie nie było miejsca na zwykły mikroskop ze sklepu. Mój sprzęt pochodził z tych samych katalogów, z których korzystały czołowe uniwersytety i międzynarodowe korporacje farmaceutyczne. Badałam, mierzyłam, liczyłam, obliczałam. Wszystko jedno, czy to była fizyka, chemia, medycyna, mikrobiologia, uwielbiałam wszystkie dziedziny wymagające ładu i porównywania, obliczeń i teorii do udowodnienia. Chuchano i dmuchano na moje naukowe hobby, a zapracowani rodzice rozpieszczali mnie nadmiarem pieniędzy. *Moje dziecko i ja jesteśmy bardzo cenni*, pomyślałam w momencie porwania. Ku swojemu wielkiemu rozgoryczeniu wkrótce jednak dostałam bolesną nauczkę: nie chciano nas z powodu rozumu ani okupu.

Po prawie dwudziestu krokach mojej codziennej drogi do szkoły z cichym szelestem podjechał do mnie od lewej bordowy van, którego zagłuszył grzmot burzy. Rozsunęły się boczne drzwi i brzuchaty mężczyzna wciągnął mnie do środka. Tak po prostu. I tak błyskawicznie. Rzucił mnie na fotel przykręcony do podłogi z trapezowej blachy. Podetkał mi pistolet pod nos tak blisko, że stał stuknęła o moje zęby i poczułam smak, jaki zostaje w ustach, kiedy przypadkiem ugryzie się widelec. Obok śmignął jakiś samochód, rozchlapując powstające na jezdni kałuże, zupełnie nieświadomy mojego losu. Instynktownie skrzyżowałam ręce, by zasłonić brzuch. Zauważył mój gest; przyłożył mi lufę do pępka.

– Tylko się, kurwa, ruszysz, a wpakuję kulę w dziecko.

Zastygłam w bezruchu i dech zamarł mi w piersi. Nawet serce przestało na moment bić, choć waliło jak szalone. Zwykle jestem odporna na takie wstrząsy – tylko głęboki szok potrafiłby przyspieszyć mi tętno. Podczas dni spędzonych w niewoli pokonałam tę wadę. Wtedy jednak, w furgonetce, obezwładniona przyływem emocji, usiadłam jak odrętwiała, kiedy mnie popchnął, zerwał mi z ramion plecak i rzucił na podłogę obok otwartego parasola. Pistolet położył na oliwkowej kuchence, przymocowanej do przeciwległej ściany vana gumowymi linkami. Potem oderwał moje ręce od brzucha i przywiązał je do oparcia fotela, okręcając nadgarstki taśmą izolacyjną. Z niewyjaśnionych powodów, których nigdy nie potrafiłam zrozumieć, z kawałka zielonej ceraty zwinął dość marną opaskę na oczy. *Przecież cię zobaczyłam. Twoje czarne oczka, obrzmiałą twarz z nieregularnym zarostem, twoją paskudną cerę.*

Właśnie tak szybko odbyło się moje porwanie. Zostałam porwana, bo skręciłam w prawo. A zostałam zaatakowana z lewej.

Zamknął parasol, wrzucił go do tyłu, po czym wziął pistolet i pochyłony

wrócił za kierownicę. Nie widziałam tego wszystkiego, ale wyczuwałam albo słyszałam, w formie ruchu mikrowłókien w powietrzu, mikrodecybeli drżących w ułamkach czasu. W formie takich właśnie subatomowych cząstek, które teraz regularnie zasypują mi pamięć.

– Dokąd mnie zabierasz? – krzyknęłam.

Nic nie powiedział.

– Ile chcesz? Moi rodzice zapłacą. Proszę cię, wypuść mnie.

– Nie chcemy twoich pieniędzy, suko. Jak tylko urodzisz nam to dziecko, wrzucę cię do kamieniołomu z resztą takich szmat jak ty. Kurwa, zamknij się, bo przysięgam, że cię zabiję. Nie chcę żadnych pieprzonych numerów. Słyszysz mnie?

Nie odpowiedziałam.

– Kurwa mać, słyszysz mnie?!

– Tak.

Tak wyglądały fakty. Postawiłam stopę na plecaku, żeby nie ześliznął się po podłodze.

1 *Salvator* (łac., a także przestarzałe w ang.) – wybawca, zbawiciel (wszystkie przypisy tłumacza).

ROZDZIAŁ 2

AGENT SPECJALNY ROGER LIU

Kiedy przydzielono mi sprawę numer 332578, sprawę Dorothy M. Salucci, pracowałem w FBI od piętnastu lat. Zajmowałem się porwaniami dzieci, a to naprawdę ciężki los. Jeśli chodzi o Dorothy M. Salucci, jej sprawa nadal jest najtrudniejszą ze wszystkich, jakie miałem do rozwiązania w swojej karierze. Ostatecznie z jej powodu odszedłem z FBI. Piętnaście lat koszmaru wystarczy.

Może lepiej zacznę od początku.

Pierwszego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku odebrałem telefon z informacją o nastolatce w ciąży, którą porwano przed szkołą. Sprawa pasowała do schematu innych, nad którymi pracowałem w ciągu poprzedniego roku: nastolatka w ciąży, między szóstym a ósmym miesiącem, biała, nierozwiedzeni rodzice. Trudność w tych śledztwach polegała na tym, że początkowo błędnie uznawano porwanie za ucieczkę. Statystycznie rzecz biorąc, rocznie ucieka z domu aż 1,3 miliona nastolatków, wśród nich wysoki odsetek z powodu niechcianej ciąży. Ta statystyka oznacza, że przepadają kluczowe dowody, a możliwości i środki kurczą się z dnia na dzień, właściwie z godziny na godzinę, a czasem to wręcz kwestia minut, sekund.

W sprawie Dorothy M. Salucci mieliśmy jej chłopaka oraz rodziców, nierozwiedzionych, na pozór oddanych córce, którzy utrzymywali, że Dorothy na pewno nie uciekła. Zebrałem informacje o zaginionej blondynce, zwracając uwagę na jej dobre wyniki w szkole i status prymuski, przesłuchałem rodzinę i chłopaka i doszedłem do wniosku, że sprawa wymaga poświęcenia całej uwagi.

Pierwszego dnia śledztwa dotarłem na miejsce około dziesiątej rano, żeby rozpocząć przesłuchania i pracę w terenie. Stało się to niestety dopiero dzień po porwaniu. Scenariusz: rodzice wrócili do domu z pracy → dziecka nie było → zawiadomili policję → szukali całą noc → przez całą noc obdzwonili wszystkich kolegów i koleżanki → rano córka nie wróciła do domu → powiadomiono FBI → sprawa ląduje na moim biurku. Razem z miejscową policją i moją partnerką przepytaliśmy wszystkich w szkole, szukając osoby, która mogła coś widzieć tego dnia rano, gdy dziewczyna zniknęła. Wiedzieliśmy, że stało się to rano, ponieważ ojciec twierdził, że przed wyjściem do pracy obudził Dorothy. Dyrektor potwierdził, że nie pojawiła się w szkole, a z powodu jakiegoś sporego zamieszania nikt nie zadzwonił do rodziców. Wskazano podejrzanych. Ujawniono dowody na to, że Dorothy zjadła śniadanie, jej samochód stał w garażu. Nawiasem mówiąc, współpracownicy jej ojca i zapis z kamer w jego firmie potwierdzili jego przyjazd

do pracy o 7.32. Wyglądał całkiem spokojnie i normalnie. Ojca nie podejrzewałem.

Firma matki potwierdziła, że zjawiła się w pracy punktualnie jak zawsze; według pracownika ochrony, który zapisywał wszystkie wejścia i wyjścia, przyjechała o 6.59. Zapis wideo z McDonalda, gdzie zatrzymała się po kawę, pokazywał normalną transakcję dokonaną w okienku dla zmotoryzowanych w drodze do pracy. Moja partnerka i ja oglądaliśmy taśmę, na której nuciła i poprawiała usta szminką, patrząc we wsteczne lustro; sprawiała wrażenie rozmarzonej i pogodnej. Nie podejrzewałem matki.

Chłopak Dorothy na komisariacie policji ze szlochem zapewniał o swoim dozgonnym uczuciu do niej i ich nienarodzonego dziecka. Jego matka utrzymywała, że podwoziła go do szkoły tuż przed wpół do dziewiątej, a wychowawca przypominał sobie, że rzeczywiście pojawił się w samą porę, ponieważ zamknął drzwi równo z dzwonkiem. Chłopaka też nie podejrzewałem, nie podejrzewałem również jego matki o kłamstwo. Mimo to poleciłem ich oboje obserwować.

W trakcie oględzin miejsca odkryliśmy dwa tropy. Policjanci znaleźli czarną tenisówkę Converse All Star, która spadła z nasypu drogi w krzaki obok pobocza, około dwudziestu metrów od domu Dorothy. Rodzice potwierdzili, że to własność jej córki, płacząc na widok rozwiązanego sznurowadła. Drugi trop pochodził z zeznania pewnej matki, która w dzień porwania podwoziła córkę do szkoły. Nigdy nie zapomnę jej słów:

– Pamiętam, że zobaczyłam, jak zatrzymuje się bordowa furgonetka... Zabawne. Wtedy nie sądziłam, że to było dziwne, ale zauważyłam rejestrację z Indiany. Zwróciłam na to uwagę tylko dlatego, że na ramce był napis „Hoosier State”, a poprzedniego wieczoru rozmawiałam z mężem o filmie *Hoosiers*2. Tylko dlatego pamiętam. To chyba był boski przypadek. – Przeżegnała się.

Brzmiało mi w głowie określenie „boski przypadek”, więc zapisałem te słowa zamazystą kursywą na marginesie wydrukowanego raportu.

Dzień później, kiedy przedstawiliśmy jej kilkadziesiąt zdjęć do wyboru, pani „Hoosier” zidentyfikowała chevroleta G20, model Conversion Sportvan, TransVista, z dwiema przyciemnianymi bocznymi szybami. Cała ta praca – czyli odebranie zawiadomienia o zdarzeniu, identyfikacja tenisówki, przesłuchanie rodziców i chłopaka, sprawdzenie ich alibi, rozmowy w szkole, przesłuchanie pani „Hoosier”, zebranie fotografii vanów i przedstawienie ich pani „Hoosier” w celu identyfikacji pojazdu – zabrała nam trzy dni, które upłynęły od porwania; innymi słowy, mieliśmy trzy dni do tyłu.

Rodzice Dorothy zwrócili się do wszystkich lokalnych programów i agencji informacyjnych w trzech stanach, apelowali też do mediów o zasięgu krajowym. Ale po trzech dniach wiadomość zeszła z pierwszych stron i głównych miejsc w serwisach. Piątego dnia centrala obcięła mi środki na prowadzenie poszukiwań,

a moja partnerka, która nadal prowadziła śledztwo razem ze mną, ustąpiła pod presją, by nadrobiła papierkowe zaległości w starych sprawach. Dorothy M. Salucci miała małe szanse.

2 *Hoosier State* to przydomek stanu Indiana; film *Hoosiers* z 1986 r. w reżyserii Davida Anspaugh'a nosił polski tytuł *Mistrzowski rzut*. *Hoo-siers* to także nazwa drużyn sportowych z Indiana University.

ROZDZIAŁ 3

SZESNASTY I SIEDEMNAŚTY DZIEŃ W NIEWOLI

Szesnastego dnia znowu pojawiła się Ekipa Kuchenna. Wyobrażałam sobie wiejską kuchnię z drewnianymi stołami, a do ich blatów przybite żółte i zielone tkaniny w kwiaty, by zasłonić garnki i patelnie ustawione na prowizorycznych półkach pod spodem. Wyobrażałam sobie stary biały wiejski piec i klasyczny jasnozielony mikser. Wyobrażałam sobie dwie kobiety z różnych pokoleń, które przygotowują dla mnie posiłki i wycierają umęczone dłonie o czerwone fartuchy obszyte różową lamówką. Wyobrażałam sobie szczegóły ich życia. Starsza z nich była matką, młodsza jej dorosłą już córką. Wyobrażałam sobie, że w ramach swojego prostego biznesu gotują dla innych w okolicy. Wyobrażałam sobie, że uwielbiają gotować dla mnie w tym pomieszczeniu z wysokim sufitem. W końcu większość kuchni znajduje się na parterze, my jednak w drodze do mojego więzienia pokonaliśmy aż trzy kondygnacje, a wyglądało na to, że umieszczono mnie bezpośrednio nad kuchnią. Wyobrażałam sobie to wszystko i byłam w szoku, w ilu punktach miałam rację, a w ilu zupełnie się myliłam. Postanawiam pamiętać kuchnię i spowite gęstymi oparami postacie kucharek takimi, jakie widziałam w wyobraźni, z wierszyka dla dzieci, w którym kot wyleguje się w słońcu na plecionym dywaniku, puszyste kobiety z drewnianymi łyżkami w rękach szeroko się uśmiechają i rzucają kotu resztki. Piosenka folkowa z akompaniamentem akustycznej gitary nadaje pracy szczęśliwy rytm. Może nawet ćwierka ptaszek, który przysiadł na otwartych drzwiach.

Reasumując, jak już wspomniałam, kiedy piątego dnia mój porywacz przyniósł mi śniadanie, nie dostrzegł subtelnej różnicy, jaka zaszła w moim pokoju. Pracowałam całą noc i nie spałam poprzedniej nocy. Nie ustawałam w staraniach, by zrealizować swój plan.

Podobnie jak dziewiątego dnia, szesnastego przyszedł wcześniej niż w inne dni, podkraść się do łóżka i potrząsnął mną, żeby mnie „obudzić”. Oczywiście udawałam, że śpię, jak gdybym nie pracowała całą noc. Rzucił ohydny porcelanowy talerz obok mnie na łóżko i warknął, że jeżeli chcę „iść do kibla”, to muszę to zrobić „w tej chwili”. Powiedział też, że wejdzie i mnie udusi, jeżeli ruszę się z miejsca albo usłyszy „choćby jakiś jeden brzęk”.

– Takich dziewczyn jak ty jest od metra. Nie zamierzam z tobą ryzykować, suko.

Też cię miło widzieć, gnoju.

Skorzystałam z jego propozycji pójścia do toalety, ponieważ postanowiłam

zgadzać się na wszystko, co proponował. Nie chciałam stracić żadnej możliwości zdobycia nowego atutu ani nowej informacji. Skorzystałam też z tej propozycji dziewiątego dnia i nie chciałam wprowadzać żadnych zmian w ustalonym porządku. Najmniejsze odstępstwo mogłoby poważnie zagrozić mojej skrupulatnej liście atutów i zmienić mój powstający Plan Uciezki/Zemsty, który, jak wiecie, nazwałam roboczo „15”. Zejście z wybranej drogi mogłoby się okazać śmiertelnie niebezpieczne. I choć śmierć wisiała nade mną, nie zamierzałam paść jej łupem.

Szybko zaprowadził mnie do toalety, gdzie opróżniłam pęcherz, przyprowadził mnie z powrotem do celi, po czym postawił obok mnie wiadro, tak samo jak dnia dziewiątego.

Machając mi palcem przed oczami, rozkazał:

– Użyj tego, jak będziesz się musiała wysikać, ale zrób to tutaj. Nie wychodź z łóżka.

Na szczęście zdążyłam nałożyć z powrotem kabłąk na wiadro zaledwie dziesięć minut przed jego wejściem.

Zrobiło się cieplej i Ekipa Kuchenna włączyła elektryczny mikser, tak jak dziewiątego dnia. Warkot urządzenia wprowadził mnie w stan bliski hipnozy na całą godzinę. Pomasowałam dłońmi rosnący brzuch, zafascynowana piętą albo piąstką, która wysunęła się na spotkanie moich rąk. *Maleństwo moje, kocham cię, maleństwo.* Po chwili podłoga w pokoju wpadła w wibracje, którym towarzyszył cichy szum. Doszłam do wniosku, że to musi być wentylator na suficie w kuchni. Podmuchy wiatraka przyniosły zapach pieczonego kurczaka, bekonu, brownie, rozmarynu i najprzyjemniejszy aromat świeżego chleba.

Wiecie, panie, które jedzenie ma być dla mnie? Wiecie, że mnie porwano? Chyba nie. Bo po co mój strażnik odgrywałby wczesnym rankiem tę komedię? Słyszałam też, że krąży pod drzwiami jak zdenerwowana puma, a jego krokom towarzyszy rżenie zaflegmionego gardła. Zdradzał taką nerwowość tylko w te dni, kiedy przychodziła Ekipa Kuchenna. W pozostałe nie wiem, gdzie spędzał czas między rzuceniem mi jedzenia a odebraniem tego przeklętego talerza. Mimo to pewne czynniki wzbudziły we mnie wątpliwości co do Ekipy Kuchennej.

Chociaż natężyłam słuch, docierały do mnie tylko przytłumione kobiece głosy i udawało mi się wyłowić pojedyncze słowa, takie jak „podaj” i „patelnia”. Jeden brzmiał ochryple i staro, drugi lekko i radośnie, a ich ton ujawniał panującą w kuchni minihierarchię; jeden wyraźnie dyrygował drugim.

Jak dotąd Ekipe Kuchenną było słycać co siedem dni, to miało sens. Analizując zapachy i kolejność moich posiłków, mogłam bez trudu znaleźć dowody na poparcie hipotezy, że kobiety przychodzą co wtorek, by gotować dla mnie na nadchodzący tydzień.

Rano szesnastego dnia miałam już ochotę krzyknąć o pomoc. Musiałam jednak zdobyć więcej dowodów na ich niewinność, tak więc uzbrojona w atut nr

11, cierpliwość, czekałam, by to ocenić. Miałam wątpliwości co do stopnia ich zaangażowania, bo nie rozumiałam, dlaczego mój porywacz nie wiąże mnie ani nie knebluje w dni, w którym przychodziły. *Możliwe, że tak jak w furgonetce po prostu z głupoty albo lenistwa, albo jednego i drugiego.* Mimo to dziwne. Wątpliwości miałam też dlatego, że dziewiątego dnia przywitał je, mówiąc: „Jedzenie naprawdę bardzo nam smakuje”. *Nam? Czyli wiedzą, że jest tu ktoś jeszcze?* Gdy to usłyszałam, uświadomiłam sobie, że przygotowały dla mnie jedzenie na pierwszy tydzień niewoli. Wyobrażając sobie oś czasu, obliczyłam dni między danymi.

Dzień 2 = Ekipa Kuchenna gotuje jedzenie na pierwszy tydzień, kiedy jadę furgonetką

+ 7 dni

Dzień 9 = Ekipa Kuchenna

+ 7 dni

Dzień 16 = Ekipa Kuchenna

Na tej podstawie przyjął założenie, że przychodzą co tydzień, mogłam więc planować według tego przewidywalnego cyklu.

Kiedy przywitał je szesnastego dnia, powiedział: „Bardzo dziękujemy, takie pyszne jedzenie”. Tym razem zaśmiał się fałszywie i sztucznie. *Lipa.* Pomyślałam o matce. Jeszcze bardziej niż lenistwem gardziła pozerstwem. Kiedy na kiermaszach szkolnych moja matka spotykała matki z komitetu rodzicielskiego, z grubą warstwą makijażu i zmaltretowanymi farbowanymi włosami, stukające po sali gimnastycznej w czółenkach na niskich obcasach i spodniach trzy czwarte, szepczące do innych ryczących czterdziestek o licznych romansach seksownego nauczyciela WF-u z takimi jak one, nachylała się do mnie i mówiła: „Nie bądź nigdy taka jak te pustogłowe idiotki. Używaj mózgu pożytecznie. Nie trać czasu na plotkowanie”. A gdy witały ją radosnym „czeeść!”, ale zaraz potem wymieniały między sobą zde gustowane spojrzenia, matka nigdy nie reagowała, prostując tylko i tak już wyprężoną jak kobra sylwetkę i poprawiając dopasowany żakiet od Prady. Jak gdybyśmy miały swój własny świat, do którego nie mógł wejść nikt niegodny wstępu. Czy nie wszystkie dziewczynki powinno się tak wychowywać? Karmić końskimi dawkami poczucia własnej wartości.

Ekipa Kuchenna zachichotała kobieco wysokimi oktawami, mile połączona fałszywym komplementem pod adresem więziennego wiktu. *Pieprzony czarusiu, załgany bydlaku, gnoju. Zabiję cię.* Chociaż, mówiąc szczerze, musiałam mu przyznać rację; tarta była pyszna, a chleb delikatny, z idealną proporcją słodczy, rozmarynu i soli.

Ale odbiegam od tematu.

Miałam więc wątpliwości i nie zamierzałam pochopnie zaczynać od utraty szans na pomoc Ekipy Kuchennej. Takiego pośpiechu nie uzasadniały żadne wskaźniki, dane, obliczenia i na pewno żadne badania porównawcze.

Oprócz wątpliwości dręczyły mnie obawy o akustykę. Wprawdzie głosy kobiet do mnie dobiegały, ale mój mógl do nich nie dotrzeć, zwłaszcza w hałasie wiatraka i miksera. Gdyby mój głos do nich nie dotarł, mój strażnik na pewno wszedłby tu i mnie uciszył. *Muszę nie tylko je ocenić, ale sprawdzić też dźwiękoszczelność tego pokoju.* Dobrze by było tupnąć w podłogę, ale mogłyby pomyśleć, że to on, i nie zareagować wystarczająco szybko. Mogłabym tupnąć i wrzasnąć, tak by nie sposób było zignorować faktu, że jest tu więzień. Gdyby nawet jednak usłyszały, przypuszczałam, że jesteśmy na jakimś odludziu. Czyli mogłyby usłyszeć i ruszyć mi na pomoc, ale podejrzewałam, że on równie łatwo mógłby je zastrzelić i wrzucić „do kamieniołomu”. Należało zebrać więcej faktów. *Ocenić te kobiety, sprawdzić akustykę i zabezpieczyć się, żeby ich nie zabił/nie mógł zabić, zanim nie nadejdzie pomoc.*

Wszystkie te wątpliwości kazały mi nakreślić plan „15” bez udziału Ekipy Kuchennej. Przypuszczam, że większość osób w mojej sytuacji zaczęłaby krzyczeć, wrzeszczeć, walić w podłogę i całkiem możliwe, że ratunek przyszedłby wcześniej. Ja jednak nie chciałam uwzględniać w swoim planie żadnych nieprzewidzianych zdarzeń. *„15” będzie niezawodny, zaopatrzony w wielowarstwowe zabezpieczenia. Nie zamierzam polegać na jednym nierealnym „zabójczym strzale” ani na możliwości, że pomoże mi ktoś inny, kto sam zawsze może zginąć. To nie będzie film według oklepanych wzorów.*

* * *

Siedemnastego dnia znowu zjawili się goście, Doktor, Banalarz i tym razem ktoś jeszcze. Według atutu nr 16, mojego radia z zegarem, który ustawiłam zgodnie z czasem podanym podczas wieczornych wiadomości na atucie nr 14, telewizorze, stanęli pod moimi drzwiami dokładnie o 13.03. Osiem minut przed ich przybyciem porywacz nałożył mi na głowę poszewkę z poduszki, zacisnął jej rogi na mojej szyi, a całość związał długim szalem. Frędzle trafiły mi do rąk, więc zwinęłam je w palcach, żeby się uspokoić. Nożyczkami i brudnymi paluchami wyrwał w poszewce szparę, prawdopodobnie po to, żebym mogła oddychać. Następnie, jak gdyby zakładał gumki na szczypcę homara, związał mi mocno ręce nad głową, a potem nogi, też mocno.

– Bądź cicho i nie ruszaj się. Nic nie mów.

Wszedł.

Kiedy wrócił, zaledwie sto osiemdziesiąt sekund później, przyprowadził ze sobą Doktora i Banalarza. Tym razem towarzyszyła im jakaś kobieta. I ona

odezwała się pierwsza.

– To ona? – zapytała.

Tak, „to ona”. Czyżby to ogromny brzuch albo gigantyczny biust zdradziły moją pleć, geniuszu? Nazwałam ją „Żoną Banalarza”, chociaż to było zbyt pochopne z mojej strony tak szybko uznać, że są małżeństwem. Mimo to, gdyby nawet ci łajdacy mnie nie porwali i nie zamierzali mi ukraść dziecka, moja matka i tak nie znosiłaby tych ludzi i ich głupich, bezsensownych pytań. Ja nie znosiłam ich ze swoich własnych powodów.

– Zobaczmy – powiedziała kobieta.

W piersi znowu zatrzepotał mi koliber, ale uspokoiłam go wyćwiczonym oddechem tai chi. A potem usłyszałam przeokropny dźwięk. Podłoga za drzwiami skrzypnęła, jak gdyby miała pęknąć, a po chwili turkot metalowych kółek na szerokich sosnowych deskach oznajmił zbliżanie się czegoś ciężkiego. Nikt się nie odezwał. Przedmiot uderzył w futrynę drzwi, potoczył się w głąb pokoju i zatrzymał u wezłowania mojego łóżka. Po podłodze obok mnie prześliznął się sznur albo kabel.

Piosenka w radiu straciła impet. Nastąpiła krótka chwila ciszy. Potem usłyszałam skrobnięcie przy gniazdku u moich stóp. *Na pewno potrzebne im gniazdko.* Przywieziony przedmiot świsnął i zaszumiał. *Na pewno jakaś maszyna.*

– Zaczekajmy kilka minut, aż się rozgrzeje – rzekł Doktor.

Wyszli z mojego więzienia i szpitala w jednym, żeby poszeptać w korytarzu. Trudno mi było cokolwiek usłyszeć przez zasłonę z poszewki i brzęczenie tajemniczej maszyny, wyłowiłam tylko fragmenty: „...jakiś siedem i pół miesiąca... za wcześnie... sine... tak, sine...”.

Wtoczyli się z powrotem do mojej celi. Kroki zbliżyły się do nóg i boku łóżka. Poczułam na kostkach dotyk męskich dłoni, które po chwili rozwiązały pęta i na oczach grupki niewidocznych dla mnie nieznanym zdjęły mi spodnie, zerwały bieliznę i szeroko rozsunęły moje nogi. Broniałam się ze wszystkich sił, kopiąc w miękkie części ciała tego, który znalazł się obok mnie. Mogę mieć tylko nadzieję, że trafiłam go w krocze.

– Rozluźnij nogi, młoda damo, bo inaczej będę ci musiał podać środek uspokajający. Ronald, chodź tu, przytrzymaj ją – powiedział Doktor.

Nie może mi dać nic na uspokojenie. Potrzebuję dowodów. Lekko rozluźniłam mięśnie, a gdy tylko to zrobiłam, bez uprzedzenia i przeprosin bezceremonialnie wepchnięto we mnie kawał twardego plastiku nasmarowanego ciepłym żelazem. Głowica zaczęła się poruszać.

Pajęcze palce Doktora, zimne jak sople, naciskały mój brzuch, szukając ruchu i części ciała, robiąc to samo co ja przez cały dzień w celi, tyle że z zupełnie innych powodów. Mroczne zło kontra czysta miłość.

– O, tutaj, ta mała krzywizna to penis. Na pewno chłopiec – zawyrokował

Doktor.

Ultrasonograf. Tak bardzo chciałam zobaczyć swoje dziecko, że oczy wezbrały mi łzami, które zmoczyły tkaninę poszewki.

– Tu jest serce. Bardzo silne. Bardzo, bardzo silne. Chłopiec jest zdrowy. Teraz waży około stu czterdziestu dekagramów – mówił Doktor.

Ale państwa Banalarzy najwyraźniej nie obchodziły te szczegóły.

– I jest pan pewien, że jej rodzice też mają niebieskie oczy i blond włosy? – spytał Banalarz.

– Najzupełniej.

– Ojciec tego dziecka też?

– Nie mamy stuprocentowej pewności, kto jest ojcem, przypuszczamy jednak, że jej chłopak. Jeżeli to z nim widzieliśmy ją kilka dni wcześniej, zanim ją zabraliśmy, to tak, jest blondynem o niebieskich oczach.

– Biorę je tylko, jeżeli będzie miało blond włosy i niebieskie oczy. Nie chcę w swoim domu żadnego egzotycznego dziecka – oświadczyła Żona Banalarza i zaśmiała się, chociaż zdecydowanie nie żartowała.

– Wybór należy do pani. Mamy długą listę czekających klientów, ale ma pani prawo pierwszeństwa, zwłaszcza po tym, co się stało z ostatnią dziewczyną.

– Proszę tylko o jasnowłose dziecko o niebieskich oczach – powiedziała Żona Banalarza, głośno tłumiąc chichot.

Ponieważ wobec swojego dziecka uczucia miałam oczywiście włączone, serce mi krwawiło. *Jest zdrowy. Jest silny. Waży sto czterdzieści dag. Chcą mi go odebrać. Jeżeli oni go nie wezmą, zabierze go ktoś inny. Mocno bije mu serce. Waży sto czterdzieści dag. Ona nie chce egzotycznego dziecka. Mocno bije mu serce.*

Słyszając tę rozmowę, umocniłam się w swojej determinacji, chociaż nie potrzebowałam żadnego umocnienia. Wezbrała we mnie wściekłość, przegrupowała się, ufortyfikowała, okrzepła i spotężniała. Chyba sam Bóg Wszechmogący uniósłby bezradnie niebiańskie dłonie na widok mojej maski nadnaturalnej, absolutnej nienawiści. Postanowienie o ucieczce i krwawej zemście zmieniło się w siłę, której nic nie mogło powstrzymać. Furia wypaliła mi łzy z oczu i skierowała się ku tym niczego niepodważającym kretynom, z którymi tylko diabeł miałby czelność konkurować, ale i tak by przegrał. To ja stałam się diabłem. Gdyby szatan był matką, ręczę, że wyglądałby tak jak ja.

Grupa gości wycofała się gęsiego na korytarz. Doktor powiedział:

– Ronald, zostaw tutaj to urządzenie. Nie ma sensu go wozić tam i z powrotem. Więcej nie przyjdziemy do tej pacjentki – dopóki nie odejdą wody. Dzwon tylko wtedy, gdyby były jakieś problemy.

W opustoszałym pokoju został jedynie mój strażnik, Ronald.

Nastąpiła chwila ciszy, moment całkowitego bezruchu, dopóki nie

przyskoczył do mnie, żeby zdjąć mi z głowy poszewkę.

Ronald, którego imienia z powodu braku szacunku nie będę używać w opowieści o tamtych zdarzeniach, rozwiązał mi ręce i zdjął płócienną zasłonę. Na ułamek sekundy uległam złudzeniu znajomej nudy, jak wtedy, gdy kończy się wizyta babci, która od nas wychodzi, i jak zwykle zostaję tylko z rodzicami. Znowu to samo. Szara monotonia. Ale spokojnie, ta sekunda szybko minęła i powróciła bezdenna nienawiść, właśnie tak, jak chciałam – uczucie było niezbędne, żeby móc planować, knuć, uciec, szukać zemsty. Chwyciłam bieliznę i spodnie i szybko się ubrałam.

Siedziałam na łóżku i patrzyłam na niego z rękami założonymi na piersi, a on zwijał kabel od USG. Kiedy napotkał mój wzrok, nawet nie mrugnęłam. *Będziesz cierpiał, Ronald. O tak, znam już twoje imię, skurwysynu.* Moje źrenice nie były niebieskie, ale czerwone – szkarłatne i krwawe, wściekle czerwone.

– Kurwa, nie patrz tak na mnie, stuknięta dziwko.

– Tak jest, proszę pana. – Opuściłam głowę, ale nie zmieniłam barwy oczu.

Wyszedł.

Wróciłam do pracy. *Ultrasonograf (atut nr 21), przedłużacz do USG (atut nr 22), szal z frędzlami (atut nr 23)...*

ROZDZIAŁ 4

AGENT SPECJALNY ROGER LIU

Kiedy studiowałem na Uniwersytecie St. John's w Queens w Nowym Jorku, należałem do klubu dramatycznego i nocami grałem za grosze na scenach off-off-off-broadwayowskich, w małych uliczkach za Soho, w sztukach pisanych i reżyserowanych przez magistrantów Uniwersytetu Nowojorskiego, którzy harowali w marnie oświetlonych teatrach, żeby mieć szansę zaprezentowania swojej pracy w nadziei, że ktoś, ktokolwiek, jakiś nocny krytyk przypadkowo natknie się na ich arcydzieła.

Amatorscy producenci lubili mnie obsadzać, ponieważ jestem rasy mieszanej: ojciec Wietnamczyk, matka z Rochester, czystej krwi nowojorskiej. Pod względem fizycznym stanowią połączenie Azjaty i Amerykanina w idealnie równych proporcjach, chociaż wewnątrz jestem Amerykaninem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach – jeden procent oddałem ojcu, który nalega, żebyśmy raz w miesiącu jedli zupę pho.

Tak poznałem swoją żonę Sandrę. Też należała do klubu dramatycznego w St. John's, grała stand-up na Manhattanie, też grubo po północy. Po zajęciach i klubie chodziliśmy na kanapki z tuńczykiem, a potem tłukliśmy się metrem do miasta. Byliśmy nawet szczęśliwi i byliśmy zakochani. Studiowałem prawo karne, a wybrałem ten kierunek tylko po to, by sprawić przyjemność rodzicom. A może podświadomie wstąpiłem na drogę, którą los wytyczył mi już dawno temu.

Dla hecy albo sprowokowany przez Sandrę, albo też uświadomiwszy sobie, że potrzebuję pracy, by utrzymać siebie i dziewczynę z college'u, która została moją narzeczoną, złożyłem papiery w FBI. W porządku, niech tak będzie. Przyjmijmy, że taka była przyczyna, nie ma sensu dzielić włosa na czworo.

Gdybym tylko nie miał takich wysokich wyników na egzaminie SAT na koniec średniej szkoły albo gdybym nie odziedziczył brzemienia „nadzwyczajnej pamięci” – a cierpię chyba na łagodny przypadek hipermnnezji, czyli, mówiąc w skrócie, mam naprawdę dobrą pamięć, co doświadczeni agenci potrafili wyczuć na kilometr. Gdybym tylko nie miał lepszego wzroku niż pilot myśliwca. Gdybym odwał studia jak inni nocni artyści i dramaturdzy, może federalni daliby sobie ze mną spokój. Może nie znosiłbym takiej udręki. Może Sandra i ja bylibyśmy szczęśliwsi, żyjąc w komiczno-dramatycznej nędzy.

Tak oto znalazłem się w FBI i po piętnastu wyssanych z życia latach miałem wrażenie, jakby przyjęli mnie dopiero dzisiaj, jak gdybym trafił do pętli czasu. Prawie zupełnie opuściła mnie ochota do śmiechu.

Kiedy szkło, przez które oglądasz świat, pozwala ci dostrzegać surrealistyczne strony rzeczywistości, możesz widzieć życie takim, jakie jest: a niewątpliwie jest zabawne. Sandra wciąż patrzyła przez surrealistyczne szkło i na szczęście nie współczuła mi ani mnie nie przeklinała za to, że straciłem humorystyczny dystans. Próbowła natomiast na próżno wyrwać mnie z grobowego nastroju, odmalowując przede mną to, czego nie umiałem już zobaczyć. „Przyjrzyj się lepiej, kochanie, nie widzisz, że...”. Niemniej piętnaście lat po tym, jak pograżyłem się w tym gąszczu, znowu znalazłem się w jakimś prowincjonalnym biurze, zagrzebany po uszy w poszukiwaniu wątych tropów w sprawie porwanej nastolatki w ciąży. A Sandra nie była jedyną kobietą w moim życiu. Miałem partnerkę, którą będę nazywał „Lola”, aby ochronić jej tożsamość z powodów, które wyjawię później.

W niektórych sprawach nie ma żadnych tropów, w innych jest ich mnóstwo, są takie z dwoma mocnymi tropami, z których można wyprowadzić inne, są i takie z jednym mocnym tropem, który wymaga ogromnego wysiłku, aby wyprowadzić z niego coś więcej. Sprawa Dorothy M. Salucci miała jeden mocny trop, furgonetkę, który wymagał ogromnego wysiłku, by doprowadzić do czegoś więcej. Czarna tenisówka Converse All Star nie była żadnym dowodem. Jak mógłbym znaleźć dziewczynę, mając jej zgubiony but? Nie ujawniono na nim odcisków palców ani plam rozbryźniętej krwi pozostawionych przez napastnika. But nie miał dla mnie żadnej wartości. Cały wysiłek włożyłem w znalezienie przelotnego obrazu tego samochodu, obsesyjnie ślęcząc nad zapisami wideo i skrupulatnie oglądając każdą sekundę nagrań z każdej kamery w jej mieście i wszystkich sąsiednich miastach oraz punktach poboru opłat przy drogach prowadzących z punktu zero.

Ósmego dnia tej mozolnej pracy wreszcie dostrzegłem bordowego chevrolleta transvista z osiemdziesiątego dziewiątego roku z rejestracją z Indiany, który niczym wąż przemknął przez bramkę przy wjeździe na płatną autostradę. Pani „Hoosier” potwierdziła moje odkrycie.

– Tak jest. To na pewno ten – powiedziała.

Zorganizowałem dwuosobowy zespół z centrali, by ustalił trasę vana na podstawie zapisów ze wszystkich kamer na autostradach, które uda im się zdobyć. Tymczasem moja partnerka, która podlegała mi jako agentka niższa ode mnie stopniem, sprawdzając ewidencję pojazdów w Indianie, znalazła czternaście numerów rejestracyjnych chevroletów z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych odpowiadających naszym danym.

Wspominam o podległości służbowej mojej partnerki dlatego, że ten fakt miał tylko walor komiczny, ponieważ uważała mój stopień za niegodny szczególnej uwagi; przysięgam, że sama awansowała się do rangi mojego zwierzchnika i powyżej rangi Pana Boga. Jak wspomniałem, będziemy ją nazywać „Lola”.

Bez względu na to, czy rejestracje były aktualne, czy anulowane, zostały cofnięte, czy straciły ważność, postanowiliśmy odwiedzić wszystkie adresy figurujące przy wszystkich numerach. Aby wykonać to zadanie, zjeździliśmy całą Indianę, część Illinois i Milwaukee oraz kawałek Ohio, dokąd ludzie albo wyjechali na wakacje, albo się wyprowadzili, albo w ogóle sprzedali komuś samochód. Każdą z osób, na które zarejestrowano te pojazdy, oraz każdego nowego właściciela trzeba było sprawdzić, czyli przesłuchać, zweryfikować informacje personalne, obejrzeć dom, odczytać mowę ciała i potwierdzić alibi.

Jeden z właścicieli nie żył.

Jeden rozbił swojego chevroleta miesiąc wcześniej, zderzając się czołowo z ciężarówką z naczepą do transportu samochodów pełną porsche 911. Pokazał nam wycinek z gazety z artykułem o tym wypadku i zachichotał:

– Cholerne porschaki. Nie cierpię tych małych robali. Zresztą jak można takim karakanem wywieźć coś na wysypisko albo pojechać po żwir do wysypania podjazdu?

Jeden z właścicieli nie chciał nas wpuścić do swojego parterowego domu, ale po krótkiej perswazji i konsultacji z adwokatem w końcu zgodził się na inspekcję. Gdy chodziliśmy po jego domostwie, pospiesznie usunął nam z oczu kilka doniczek. *Guzik mnie obchodzi twoja hodowla trawki. Przyszedłem szukać porwanej dziewczyny, idioto.*

Osiem osób okazało się w miarę normalnymi, przeciętnymi właścicielami chevroletów transvista, przez co rozumiem, że w ogóle nie sprawiali wrażenia podejrzanych i wyglądali jak gromada klonów. Przypuszczam, że w znaczący sposób różnili się od siebie, ale z punktu widzenia śledztwa zakwalifikowałem wszystkich do jednej kategorii: niewinni żonaci emeryci. Poza tym bardzo życzliwi, prawie wszystkie żony płakały, gdy wyjaśnialiśmy powód naszej wizyty, a potem wymierzały klapsy albo kopniaki swoim samochodom, jak gdyby karząc je za to, że są braćmi współsprawcy porwania. Rzucali z ukosa spojrzenia na Lolę, która podczas tych przesłuchań trzymała się z boku i za moimi plecami, jakby pytali: „Czy ona naprawdę musi tak groźnie na nas patrzeć?”

Nie mogliśmy znaleźć jednego właściciela. Nic nie wskazywało na to, aby był gdzieś formalnie zatrudniony, żaden z sąsiadów nie wiedział, dokąd wyjechał. Podobno był w jakimś małym miasteczku pod Notre Dame. Mieszkał w dość dużym białym domu z dwuspadowym dachem i kominem, który stał na końcu dwustumetrowego gruntowego podjazdu, osłoniętego szpalerem sosen. Za budynkiem, na płaskim trawiastym terenie, niewidocznym od strony drogi, wznosiła się czerwona stodoła. Facet, rzecz jasna, wzbudził moje ogromne zainteresowanie. Sąsiedzi potwierdzili, że widzieli go kiedyś w bordowym vanie, nie pamiętali jednak kiedy.

– Często wyjeżdża. Nie wiemy dokąd.

Zostawiłem sąsiadom wizytówkę i poprosiłem, żeby zadzwonili, gdyby się pojawił. Lola wytropiła miejscowego sędziego i załomotała do drzwi jego wiejskiego domu, kiedy posilał się jajecznicą. Chociaż nie było mnie przy niej, wyobrażam sobie tę scenę. Zawisła nad niezawisłym wysokim sądem, który podpisywał nakaz rewizji, a potem uszczknęła kawałek grzanki z masłem w odwecie za to, że musiała zadawać sobie trud zabiegania o pozwolenie u osób, które w jej odczuciu stały niżej niż Jej Prawo.

– Powinniśmy móc wchodzić, gdzie się nam podoba, żeby znaleźć te dzieci – oznajmiła i tu byłem gotów przyznać jej rację. Prawo do prywatności i właściwego przewodu sądowego, akurat. Kłody pod nasze nogi i tyle. Ale dajmy spokój grzance biednego sędziego.

Nie uwierzycie, ale gdy tylko dostaliśmy nakaz, zadzwonił sąsiad.

– Wrócił. Ale przyjechał czarnym pikapem. Nie widziałem żadnej furgonetki.

Popędziliśmy z powrotem do naszego podejrzanego wąskimi drogami, wzdłuż których biegły rowy i ciągnęły się pola. Lola i ja jechaliśmy z opuszczonymi szybami, wdychając oczyszczający zapach zroszonej trawy i szumiącej źródlanej wody. *Indiana. Indiano, Indiano, zabierz mnie od niej, zostaw mnie tu, w pszenicy i księżycu ukaż mi rąbek jej lic. Indiano, Indiano.* Tę monotonną, rozkołysaną piosenkę śpiewało kilka skrzypiących huśtawek do rytmu łagodnego wiatru na pustkowiu.

Powitaliśmy naszego tajemniczego człowieka na podjeździe przed jego domem, gdzie już na nas czekał. *Dostał cynk. W takiej dziurze nic się nie ukryje.* W wypłowiałych dżinsowych ogrodniczkach, butach roboczych ze stalowymi noskami i z fajką wetkniętą w kącik skrzywionych ust wyglądał jak legendarny drwal Paul Bunyan.

– Boyd – poprawił mnie, kiedy spytałem, czy nazywa się Robert McGuire. – Robert dali mi na chrzcie, ale mama zawsze nazywa mnie Boyd. – Boyd był hodowcą kurcząt.

Po prezentacjach i pokazaniu odznak Boyd zaprosił nas do środka. Kiedy wchodziliśmy, zgasił fajkę i położył na brzożowym stoliku na werandzie.

– Tylko gościom wolno palić w domu, niech se pan zajara, panie Liu, jak pan ma co, mama zawsze mówi, w twoim domu tylko gościom wolno palić.

Zauważyłem, podobnie jak moja kanciaszyczka uczennica, że jak dotąd Boyd ani razu nie zwrócił się bezpośrednio do niej ani nie zaproponował, że też mogłaby zapalić w jego domu. Ale nie był to przejaw seksizmu, tak mi się przynajmniej wydawało. Chyba po prostu odstraszył go nieruchomy wzrok Loli i jej regularne wypluwanie przeżutego tytoniu za klomb funkcji. Nie kazałem jej przestać ani nie spojrzałem na nią z niedowierzaniem; wiele razy próbowałem ją namówić, żeby to rzuciła, ale bez skutku. Jej odpowiedź zawsze brzmiała tak samo:

– Liu, przy tym, co muszę oglądać w piwnicach i na stryszkach, oszczędź sobie kazań na temat mojego życia. Lepiej się zamknij i postaw mi guinnessa, szefie.

Przypuszczam, że miała słuszność, ale dopiszmy jej chęć do nabawienia się raka jamy ustnej i uzależnienie od szlamowatych piw do długiej listy powodów, dla których mój piętnasty rok w FBI był skończonym koszmarem. Dorzućcie jeszcze jedną ciekawostkę: Lola obficie polewała się old spice'em, którym czuć było od niej rano, w południe i po północy, kiedy siedzieliśmy razem, prowadząc obserwację.

Dom Boyda był pustawy, ale bardzo brudny i zakurzony. W zlewie piętrzyły się garnki i talerze, a sądząc po zapachu skisłego mleka i widoku spacerujących po nich tłustych much, leżały tam od dłuższego czasu. Z otwartego aluminiowego kubła na śmieci w kuchni wysypywała się góra nieotwartej poczty. Na pokrytym linoleum blacie wałało się kilkanaście mokrych i zwiniętych gazet. Przed niebieską lodówką, na szmacianym chodniczku, wylegiwał się olbrzymi owczarek staroangielski, który leniwie obrócił oczy w naszą stronę, kiedy weszliśmy.

– Nie zwracajcie uwagi na starą Nicky. Trochę pierdzi, ale cholernie dobry z niej pies – poinformował nas Boyd, po czym na migi zaproponował nam kawę, udając, że pije z kubka, i pokazując zaparzac. Odmówiłem. Lola też.

Nie wychodząc z kuchni, Boyd i ja usiedliśmy naprzeciw siebie przy stole z kanarkowożółtego laminatu na cienkich chromowanych nogach. Lola stanęła za mną jak na warcie i utkwiała w Boydzie krępujące spojrzenie, zakładając ręce na biuście, który ujarzmiła nie wiadomo czym, nie pytałem – pewnie taśmą izolacyjną.

Boyd uniósł krzaczaste brwi i ściągnął usta, jak gdyby chciał powiedzieć: *proszę zaczynać, panie Liu, słucham pana z całą uwagą*. Tak oto rozpoczęło się przesłuchanie Boyda L. McGuire'a. Zapamiętałem każde słowo, aby później zapisać przebieg rozmowy, co robiłem zwykle w pokojach motelowych, podczas gdy Lola jak wampir grasowała po wiejskich miejscowościach, szukając okazji, by pogadać z miejscowymi pijaczkami, którzy „mogli coś widzieć czy słyszeć” albo być może „podejrzewają jakiegoś zbrodźcę ze wsi”; tak więc uzasadnioną przyczyną jej nocnej włączki stały się plotki i sekrety ciemnych zaułków.

Tak naprawdę podziwiam Lolę. Z niezliczonych powodów była – i nadal jest – dobrym detektywem, dlatego właśnie musimy zataić jej tożsamość. Dzięki jej dyskusyjnej taktyce udało się ocalić wiele dzieci. Ani razu nie prosiłem jej, żeby się wytłumaczyła. Jak wygłodniały pies pochłaniałem na śniadanie wszystkie znoszone przez nią informacje. Musiałem wypełnić wewnętrzną dziurę, uszkodzenie, które nosiłem w sobie od dziesiątek lat.

– Boyd, pozwolisz, że moja partnerka rozejrzy się po twojej stodole, kiedy będę ci zadawał pytania?

– Co mam nie pozwolić? A w ogóle czego szukacie?
– Nie wiem, Boyd. Masz coś do ukrycia?
– Nic nie mam do ukrycia. Zaglądajcie sobie, gdzie chcecie. U mnie wszystko jak na dłoni.
– Dziękuję, Boyd. Jesteśmy ci wdzięczni za pomoc.
Trzasnęły drzwi, ponieważ na ten znak Lola błyskawicznie zrobiła w tył zwrot i wyszła.
– Domyślam się, że byłeś właścicielem bordowego chevroleta vana?
– Ano byłem. Sprzedałem jakieś trzy miesiące temu.
– Naprawdę? Komu sprzedałeś samochód?
– Pojęcia nie mam, panie Liu.
– Nie?
– Postawiłem wóz przy krawężniku z kartką „na sprzedaż”. Dałem też ogłoszenie do gazety. Zgłosił się jakiś gość. Powiedział, że przyjechał okazją ze stacji kolejowej. Dał mi do ręki gotówkę, dwa tysiące dwieście. I tyle.
– A rejestracja? Rozmawiałeś z nim o przerejestrowaniu samochodu?
– Pewnie. Powiedział, że się tym zajmie. Słabo znam się na papierkach, odkąd umarła moja Lucy. W przyszłym miesiącu będzie trzy lata, niech spoczywa w pokoju. To ona brała na siebie te urzędowe pierdółki. Znaczą się, dałem ciała, złamałem prawo, panie Liu. Dlatego pan tu jest? FBI ma chyba ważniejsze rzeczy na głowie, znaczą nie to chcę powiedzieć, nie mam żadnych złych zamiarów, panie Liu. Zrobię, co pan będzie chciał. Jak mówię, u mnie wszystko jak na dłoni.
– Nie, nie chodzi o nic takiego, Boyd. Jak wyglądał ten kupiec samochodu?
– Bo ja wiem, trudno powiedzieć. Nijaki taki. Brzuchaty, to pamiętam. Żaden przystojniak. I miał chyba ciemne, tak, ciemne włosy. Hmmm. Cała sprzedaż trwała może z dziesięć minut. Pokazałem mu, że wóz jest na chodzie, pokazałem instrukcję w schowku. Powiedziałem, że dorzucę mu jeszcze kuchenkę. Miałem w vanie starą kuchenkę. No i na tym się skończyło.
– Czy tablica była zamontowana na ramkach z napisem „Hoosier State”?
– No ma się rozumieć. Synek mojego kuzyna Bobby’ego grał w kosza na uniwerku. Jestem z niego dumny. I z drużyny. Jestem dumny z mojego stanu, panie Liu.
– Nie mam wątpliwości. Cieszę się, że potwierdza pan to wszystko, to nam naprawdę pomaga.
– Gość, który kupił mój wóz, zrobił coś złego, prawda?
– Można tak powiedzieć, Boyd. Zaginęła pewna dziewczyna. Staram się go jak najszybciej znaleźć, żeby go o nią zapytać. Przypominasz sobie coś jeszcze o nim albo o waszej transakcji?
Obserwowałem reakcję i mowę ciała Boyda, tak jak mnie uczono. Ponieważ właśnie potwierdziłem, że należący do niego pojazd odegrał pewną rolę

w poważnym przestępstwie, którego ofiarą padło dziecko, że to nie żarty i FBI jest na tropie sprawcy, gdyby Boyd miał coś do ukrycia, prawdopodobnie skrzyżowałby ręce na piersi, przymrużyłby oczy, unikał mojego wzroku i popatrzył w górę i w lewo, gdyby się odezwał, bo to charakterystyczne oznaki tworzenia nieprawdziwych odpowiedzi. Boyd niczego takiego nie zrobił. Delikatnie położył dłonie na żółtym blacie, lekko się zgarbił i spojrzał mi w oczy wzrokiem zmęczonego starego niedźwiedzia.

– Zupełnie nic do łba nie przychodzi, panie Liu. Przykro mi. Chcę pomóc tej dziewczynie. A nie zapytałby mnie pan, czy powinienem co zauważyć? Bo ja wiem, coś by mi mogło odświeżyć pamięć.

Przejrzałem rejestr poprzednich spraw, który miałem w głowie, zastanawiając się nad dawnymi tropami doprowadzającymi do dawnych tropów. Nieraz już znajdowałem się w takiej sytuacji.

– Ile benzyny było w baku furgonetki? Pamiętasz?

– Ma się rozumieć, że pamiętam. Wóz leciał już prawie na samych oparach. Na szczęście w szopie miałem dość benzyny, żeby odpalić.

– Gdzie jest najbliższa stacja benzynowa?

– R&K Gas & Suds. Na końcu drogi. Tamten gość zapytał o to samo, a ja mu to samo powiedziałem. R&K Gas & Suds. Na końcu drogi.

Bingo.

– Podpisywał coś? Dotykał czegoś w twoim domu? W ogóle tu wchodził czy został na zewnątrz?

Boyd obejrzał się za siebie, po czym odwrócił się z powrotem do mnie, uśmiechnął się, pokręcił głową i wycelował palec w moją stronę, jak gdyby był dumny ze swojego małego detektywa.

– O, niezły pan jest, panie Liu, niezły. W ogóle o tym nie pomyślałem, ale kurczę, jakby pan zgadł. Gość poszedł do łazienki.

Znowu bingo.

– Nie chcę być nieuprzejmy, Boyd, ale muszę o to zapytać. Czy od tego czasu sprzątałeś łazienkę?

Boyd parsknął śmiechem.

– Pan popatrz na mnie, panie Liu, jestem wdowcem. Pewnie, że nie, nie sprzątałem łazienki. W ogóle nawet z niej nie korzystam. Chodzę tylko na górze. Poza tym wyjeżdżałem odwiedzić brata i mamę w Lu-zi-janie, gdzie Boyd się urodził. Na dodatek wyjechałem wieczorem tego samego dnia, kiedy sprzedałem wóz. A wróciłem dopiero dzisiaj.

– Czyli nikt po nim nie korzystał z łazienki?

– Żywej duszy tam nie było.

Bingo, bingo, bingo. Kupiec skorzystał z łazienki, nikt nie posprzątał, nikt z niej później nie korzystał.

– Mam jeszcze dwie prośby, Boyd. Po pierwsze, chciałbym, żebyś pozwolił nam zabezpieczyć łazienkę i zdjąć stamtąd odciski palców. Po drugie, chciałbym poznać nazwiska i adresy twojego brata i matki w Luizjanie. Mogę liczyć na twoją zgodę?

– Jasne, że ma się rozumieć. Ale czy ja nie będę miał przez to kłopotów?

– Boyd, jeżeli twoja wersja się potwierdzi, a moja partnerka nie znajdzie niczego podejrzanego w stodole, nie będziesz miał kłopotów. Mało tego, jestem ci naprawdę wdzięczny za współpracę. Przy okazji, jesteś właścicielem jakiejś innej nieruchomości oprócz tego domu?

– Nie. Mam tylko to.

– Używałeś kiedyś jakiegoś innego nazwiska?

– Mama nazwała mnie Boyd L. McGuire, to nie mam prawa tego zmieniać, nie? Mama i tak była zła, że dawno temu wyjechałem i zamieszkałem w Indianie, przy rodzinie ze strony taty. No to nie mogę teraz zmieniać nazwiska, prawda, panie Liu?

– Chyba nie, Boyd. Chyba nie.

Wstałem i poszedłem do łazienki, żeby ją ocenić. Z pomocą Boyda z grubsza obliczyłem metraż dla zespołu kryminalistyki, który tego popołudnia miał tu szukać odcisków palców. Wejście zagrodziłem żółtą taśmą, którą mieliśmy w służbowym samochodzie.

Aby móc stworzyć dokładny i rzetelny raport, z wyciąg-niętą bronią sprawdziłem każdy mikrometr kwadratowy domu Boyda, który życzliwie wycofał się na zewnątrz i czekał oparty o drzewo, abym mógł go widzieć z prawie każdego z dwunastu niezastłoniętych okien jego domu. Ten facet nie ukrywał zupełnie niczego, może oprócz stert bielizny do prania, z którym prawdopodobnie dał sobie spokój od śmierci żony. *Ten samotny hodowca drobiu jest niewinny jak wilgotna od rosy lelija.*

Wróciła moja partnerka, brnąc przez podwórko Boyda swoim ulubionym kowbojskim krokiem. Zawiadomiła mnie – Boyd był za daleko, by ją słyszeć – że obeszła całe gospodarstwo wzdłuż i wszerz, zaglądała w każdy kąt, naciskała nawet ściany w czerwonej stodole, by się upewnić, że żadna nie jest fałszywa.

– Nic – poinformowała mnie. Nic nie wskazywało na to, by popełniono tu jakieś przestępstwo. – Za to ta jego stodoła cuchnie jak jeden wielki burdel, wali jak od taniej dziwki z przedmieścia Pittsburgha – narzekała niczym babochłop, którym zresztą była, i jakbym miał cień pojęcia, co ma na myśli.

Guzik obchodził mnie smród w stodole Boyda, pod warunkiem że nie był to zapach śmierci, a wiedziałem, że nie, ponieważ nos Loli był wyszkolony, by wywęszyć zwłoki na podstawie choćby drobnego śladu woni gnijącego ciała. Choć nie zdradzałem ochoty, aby się tym przejmować, przez następne dwa dni skarżyła się, że kurczęta stały po kolana we własnych odchodach.

– Cały czas mam w nosie smród tych spasionych, roz-gdakanych i obsranych kurczaków – powtarzała ze sto razy. Sięgnęła nawet po nasze awaryjne sole trzeźwiące, aby się pozbyć cuchnącego wspomnienia. – Lepiej, żebym sobie nie uszkodziła mojego myśliwskiego nosa – ostrzegła.

Mimo że o nic Boyda nie podejrzewałem, pozostał jeden nierozstrzygnięty problem, który wciąż mnie dręczy: kto zajmował się jego fermą, kiedy wyjechał do Luizjany? To oczywiście nie ma znaczenia, ale zawsze się zastanawiałem. Zanim Lola wróciła ze swojej kontroli, oczyściłem już Boyda z podejrzeń, uznałem więc, że byłoby niegrzecznie indagować, czy troszczył się o swoje kurczaki, czy nie. Dlatego nie pytałem. I jeśli to was denerwuje, trudno. Szukam zaginionych dzieci, nie przypadków zaniedbania drobiu. Idźcie się poskarżyć obrońcom praw zwierząt.

Boyd L. McGuire rzeczywiście nie posiadał żadnej innej nieruchomości. Potwierdziły się również informacje o jego bracie i matce mieszkających w „Lu-zi-janie”. Najważniejszym ustaleniem było jednak wyłączenie Boyda z kręgu podejrzanych, ponieważ ich eliminacja jest równie istotna jak ich znajdowanie. Poza tym dzięki naszej wizycie u Boyda dostałem dwa świetne tropy. Po pierwsze, w łazience Boyda technicy zdjęli trzy takie same odciski kciuka nienależące do gospodarza z klamki oraz – naprawdę – czarnego gumowego przepychacza do toalety. Po drugie, na stacji benzynowej R&K „na końcu drogi” doznałem szoku, kiedy się dowiedziałem, że jej właściciel co dzień wieczorem zmieniał taśmy z zapisem z trzech kamer i wszystkie zachował. Większość kasuje taśmy. Ale nie ten fantastyczny człowiek.

– Proszę tędy – powiedział. – Pokażę panu, gdzie je mam.

Nie tylko miał taśmy, ale przechowywał je ułożone chronologicznie i opisane z dokładnością co do sekundy. Miałem ochotę go ucałować. W szczególności za to, co zobaczyliśmy na jednej z taśm – właśnie dla takich chwil ludzie zostają detektywami.

Wieczorem tego owocnego dnia, który przyniósł nam Boyda i cudownego właściciela stacji benzynowej, zadzwoniłem do swojej żony Sandry zaraz po krótkiej uroczystej kolacji. W restauracji Outback Steakhouse, do której wcale nie mieliśmy tak blisko, lecz Lola nalegała, żebyśmy tam poszli, zamówiłem wysmażony filet i panierowaną cebulę z dipem. Lola zamówiła dwa krwiste steki, trzy guinnessy, dwa pieczone faszerowane ziemniaki wielkości piłek futbolowych oraz dodatkowe pieczywo.

– Za jarzynki dziękuję – oznajmiła kelnerce – ale proszę mi przynieść dwa kawałki tarty z masłem orzechowym.

– Wiesz, że pewnego dnia ta dieta się na tobie zemści – zauważyłem, jak zresztą często powtarzałem.

– Przy tym, co muszę oglądać w piwnicach i na stryszkach, oszczędź sobie kazań na temat mojego odżywiania. Lepiej się zamknij i postaw mi guinnessa,

szefie – odparła, jak zresztą często powtarzała.

Uroczą ta Lola.

Sandra była w trasie na Wschodnim Wybrzeżu, gdzie występowała w klubach i barach. Złapałem ją w jakiejś knajpce w Hyannis Port, tuż po zakończonym programie.

– Cześć, kochanie, dzisiaj też rozśmieszasz publiczność? – zapytałem.

– Och, przecież wiesz. Mówię te same rzeczy co zawsze. Stary materiał. Już mnie zaczyna nudzić.

– Ty mnie nigdy nie nudzisz. Tęsknię.

– Kiedy wracasz? I gdzie w ogóle jesteś?

– Tam, gdzie zawsze, kochanie, pukam do bram piekła. I któregoś dnia diabeł mi otworzy.

– Nie bądź taki pewien, że diabeł będzie płci męskiej. Możliwe, że to ona.

– Możliwe, że ona.

ROZDZIAŁ 5

DWUDZIESTY DZIEŃ W NIEWOLI

Trzeba sporo czasu, żeby zrobić na drutach duży koc. Czerwony koc z dzianiny, atut nr 5. Pamiętajcie, że miałam sporo atutów. Niektórych nawet nie wykorzystałam. Z niektórych skorzystałam tylko częściowo. Niektóre zostały przygotowane i gotowe do użytku Tego Dnia, ale w ostatniej chwili stały się zbyteczne albo nieistotne. Na przykład mój prowizoryczny łuk. Czerwony koc z dzianiny był jednak prawdziwym skarbem. Wykorzystałam go do ostatniego bawełnianego włókna. Jeżeli kiedykolwiek miałam krew na rękach, to musiał być tylko czerwony kłaczek tego pięknego poetyckiego dzieła dzianinowej sztuki. *Brawo, bellissimo, brawo, czerwony kocu, zawdzięczam ci życie. Kocham cię.*

Dwudziestego dnia obudziłam się i weszłam w ustalony schemat, trzy dni przed przyjściem Ekipy Kuchennej, nie obawiając się zagrożenia, że zaszczycą mnie swoją wizytą Doktor czy państwo Banalarze. Wtedy codzienny rytuał dawał mi już poczucie bezpieczeństwa, nie spodziewałam się więc żadnych gości. Byłam w błędzie.

W każdym razie dwudziestego dnia mój porywacz pojawił się zgodnie z harmonogramem, przynosząc mi śniadanie punktualnie o ósmej. Ekipa Kuchenna przygotowała następną tartę i tak jak się spodziewałam, znowu dostałam ją na tym porcelanowym talerzu z różową scenką rodzajową. Jak już dobrze wiecie, ten idiotyczny talerz zaczął we mnie budzić chorobliwy wstręt.

Nie mogłam znieść myśli, że mam znowu dotykać tego talerza, więc dwudziestego dnia złapałam kawałek tarty palcami, jakby to były szczypce, uważając, żeby nawet nie musnąć skórą porcelany. Położyłam tartę na telewizorze, moim nowym nakryciu, a potem, łapiąc talerz przez rękawy, postawiłam go na podłodze, gdzie było jego miejsce, wśród kotów kurzu i mysich odchodów, żeby tam czekał, aż zabierze go czarny charakter, bo tylko na taki los zasługiwał. Oczywiście śmiałam się sama z siebie, przecież racjonalnie rzecz biorąc, porcelana nie była niczemu winna. Mimo to potrzebowałam jakiejś odmiany i naprawdę nie znosiłam tej różowej scenki.

Kiedy usiadłam na podłodze przy tarcie leżącej na telewizorze, zobaczyłam pokój z innej perspektywy. Wprawdzie punkt widzenia zmienił się tylko nieznacznie, ale i tak drobna różnica w rutynie przy jedzeniu i pozycji ciała wprowadziła coś nowego. Może pomysł zaświtał mi dzięki pionowemu ruchowi krwi w mózgu, a może widok łóżka pod innym kątem podsunął mi rozwiązanie, które czekało uśpione w mojej głowie, od chwili gdy tu weszłam i zobaczyłam trzy

belki u sufitu. Z koca można zrobić sznur. Dwudziestego dnia w końcu wszystko wydawało się takie jasne, że poczułam się zawiedziona sobą, że wcześniej nie zauważyłam takiej oczywistości.

Myślę, że czasami powstrzymujemy się od wyciągnięcia nieuchronnych wniosków, ponieważ nie jesteśmy gotowi wykonać czekającego nas zadania. Nasza świadomość zamyka się przed namacalną wiedzą. Na przykład moja matka, kobieta, która sama urodziła dziecko, lekceważyła oznaki świadczące o tym, że jej własna córka jest w siódmym miesiącu ciąży, dopóki ginekolog nie zmusił jej do przyjęcia tego do wiadomości. Być może umysł nie pozwala nam kojarzyć ze sobą faktów, żebyśmy nie musieli świadomie podejmować kroków w celu dokonania trudnych zmian, dopóki nie będziemy do tego gotowi. Dwudziestego dnia musiałam już być gotowa, bo w końcu udało mi się zobaczyć jasno jak na dłoni cały plan. Do tego czasu układałam tylko pojedyncze elementy łamigłówki. Sądziłam wcześniej, że umocniłam się w swojej determinacji, ale dopiero gdy wyobraziłam sobie koc jako broń, zdałam sobie sprawę, jak daleko jestem gotowa się posunąć, żeby uwolnić siebie i dziecko i żeby wziąć odwet.

Zostałaś porwana. Ukradną ci dziecko i sprzedadzą je potworom. Rzucą cię do kamieniołomu. Nikt się nie dowie, gdzie jesteś. Musisz się ratować. Taka jest prawda, pogódź się z nią. Możesz się posłużyć tylko tym, co jest w tym pokoju. Wymyśl plan. I go wykonaj.

Z uśmiechem na twarzy dokończyłam porcję tarty. Na telewizorze nie został ani jeden okruszek.

Trzeba sporo czasu, żeby zrobić na drutach duży koc. Trzeba jeszcze więcej, żeby go spruć. Instynktownie o tym wiedziałam, dlatego chciałam zacząć natychmiast. Zaczekałam, aż mój strażnik przyjdzie po tacę, a potem przeszłam przez cały rytuał toaletowy. Kiedy ta męka wreszcie się skończyła, wyszedł, a ja uznałam, że mogę poświęcić na prucie trzy i pół godziny, które zostały do lunchu. Wyjęłam kabłąk z wiadra i zabrałam się do rozsypywania splotów.

Ranek tego dnia miał żółtawy odcień, melancholijną atmosferę, która odbiera energię i otumania. Słońce zasnuwała jednolita warstwa chmur, usypiając umysł i wzbudzając w nim przekonanie, że dzień nie przyniesie żadnych niespodzianek ani nadziei, że będzie długi, szary i przygnębiający. Tu też byłam w błędzie.

Zmagając się ze zbitym narożnym węzłem, wbiłam uchwyt wiadra w jego środek i poszerzałam szpary między pasmami przędzy, najpierw paznokciem małego palca, potem całym palcem, aż wreszcie wydłubywałam z tej płataniny skręcony dziesięciocentymetrowy flak. Zabrało mi to godzinę, pięć minut i trzy sekundy. Przy tym tempie miałam już opóźnienie w planowanym harmonogramie. Zanim jednak wyznaczyłam nowy termin zakończenia pracy, doszłam do wniosku, że podsumuję czas prucia w ciągu całego dnia, żeby obliczyć przeciętną. Ołówkiem z różowego piórnika w koniki naniosłam pierwsze dane na przygotowanym

wykresie słupkowym.

Następnie rozpoczęłam dekonstrukcję pierwszego rządu. Z atutu nr 16, radia z wyprzedaży staroci, sączyła się *Cyganeria*. Oczywiście wybrałam stację z muzyką klasyczną: musiałam się zmotywować płomieniem namiętności i odwieczną, nieodwzajemnioną tęsknotą – rodzajem emocji, dla których człowiek jest gotów umrzeć. Miałki pop mógłby mnie pozbawić potrzebnego zacięcia. Oczywiście równie skutecznie jak tęskna opera podziałałby hardcore’owy rap, Dr. Dre i Sons of Kalal, których wolę słuchać dzisiaj, siedemnaście lat później. Teraz, gdy jestem dorosła, podczas swoich codziennych serii morderczych ćwiczeń, puszczałam na cały regulator gangsta rap, zwłaszcza gdy wynajęty emerytowany sierżant ryczy mi prosto w twarz, że jestem „mięczakiem”. Ale zgrzytliwa muzyka działa, bo po dwudziestu kilometrach sprintu i przy dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym brzuszku sierżant ukrywa przede mną pełen dumy uśmiezek. Nikt mnie już nigdy nie porwie z ulicy.

Czasem lubię splunąć krwią pod nogi sierżanta. Robię to z najwyższym szacunkiem, jak kot przynoszący swojemu właścicielowi na werandę mysz z odgryzioną głową. Miauu.

Ale dość z teraźniejszością. Wróćmy do przeszłości.

Kiedy na dobre rozpoczęła się druga godzina dwudziestego dnia, na trójkątnym oknie usiadł czarny motyl i przywarł do szyby, rozkładając skrzydła. Czyżby mnie ostrzegał? *Ostrzegasz mnie przed czymś? Wszechświat kryje w sobie wiele niezbadanych tajemnic i niewidzialnych związków. Może więc rzeczywiście mnie ostrzegał.*

Odłożyłam na łóżko czerwony kłęb rozsupływanego koca i na palcach podeszłam bliżej do okna, żeby dokładnie przyjrzeć się motylowi z bliska. Ale ponieważ okno było wysoko, najlepszy widok miałam mniej więcej z połowy pokoju. *Wpadłeś mnie odwiedzić, słodki aniołku? Leć do nich, powiedz, że tu jestem.*

Przysunęłam się bliżej, masując brzuch, moje dziecko, i stanęłam pod oknem, przybliżając twarz, dopóki nie dotknęłam policzkiem ściany. Z powodu poszerzonej talii musiałam się pochylić. Zamknęłam oczy i usiłowałam wyczuć vibracje wysyłane przez serce motyla. *Samotność? Czy jestem samotna? Zakołysz tą ścianą skrzydłami, pokaż, że mnie słyszysz, czarne cudo, czarny przyjacielu. Proszę o cokolwiek. Powiedz mi coś. Uratuj mnie. Pomóż mi. Zakołysz ścianą.*

Dopuszczałam do głosu emocje, więc zaczęłam płakać. Pomyślałam o matce. Pomyślałam o ojcu. Pomyślałam o swoim chłopaku, ojcu mojego dziecka. Ileż bym dała, żeby poczuć dotyk ich dłoni na plecach albo muśnięcie ich warg na policzku.

Ale nie pogrążałam się zbyt długo w smutku. Jak gdybym dotarła do miejsca, gdzie droga skręca pod kątem prostym, w chwili kiedy mój płacz sięgnął zenitu, dzień, mój plan i moje podejście wykonały ostry zwrot. Kiedy stałam

zgarbiona i przygnieciona przygnębieniem i samotnością, schody w korytarzu skrzypnęły pod jego ciężkim krokiem. Usłyszałam, jak szybko zbliża się do mojego pokoju. Biegiem wróciłam do łóżka, zapominając o motyłu, zwinęłam koc, wepchnęłam notatnik z wykresem do materaca – w którego boku od ściany wycięłam piętnastocentymetrową szczelinę – i sekundę przed jego wejściem zdążyłam położyć kabłąk na wiadrze, jak gdyby w ogóle nie był odczepiony. Porywacz wpadł do celi.

– Wyłącz radio. Chodź ze mną, już. I trzymaj gębę na kłódkę.

W twoim głosie wyczuwam strach, a w zapachu twojego potu zagrożenie, drogi mój strażniku. Rękawem otarłam łzy, zamaszystym i buńczucznym ruchem, jakbym ścierała krew w czasie ulicznej bójk i czekała na jej dalszy ciąg. *No, stawaj.*

Wolno podeszłam do radia i ospale jak uparty dzieciak o skłonnościach maniakałnych przekręciłam gałkę radia, demonstrując powolnymi ruchami, że nie mam ochoty dostrajać się do jego nerwowości.

– Rusz dupę. Jak dalej będziesz się tak cholernie grzebać, zrzucę cię ze schodów.

Świetnie się przy tobie bawię, kretynie, ułatwiasz mi to jak mało kto.

Wróciłam do roli nijakiej, potulnej uprowadzonej dziewczynki, którą miałam grać. Spuściłam głowę i drżącym głosem wygłosiłam swoją żelazną kwestię:

– Tak jest, proszę pana.

– Rusz się.

Jesteś taki przewidywalny, tępy prostaku. Zrzucisz mnie? Akurat. Straciłbyś swoją ciepłą posadkę.

Chwytał mnie za przedramię i szarpnął tak mocno, że omal nie zderzyłam się z wiadrem. Na nieszczęście musnęłam stopą jego ściankę i przez trzy straszliwe sekundy patrzyłam, jak kabłąk przechyla się i chybocze na krawędzi. *Jeżeli spadnie, mój strażnik przyjrzy się dokładniej. Odkryje, co zrobiłam, albo da mi inne wiadro, może bez metalowego uchwytu. Nie spadaj. Potrzebuję cię. Nie, nie spadaj. Nie spadaj. Nie, nie spadaj.* Kabłąk wciąż się chybotał. Porywacz pociągnął mnie do drzwi, ale odwracając się, zobaczyłam, że z błogosławieństwem motyła kabłąk, mój dar niebios, posłuszny mojej woli, oparł się grawitacji i pozostał na miejscu. *Nie spadł. Nie spadł. Nie spadł.*

W korytarzu wyłożonym tapetą z brązowym i brudnoróżowym kwiecistym nadrukiem strażnik przystanął. Chłodne stęchłe powietrze i przyćmione światło przypomniało mi, że jesteśmy w starym wiejskim domu albo innym budynku.

Ściskając mój przegub, jakby chciał go złamać, popatrzył nad poręczą na schody prowadzące w dół, a potem na wąskie stopnie prowadzące w górę. Spoglądał to na jedną, to na drugą drogę, jakby nie potrafił się zdecydować. W nieruchomym powietrzu rozległo się pukanie. Domyśliłam się, że przed

drzwiami przy kuchni na dole stoi jakiś niespodziewany gość. Mój strażnik zamarł. *Zając osaczony przez myśliwego.*

Przyjmując pozę jaszczurki, która wie, że kamuflaż ją zdradził, syknął:

– Wystarczy, że piśniesz, a znajdę twoich rodziców i tęym nożem wyrnę im serca.

– Tak jest, proszę pana.

Jak gdybyśmy byli oddziałem żołnierzy zagubionych na tyłach wroga, którzy czołgają się w wysokiej trawie, zgiętym łokciem dał mi znak, żebym ruszyła przodem.

– Tylko cicho. Włóż na górę. Raz-dwa, raz-dwa.

Tak jest, kapitanie.

Spełniłam rozkaz, a on ruszył tuż za mną, z głową na wysokości mojego tyłka, tak blisko, że miałam ochotę powiedzieć: „Zabierz gębę z mojego tyłka”, ale nie powiedziałam. Popchnął mnie w plecy, żebym szła szybciej.

– Szybciej – syknął.

Po chwili znalazłam się na długim strychu ze stromym dachem. Dopiero gdy zobaczyłam wielką otwartą przestrzeń długości trzech czwartych boiska futbolowego, zdałam sobie sprawę, że znajduję się w ogromnym budynku. Wystające w czterech miejscach boki oznaczały cztery skrzydła, z których jedno było moje.

– Idź prosto przez środek aż do szafy na końcu. No już!

Ruszyłam niemal w podskokach, bo tak mocno mnie popychał.

– Szybciej – powtarzał rozgorączkowanym szeptem. Niestety, po drodze nie widziałam zupełnie nic – cokolwiek tu przechowywano, nie było już po tym śladu, podłoga została zamieciona do czysta. Nie została nawet pułapka na myszy.

Gdy dotarliśmy do wolno stojącej szafy z podwójnymi drzwiami i otworami wentylacyjnymi u góry, wepchnął mnie do środka, zamknął drzwi i zatrzasnął na nich kłódkę. Przez szpary w drzwiach błysnęły jego wredne oczy basseta.

– Jak się choćby podrapiesz, zabiję twoich rodziców. Zrozumiano?

– Tak jest, proszę pana.

Wyszedł.

W ciszy rozległ się tylko jego tupot, gdy zbiegał na sam dół. Być może dobiegły mnie jeszcze ledwie słyszalne odgłosy rozmowy, kiedy otwierał drzwi i witał pukającego gościa, ale byłam tak daleko, w dodatku zamknięta w szafie, że najprawdopodobniej wyobraziłam sobie szept. *Lodowata cisza, jak w naszym domu, kiedy umarła siostra taty. Kompletny bezruch, do uszu nie dochodził żaden dźwięk. Dokąd poleciał mój motyl?*

Nie miałam pojęcia, kto stał w drzwiach na dole. Złudna nadzieja podsuwała mi obraz sceptycznego detektywa, który nie dowierzał, że kretyn w progu może być zupełnie niewinny. Zastanawiałam się, czy uruchomić struny głosowe i wydać

ścinający krew w żyłach wrzask, czy zacząć tupać i tłuc się w nowej klatce. Jak się okazuje, dobrze się stało, że ostatecznie postanowiłam nie ryzykować i nie wydawać żadnego dźwięku.

Kiedy dotarło do mnie, w jakim położeniu się znalazłam, obróciłam się o dziewięćdziesiąt stopni i usiadłam w szafie. Po obu stronach miałam miejsce szerokości palca, by znaleźć wygodną pozycję. Moje źrenice potrzebowały trzydziestu, czterdziestu sekund, żeby się przyzwyczaić do mocno przyćmionego światła, ale potem wszystko stało się widzialne i dzięki darowi noktowizji zobaczyłam tę rzecz. Na haczyku w przeciwległym rogu jak pierścionek na gałęzi drzewa w lesie wisiał nieprawdopodobny skarb: kawałek gumy szerokości dwóch centymetrów i długości około metra, takiej, jaką babcia wszywała sobie do domowych spodni z poliestru. *Babcia*. Chwyciłam gumkę i wsunęłam głęboko do majtek, żeby ją zachować. *Atut nr 28, gumka*.

Wnętrze szafy było przesycone zapachem kociego moczu, który przyprawiał mnie o mdłości, ale przywiódł mi też na myśl matkę.

Matka nigdy się nie myli, kiedy wypowiada zdanie twierdzące.

– W tym domu jest kot – oznajmiła kiedyś.

– Przecież nie mamy kota – odpowiedział ze śmiechem ojciec.

Mimo zapewnień ojca, że prawdopodobnie nos płata jej figle i w zamkniętych przez całą zimę pokojach po prostu jest nieświeży zapach, matka zaprotestowała.

– W tym domu jest kot, na pewno, tak jak ja jestem matką tego dziecka. – W trakcie krótkiej tyrady wskazała na mnie, jak gdybym była dowodem rzeczowym w sprawie; z drugą ręką na biodrze stała wyprostowana, z uniesioną głową i wysuniętym podbródkiem. – W tym domu jest kot i zamierzam to udowodnić – brzmiała jej mowa wstępna wygłoszona przed dwojgiem sędziów: ojcem i mną.

Chwyciła latarkę ze skrzynki z narzędziami, którą ojciec chował przed nią właśnie z takich powodów jak ten. Prowadziła poszukiwania do trzeciej rano, przewracając wszystko w każdej szafie, sprawdzając wszystkie kanały, kąty na strychu, ciemne kąty i szpary w piwnicy; grzebała w dziurach w garażu i pustych kłodach na podwórku; zaglądała, przeczesywała i szperała, świeciła latarką wszędzie, aż blask żarówki z białego stał się żółty, potem pomarańczowy, brązowy, szary i wreszcie zgasł zupełnie.

Nie znalazła nawet kociego wąsa, mimo to co godzinę ogłaszała zmęczonemu składowi sędziowskiemu – czyli o północy już tylko mnie:

– W tym domu jest kot i zamierzam to udowodnić.

Nazajutrz rano ojciec, jedyna osoba, której wolno było robić matce wyrzuty, poinformował ją, że jej dalsze „szukanie dowodu na istnienie nieistniejącego kota ma szanse powodzenia podobne do próby poruszania się szybciej niż prędkość

światła”.

Trzeba zaznaczyć, że ja ani razu nie zaprzeczyłam twierdzeniu matki. Mogłabym też kierować jej poszukiwaniami.

Kiedy ojciec przekonał ją, żeby przestała, wymknęłam się, zamknęłam za sobą zewnętrzne drzwi i pojechałam na rolkach na odsłonięty kawałek ziemi w zagajniku brzoź za domem. Okrąglą polankę porastały żółte mlecze, więc moja kryjówka miała żółtą podłogę, białe ściany i błękitny sufit nieba.

Nie wiedzieli, gdzie jestem.

Szybko wróciłam.

Nic im nie powiedziałam.

Matka z niesłabnącym uporem powtarzała, że w domu jest kot.

W ciągu następnego tygodnia zapach wywietrzał.

Mimo to nic nie powiedziałam.

Wraz z zapachem ulotniło się zainteresowanie matki. W następną niedzielę nie wyczuwało się już ani śladu kocich wyziewów. Matka siedziała u siebie w gabinecie na swoim skórzanym tronie Drakuli i srebrnym piórem Cross redagowała wniosek o przyspieszone postępowanie sądowe.

– Mamo – powiedziałam, stając w drzwiach.

Wyteżając wzrok, spojrzała na mnie znad okularów w rogowej oprawie, a dokument w jej rękach nawet nie drgnął. Nie mogłam liczyć na lepszą zachętę do rozmowy. W ramionach tuliłam starego zabiedzonego kota.

– To mój kot – powiedziałam. – Usunęłam kwaśny zapach mieszanką octu, sody oczyszczonej, płynu do mycia naczyń i wody utlenionej oraz warstwą sproszkowanego węgla drzewnego. Odkąd nasikała w piwnicy, trzymałam ją w klatce koło brzoźek, ale teraz będzie musiała być w domu.

Matka teatralnym gestem rzuciła akta na stolik. Raz widziałam u niej taki sam zamaszysty ruch, kiedy doszła do punktu kulminacyjnego mowy końcowej w procesie przed sądem federalnym, na który zostałam zaproszona jako widz.

– Niech to jasny... mówiłam twojemu ojcu, że wyczułam kota.

– Tak – zgodziłam się ze stoickim spokojem, jak gdybym zapisywała dyktowane przez królową przepisy prawa podatkowego.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Chciałam rozwiązać ten problem, zanim ci ją pokażę. – Zostawiłam emocje przed progiem pokoju matki. Nie czułam potrzeby dopuszczania ich do głosu.

– Hm. – Unikała mojego spojrzenia. Możliwe, że byłam jedyną osobą, która potrafiła ją rozbroić, co, obawiam się, budziło jej niepokój. Jak gdybym była stale rozrastającym się ciernistym krzewem, który musiała przycinać z odległości trzech metrów. Nie chciałam jej jednak niepokoić; chciałam tylko przedstawić fakty.

– To kotka. Testowałam ultradźwiękową obrozę do odstraszania pcheł i kleszczy. Wałęsała się przy śmietniku w szkole. Nie miała żadnego

identyfikatora. Ale nie jest dzika, na pewno miała jakiś dom, ktoś ją wyrzucił albo się zgubiła. Lubi ludzi. Nasikała na schodach w piwnicy tylko dlatego, że kupiłam kuwetę dopiero następnego dnia. Schowałam kuwetę za sterylizatorem, przy komorze wodorowej.

Nie pytałam, jak chyba zrobiłaby większość dzieci, czy mogę zatrzymać kota. Dla mnie kotka była nie tylko zwierzęciem domowym, ale też elementem projektu laboratoryjnego. Jeżeli chodzi o to drugie, nie potrzebowałam niczyjej zgody.

– Jak ją nazwałaś?

– Jackson Browne.

– Przecież to jest ona.

– Pomyślałam, że spodoba ci się skojarzenie z twoim ulubionym muzykiem.

– Jak mogłabym się nie zgodzić na Jacksona Browne'a?

Nie prosiłam o zgodę, tylko o akceptację, to co innego.

Psychiatra snuł później teorię, że aprobatą matki dla mojej decyzji, by powiedzieć jej o kocie, dopiero kiedy rozwiążę kwestię moczu, skłoniła mnie do tego, by ukrywać ciążę, dopóki nie znajdę rozwiązania – przypuszczam, że tak przypuszczał lekarz. Ale w ciągu siedmiu miesięcy ukrywania swojego stanu wymyśliłam tylko, że dam dziecku na imię Dylan, na cześć drugiego ulubionego muzyka matki. To postanowienie nigdy się jednak nie zmateriałizowało, ponieważ podczas mojego uwięzienia imię dziecka uległo zmianie.

I rzeczywiście, dwudziestego dnia, kiedy w tej pionowej trumnie na strychu brakowało mi świeżego powietrza, zaczęłam zmieniać zdanie na temat imienia dziecka, chcąc nadać mu więcej znaczenia.

Wydawało się, jakby ciasna klatka szafy była zanurzona w gęstym, kwaśnym kocim moczu, a przez brak wentylacji na gorącym jak gejzer strychu zaczęłam się pocić i z trudem łapałam oddech. Jeżeli uważałam swój pokój za izolatkę, siedzenie w szafie przypominało oderwanie się od statku kosmicznego i koziołkowanie w pustej przestrzeni. *Tu przepływa moja kapsuła. Tu przepływa moja planeta. Grawitacja mnie zdradza, niebezpiecznie unosi mnie ponad gwiazdy.*

Będzie mnie tu trzymać cały dzień? Dłużej?

Upłynęła chyba godzina.

Zemdlałam z gorąca.

Ocknęłam się, kiedy otworzył szafę, i wypadłam jak długa na podłogę, waląc głową w jego buty.

– Ja pier... – zaskrzeczał. Pospiesznie wysunął stopy spod mojej czaszki, jak gdybym była uciekającym szczurem.

Leżałam i rozpaczliwie łapałam powietrze w ataku hiperwentylacji, dygocząc jak wyrzucona na brzeg ryba.

– Niech to szlag! – syknął i tupnął w podłogę. – Kurwa, kurwa mać.

Kopnął mnie lekko w żebra, by w ten sposób zbadać mi puls, zbyt zaniepokojony, żeby się pochylić i pomóc mi oddychać. Dziobał mnie w pierś stalowym noskiem buta, a ja krztusiłam się, rzeziłam i kaszlałam, wyężdżając zapadłe płuca, aż w końcu udało mi się złapać w miarę stabilny rytm. Podczas tej męki nie otwierałam oczu, a on ani razu nie schylił się, aby mi pomóc.

Kiedy już mogłam regulować przepływ powietrza przez nos, przewróciłam się na bok i wygięłam w łuk, po czym otworzyłam prawe oko, które było bliżej sufitu. Niestety, zobaczyłam utkwione we mnie jego jadowite spojrzenie i wzajemna nienawiść na dłuższą chwilę zawiesiła nas w niebezpiecznym klinczu.

Wykonał pierwszy ruch.

Błyskawicznie wziął szeroki zamach i chwycił pełną garść moich włosów. Szarpnął mnie za głowę i tułów równocześnie, zmuszając do przyjęcia pozycji siedzącej, a potem powłókł mnie tyłem po podłodze, po której szorowałam kością ogonową, boleśnie odczuwając nierówności twardych desek.

Opiszę ten ból. Wyobraźcie sobie, że wyciskacie dziesięć tubek kleju błyskawicznego do czapki, którą wkładacie na głowę w ten sposób, że każdy mieszek włosowy stapia się w całość z twardniejącą lepką substancją rozlewającą się na bawełnianej wyściółce i wewnętrznej bawełnianej czaszy jak rak w organizmie. Teraz przyczepcie czapkę do gałęzi drzewa wiszącej trochę wyżej, niż sięgacie głową. Wstańcie. Jest dość miejsca, by czapka naprężyła każdy kosmyk włosów do oporu, wystarczyłaby o ułamek większa siła, aby je przerwać i obdrzeć głowę z maksymalnie napiętej skóry. Każde szarpnięcie rozrywa ją rozpalonymi ostrzami bólu.

Kiedy mnie ciągnął, wymachiwałam rękami, podskakiwałam po podłodze i próbowałam ulżyć cierpieniu, co jakiś czas czepiając się dłońmi jego przedramienia, szukałam oparcia dla stóp, które natychmiast traciły przyczepność. Ślizgały się, bo nic nie mogło się przeciwstawić niszczącej sile, z jaką mnie włócił.

Moje ciało wyginało się w lewo i w prawo jak wyciągany z morza tuńczyk, który szaleńczo trzepocze płetwami.

Naturalnie przy takim momencie siły bezcenny nowy atut, który schowałam w majtkach – kawałek gumy – niebezpiecznie wysunął się z ukrycia i dotknął mojej spęczniałej talii. Gdybym dalej wierzgała nogami, usiłując znaleźć oparcie dla stóp, gwałtowne ruchy pod takim kątem na pewno spowodowałyby dalsze przemieszczanie się kontrabandy, która wypadłaby na mój zaokrąglony brzuch i na podłogę. Miałam wybór: bronić się przed bólem albo ocalić gumę. *Guma*. Rozluźniłam i wyprostowałam nogi, pozwalając ciągnąć się za włosy, a równocześnie, niczym wytrawny mistrz kieszonkowców, wsunęłam dłoń za pasek, chwyciłam elastyczną taśmę i zdusiłam pełgające w niej życie.

Niczego nie zauważył, opanowany jedynym pragnieniem, by zrobić mi krzywdę. Gdy dotarliśmy do schodów i rzucił mnie na gołą podłogę, poczułam, że

mam setkę drzazg w tyłku i posiniaczoną, prawdopodobnie złamaną kość ogonową, ale moja determinacja była potężniejsza niż tysiąc górskich szczytów, potężniejsza niż miliard miliardów galaktyk, potężniejsza niż Bóg, Jego aniołowie i Jego wrogowie, potężniejsza niż milion matek zaginionych dzieci. Teraz już na pewno umrze w męczarniach.

– Wstań, suko.

Podniosłam się, uważając na obrażenia, ale za plecami zaciskałam dłonie w pięści.

Znowu staliśmy naprzeciw siebie jak w kłinczu. Chciałam, żeby zszedł po schodach pierwszy i nie widział, jak z powrotem chowam gumę.

– Idź, kretynko – rozkazał.

Komentarze na temat mojej inteligencji? Naprawdę?

Minęła sekunda, dwie sekundy. Tik. Tak. Zgrzytnął zębami i uniósł ręce.

W tym momencie piętro niżej zadzwonił telefon, o którego istnieniu nie miałam pojęcia.

– Oż ty w mordę – rzucił i zadudnił po stopniach, ruszając odebrać telefon. – Jak za trzy sekundy nie ruszysz dupy, sam cię ściągnę na dół.

– Tak jest – *kretynie*.

Wsunęłam swoją zdobycz za pasek i się uśmiechnęłam.

Gdy, utykając, schodziłam po schodach, wyęczałam słuch, żeby wyłowić treść rozmowy. Usłyszałam tylko to, co mówił on, i to mi wystarczyło.

– Mówiłem ci, że ten budynek jest za bardzo otwarty. Cholera, przyszły tu dwie skautki z matką. Matka za diabła nie chciała wyjść. Mówiłeś, żeby nie wzbudzać żadnych podejrzeń. Przyczaić się i grać swoje. Pewnie gość przyjechał, żeby się zająć swoimi starszymi rodzicami? Och, jaki cudowny człowiek, remontuje ten stary budynek, żeby urządzić tu wielki dom dla matki i ojca? Tak mieli mówić, nie? Do kurwy nędzy, to na razie twój najgłupszy pomysł, Brad. Musiałem podać tej suce od skautek herbatę, Brad. Ta przykrywka jest do dupy. Przecież ci... przecież ci... kurwa, zamknij się, Brad. Mówiłem ci przecież, że... Jasne, że wszystkie bym pozabijał, gdyby ta dziwka zaczęła wrzeszczeć.

Przy tych słowach mrugnął do mnie z miną, która mówiła: *tak, pozabijałbym was wszystkie. Na pewno nie jestem po twojej stronie, na co ja pomyślałam: nie mrugaj do mnie. Jeżeli będę miała okazję, wydłubię ci oczy za ten gest. Zatopię twoje źrenice w żywicy i doczepię sobie do kluczy.*

Po powrocie do pokoju położyłam się na boku, ponieważ plecy i tyłek miałam w sińcach i drobinach drewna. Motyl w oknie był już tylko odległą zjawą, a ja leżałam na białej narzucie i przeglądałam w myślach starannie ułożoną listę atutów. ...*Atut nr 28, cięciwa łuku albo gumka. Dziękuję ci, czarny aniele, za ostrzeżenie i za ten prezent.*

ROZDZIAŁ 6

WIELE DNI, MONOTONIA

Cień: I ja nienawidzę tego, czego ty nienawidzisz: nocy; kocham ludzi, ponieważ są uczniami światła, i raduję się blaskiem, który świeci w ich oku, kiedy poznają i odkrywają, ci nieznużeni poznawcy i odkrywcy. Owym cieniem, który ściele wszystkie rzeczy, kiedy padnie na nie promień poznania – owym cieniem jestem ja.

Fryderyk Nietzsche, Wędrowiec i jego cień³

Talesa uważa się powszechnie za pierwszego greckiego uczonego. Opracował metodę pomiarów za pomocą cieni, pośredni sposób mierzenia wysokości i szerokości przedmiotów, które inaczej trudno byłoby zmierzyć. Tales zastosował tę metodę do piramid. Dzięki własnej wersji nie tylko obliczyłam wzrost i obwód pasa mojego porywacza, ale na tej podstawie również jego wagę.

Po dniu spędzonym na strychu miałam już wystarczająco dużo atutów, żeby zabić mojego porywacza pięć razy z rzędu. Dlatego też musiałam zweryfikować kilka faktów na jego temat i tak jak w zabawie dwiema skakankami, stojąc z boku, musiałam precyzyjnie obliczyć moment, by wkroczyć i zaatakować. *Jeszcze, już niedługo, już niedługo, zaczekaj, zaczekaj, ta chwila nadchodzi...*

Należało też udoskonalić broń, wykonać obliczenia i sprawdzić teorie na temat jego wagi i chodu, no i ciągle ćwiczyć. Jeżeli się więc zastanawiacie, dlaczego piszę tylko o dniach, w których ktoś mnie odwiedza albo udaje mi się zdobyć coś ważnego, to dlatego, że opowiadałabym wam o długich godzinach powtarzania, jak potwierdzają moje zapiski na kilku kartkach – mój prowizoryczny „notatnik laboratoryjny”, który trzymałam zagrzebany w bawełniano-pierzastym wypełnieniu materaca. Poniżej dołączam jego fragment, w którym oznaczam porywacza, mój obiekt badań, symbolem ☉, rzucającego urok złego oka. W wielu kulturach złe oko powszechnie uważa się za omen nieszczęścia dla osoby, na którą zostaje skierowane. Och, wykorzystywałam każdą okazję, żeby spojrzeć złym okiem na swojego ociężałego dozorcę; nawet w moich notatkach kryło się pragnienie, by spotkało go nieszczęście.

Być może zastanawiacie się, po co wprowadziłam taki element jak złe oko do naukowego notatnika laboratoryjnego; przecież to symbol rodem z mitologii

i przesądów, prawda? Może i tak. Ale zilustruję powód krótką poboczną historią.

Kiedy miałam osiem lat, moja ekwadorska niania odbierała mnie po próbie szkolnego przedstawienia. Stała przy wejściu do sali gimnastycznej w towarzystwie matek moich koleżanek i kolegów. Naturalnie podsłuchiwała ich rozmowy. Wystawialiśmy sztukę *Nasze miasto*, a ja grałam w niej rolę nad wiek rozwiniętego dziecka, które często krzyczy. W jednej scenie reżyser kazał mi biec po estradzie i wykrzykiwać swoją kwestię. Nie mam pojęcia dlaczego. Posłusznie spełniłam polecenie, ponieważ psychiatra dziecięcy zalecił mi zabawy w aktorstwo.

– Może teatr pomógłby jej przezwyciężyć przykre skutki tamtej strzelaniny w szkole – powiedział mojej matce, kiedy nieopatrznie poinformowałam ją o koszmarach z bronią maszynową w roli głównej, które nawiedzały mnie kilka razy w ciągu miesiąca. Matka zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że to nie była jednorazowa seria. Te sny dręczyły mnie stale, bo sama je prowokowałam. Między szóstym a dziewiątym rokiem życia dużo czytałam o mózgu i dowiedziałam się, że podczas snu działa w ten sposób, że sam się uzdrawia. I wzmacnia. Dlatego prawie każdego wieczoru zmuszałam się do odtwarzania strzelaniny, słuchając tamtego trach, trach, żeby magicznym sposobem upleść zwój neuronów i upchnąć go ciasno w fałdach ciała migdałowatego. Leżałam w łóżku, przeglądając katalog amunicji i czasopismo łowieckie znalezione w poczekalni u dentysty, które ukrywałam w szufladzie z bielizną, pospiesznie utrwalając w hipokampie wydrukowane w nich ilustracje, jak nastolatek oglądający „Penthouse’a”.

Ostatecznie zdecydowano się na teatr. Przyjęłam rolę w *Naszym mieście*, żeby uspokoić matkę.

No więc pędziłam po scenie i wyrzaskiwałam swoją kwestię, tak jak kazał mi reżyser, a przez grupkę matek przebiegł szmer.

– Niech się zamknie – szepnęła jedna z nich.

– To ona – dorzuciła inna. – Ta stuknięta, która włączyła alarm, kiedy do klasy wpadł tamten bandyta.

Kiedy moja krępa niania odwróciła się do nich, drobna kobieta z hełmem blond włosów posłała mi złowieszcze spojrzenie spod przymrużonych powiek.

– Nie pozwolę Sarze się z nią bawić. Powinni ją wysłać do specjalnej szkoły dla takich dziwadł – oznajmiła królowa w hełmie.

Niania sapnęła oburzona, co szybko przerwało głupią gadaninę zgrai matek. Zanim zdążyły zwrócić się do niej z żalnymi przeprosinami, moja opiekunka podeszła krokiem generała informującego prezydenta o rozpoczęciu wojny, chwyciła mnie za rękę i wyprowadziła z sali gimnastycznej.

W samochodzie nie odzywała się do mnie, mrużąc tylko pod nosem jakąś modlitwę.

– *Dios Mio, Ad Te Domine* – powtarzała. W domu postawiła mnie przy lodówce, wyjęła z niej jajko i zaczęła nim pocierać moje ręce, nogi, tułów i twarz.

Kiedy do kuchni weszła matka i zobaczyła ten dziwny rytuał, upuściła na podłogę teczkę ze skóry aligatora.

– Gilma, co ty wyprawiasz? – krzyknęła.

Gilma nie przerywała zagadkowej czynności.

– Gilma, co ty, u diabła, wyrabiasz?!

– Pani nie przeszkadza. Blond pani patrzyła na dziecko złym okiem. Tylko jajko wyleczy.

Matka zazwyczaj nie tolerowała przesądów, ale w głosie Gilmy brzmiał bardzo stanowczy ton, a jeżeli można coś powiedzieć o mojej matce, to gdy widzi szczere, niezachwiane przekonanie, zwłaszcza u krępej, gruboskórnej cudzoziemki o złotych oczach, będzie gotowa jej słuchać.

– Pani się nie martwi. Poradzę. Oddam diablicy jej złe oko, ona za to nie wie o jajku. – Puściła oko, święcie wierząc w swoją prastarą mitologię.

Nie miałam nic przeciwko temu, by Gilma turlała po mnie jajko. Uważałam tylko, że to bardzo nieskuteczne. Po co czekać na niepewne skutki klątwy? Czy nie lepiej przejąć inicjatywę i ułożyć plan, żeby uzyskać jakiś konkretny rezultat?

Tydzień później odbyła się premiera *Naszego miasta*. Zanim zajęliśmy miejsca na scenie, wyszłam na widownię sprawdzić, gdzie siedzą rodzice. Gilma usiadła rząd za nimi, chociaż nie przypuszczałam, że w ogóle przyjdzie. Uśmiechnęłam się zadowolona z jej obecności. Gilma skinęła głową, dając nam znak, żebyśmy popatrzyli na drugą stronę przejścia między krzesłami. Spojrzeliśmy tam. Matka zakryła usta dłońmi, tłumiąc słyszalny okrzyk zdumienia. Gilma mrugnęła do nas i poruszając ustami, bezgłośnie powiedziała:

– Złe oko. Nie miała jajka.

Obiektem naszego zainteresowania była tamta blondynka, tyle że tym razem jej doskonałą fryzurę przecinała nierówna wygolona ścieżka, sięgająca od podstawy czaszki aż do miejsca, gdzie przedtem zaczynała się gęsta kędzierzawa grzywka. Reszta hełmu jej jasnych włosów pozostała nietknięta, prócz tej poszarpanej skalpowej dróżki przez środek. Kobieta nosiła tę fryzjerską katastrofę jak wyzywającą odznakę, jej zmieszanie zdradzały tylko zaciśnięte pięści. Nie mam pojęcia, dlaczego nie nakryła głowy szalem, jak zrobiłaby każda normalna kobieta, która ma dla siebie odrobinę szacunku.

Jakaś kobieta w niebieskim swetrze nachyliła się do mojej matki i szeptem poinformowała:

– Jej pięcioletnia córka zabrała tatusiowi elektryczną maszynkę do golenia i wycięła jej ten numer. Baba podobno leżała na szezlongu schlana do nieprzytomności.

Matka posłała kobiecie w swetrze koci uśmiech i puściła oko do Gilmy, mojej wiernej guwernantki, mojego najemnego rycerza, który dzielnie obronił mnie jajkiem przed klątwą złego oka.

W każdym razie oto fragment mojego więziennego notatnika laboratoryjnego:

Dzień 8: 8.00 rano, przychodzi ze śniadaniem. ☉ stawia coś na podłodze przed drzwiami. Brzęk kluczy. ☉ po 2,2 sekundy odciąga zasuwę i przekręca zamek, z lewej na prawo. ☉ otwiera drzwi prawą ręką, stawia na progu prawą stopę, podnosi tacę z podłogi. Kiedy ☉ stoi, sięga wysokości 175,3 cm zaznaczonej na framudze – którą zmierzyłam swoją trzydziestocentymetrową linijką. ☉ ma zajęte obie ręce. Popycha drzwi prawym ramieniem, wchodzi lewą nogą. Według moich obliczeń od otwarcia zamka do postawienia lewej stopy w pokoju mija 4,1 sekundy. ☉ nie zatrzymuje się, żeby sprawdzić moje położenie; pierwszy krok stawia na 3. desce; pokonuje 2,5 metra od futryny drzwi do krawędzi łóżka w 3 sekundy i w 4 krokach: lewa noga, prawa noga, lewa noga, prawa noga dostawiona do lewej. Dzisiaj słońce rzuca cień za ☉ na wysokości 99 cm nad górną krawędzią wezglowia i 94 cm za bokiem łóżka w kierunku drzwi – zazaczyłam w myślach i zmierzyłam linijką te punkty, wyznaczone przez wyżłobienia w deskach podłogi. ☉ proponuje wodę. ☉ wychodzi po wodę do łazienki w korytarzu. Ten etap trwa 38 sekund, od propozycji do powrotu ☉ .

8.01: ☉ wychodzi.

8.02–8.15: Jem śniadanie: bułeczka cyrulkowa, banan, plasterek szynki, mleko.

8.15: Mierzę kontury cieni, zapisuję wzrost i ekstrapoluję szerokość na 101 cm w pasie; porównuję swój wzrost i szerokość do oznaczeń jego cienia, swoją wagę – od ostatniej wizyty w przychodni plus 2–2,5 kg, 61–65 z dzieckiem – ☉ waży 82,5 kg. Wynik zgadza się ze wstępną teorią i wcześniejszymi pomiarami.

8.20–8.30: Czekam na powrót ☉ po tacę.

8.30: ☉ wraca. Brzęk kluczy. 2,1 sekundy na odciągnięcie zasuw i przekręcenia zamka, z lewej na prawo. ☉ otwiera drzwi prawą ręką, stawia na progu prawą stopę. Popycha drzwi prawym ramieniem, wchodzi, stawiając pierwszy krok lewą nogą. Od otwarcia zamka do postawienia lewej stopy według obliczeń mija 4,1 sekundy – odnotowuję zgodność z poprzednim czasem, takim samym, kiedy ☉ niesie jedzenie i kiedy nie. ☉ nie zatrzymuje się, żeby sprawdzić moje położenie; pierwszy krok stawia na 3. desce; pokonuje 2,5 metra od futryny drzwi do krawędzi łóżka w 3 sekundy i w 4 krokach: lewa noga, prawa noga, lewa noga, prawa noga dostawiona do lewej – znowu odnotowuję zgodność. Słońce rzuca cień za ☉ na wysokości 96,5 cm nad wezglowiem, 91,4 cm za bokiem łóżka w kierunku drzwi.

8.30–8.35: ☉ proponuje wyjście do łazienki. Korzystam z łazienki, myję twarz, ciało i zęby ściereczką, która leży na umywalce od 3. dnia, piję z kranu.

8.35: ☉ wychodzi.

8.36: Oznaczanie i pomiar zapamiętanego cienia. Wektory zgodne: 175,3 cm

wzrostu, 101 cm w pasie, waga 82,5 kg. Kontynuacja pomiarów dla całkowitej pewności i odnotowania fluktuacji stanu fizycznego ☉ .

8.40–12.00: Medytacja, tai chi, ćwiczenia w rozmieszczeniu atutów, ocena zasobów.

12.00: Wraca ☉ . Te same obserwacje co przy porannym wejściu – wszystkie wielkości zgodne. Popołudniowe słońce rzuca cień wokół jego ciała około 15 cm od jego stóp. Buty są na gumowej podeszwie, ale to go chyba nie uratuje.

12.01: ☉ daje mi plastikowy kubek, żebym naląła sobie wody w łazience. Piję z kranu. Nabieram 200 ml wody i wracam. ☉ wychodzi, zamyka drzwi na klucz.

12.02–12.20: Jem lunch: jajko na bekonie, tarta, chleb domowej roboty, mleko.

12.20: Pomiar cienia, zapis wektorów: 175,3 cm, 101 cm w pasie, 82,5 kg. Wyniki są zgodne. Kontynuacja pomiarów.

12.20–12.45: Czekam na powrót ☉ po tacę.

12.45: Wraca ☉ . Brzęk kluczy...

I tak dalej. Był precyzyjny, punktualny, przewidywalny. Wektory zgodne. Sklonowany wartownik. Zahipnotyzowany żołnierz. Znając militarne zwyczaje ojca wyniesione z Navy Seals, zastanawiałam się, czy mój porywacz jest byłym wojskowym. Dwudziestego piątego dnia prawie to potwierdziłam. Dziwna była jednak sprzeczność między jego nadzwyczajną punktualnością a niechlujnym wyglądem.

Jak widać z powyższego fragmentu, stale przeprowadzałam pomiary. Chciałam mieć stuprocentową gwarancję wykonania planu. Wkrótce jednak uznałam, że spisywanie wszystkiego będzie mało efektywne, zaczęłam więc notować dane, obliczenia i wektory w postaci wykresów, rezerwując pełen opis dla nowo zdobytych informacji i atutów. I tak mój notatnik laboratoryjny zmienił formę i odtąd składał się głównie z wykresów.

3 Przekład Konrada Drzewieckiego.

ROZDZIAŁ 7

AGENT SPECJALNY ROGER LIU

Po nieskończeniu długich kilku tygodniach śledztwa Lola i ja siedzieliśmy przy narożnym stoliku w słynnej restauracji śniadaniowej Lou Mitchell's w West Loop w Chicago. Była środa, koniec wiosny, dlatego klientelę stanowiła mieszanina turystów w dresach i ludzi biznesu dumnie obnoszących dwurzędowe uniformy. Śniadanie podano mi na gorącym porcelanowym talerzu: dwa sadzone jajka lśniące od masła, na którym je usmażono, grzankę z białego chleba i porcję bekonu. Lola zamówiła to samo plus górę naleśników i szynkę. Oczywiście na stoliku przed nami stał duży dzbanek kawy. Poczułem się swojsko wśród zrządzających kelnerek i zajętych swoimi sprawami gości, mówiących z nosowym akcentem Środkowego Zachodu, beztroskich, jak gdyby wcale nie zaczęli dnia, ale wpadli do nocnego klubu, jak gdyby wcale nie czekała ich praca albo długa podróż autobusem, tylko zatrzymali się na krótki postój w drodze na lunch złożony z panierowanego steku, a potem na piwo i smażone skrzydełka. Pulsując w tym rytmie, uśmiechnąłem się w duchu na myśl o koktajlu na Rush Street przy stoliku na zewnątrz. Ale wtedy zadzwonił mój telefon.

– Halo? – powiedziałem.

Lola uniosła głowę znad parujących naleśników, w które dosłownie wtykała nos.

– Hmm – odezwała się z taką miną, jakby też odebrała ten telefon.

Głos po drugiej stronie sprawił, że wstałem od stołu, żeby porozmawiać na chodniku przed restauracją. Lola jadła dalej, choć bez entuzjazmu. Wracając, nakryłem ją, gdy sięgała po grzankę z mojego talerza.

– Dzwonił Boyd – poinformowałem ją. Uwielbiałem serwować jej takie wiadomości, które spadały jak grom z jasnego nieba.

Położyła moją grzankę na swoim talerzu i wzięła serwetkę, którą zdążyła już poplamieć syropem klonowym i płynnym żółtkiem. Zamaszyście ocierając wargi i wydłubując językiem resztki szynki spomiędzy zębów, wycelowała we mnie pięść.

– Sukinsyn, Liu. Wiedziałam, że ten ubabrany w gnoju gość wie coś więcej. Przecież mówiłam. Powiedziałam ci, nie?

Wcale mi o tym nie mówiła. Narzekała tylko na smród w stodole Boyda. Chociaż prawdę powiedziawszy, też sądziłem, że Boyd wie coś więcej. Chciałbym wam powiedzieć, że jego telefon mnie zaskoczył, ale przerabiałem to już wiele razy. Siedząc w kuchni z agentami FBI, ludzie się denerwują. Zastanawiają się

z niepokojem, jak wyglądają, jak mówią, czy może sami są obiektem zainteresowania śledztwa. Myślą o chwilach własnej nierozwagi w przeszłości, niepewni, czy moje śledztwo nie jest przypadkiem przykrywką dla innego dochodzenia w sprawie, którą znają o wiele lepiej. Dopiero kilka dni po naszym odjeździe – czasem nawet kilka miesięcy – udaje im się odgrzebać z pamięci jakiś szczegół czy odnotowaną podświadomie obserwację. Wtedy życzliwi świadkowie odnajdują wizytówkę, moją albo Loli, i dzwonią. Ich rewelacje zazwyczaj niewiele wnoszą, są bezwartościowe albo powtarzają to, co już sami odkryliśmy.

„Teraz dokładnie sobie przypominam, panie Liu, miała na pewno zielony samochód” – mówią na przykład, na co ja myślę: *Aha. Szmaragdowy dwudrzwiowy ford rocznik siedemdziesiąty dziewiąty. W zeszłym tygodniu znaleźliśmy go z trupami w bagażniku na dnie jeziora Winnepesaukee. Dzięki za telefon.*

Kiedy więc usłyszałem głos Boyda, nie spodziewałem się zbyt wiele. Bóg i Boyd tylko wiedzą, jak bardzo się myliłem.

Zanim jednak zajmiemy się drogocennym wkładem Boyda w śledztwo, powinienem wyjaśnić, jak z Lolą znaleźliśmy się w restauracji w Chicago. Jak sobie przypominacie, mieliśmy szczęście natrafić na złotodajne taśmy na stacji benzynowej na obrzeżach South Bend w Indianie. Znaliśmy dzień, którego zapis należy obejrzeć, i z grubsza porę: popołudnie tego dnia, kiedy Boyd sprzedał furgonetkę, a tak się akurat złożyło, że to były urodziny jego brata, więc jeszcze tego samego dnia Boyd wyjechał do „Lu-zi-jany” z wizytą, która nieco się przeciągnęła.

Z tego dnia były trzy taśmy: na jednej zarejestrowano obraz z kamery przy dystrybutorach, na drugiej z kamery nad kasą, a na trzeciej obraz znad wejścia do toalet z widokiem na drzwi wejściowe. Na wszystkich trzech taśmach znaleźliśmy naszego podejrzanego, *en face*, ze zmarszczonym czołem, ale na jednej klatce szeroko uśmiechniętego. *Trafiony, zatopiony*. Namierzyliśmy go, gdy tylko rzucił się nam w oczy van przy dystrybutorach, gdzie spędził dwie i pół minuty, a później śledziliśmy go w drodze do kasy po tym, jak zniknął nam na trzy minuty, podczas których wszedł w posiadanie półlitrowego kartonu mleka czekoladowego oraz opakowania ciastek Ding Dong. Przy kasie poprosił o paczkę marlboro, co udało się nam ustalić bez trudu, ponieważ mówił wolno, a nasze oczy były wyćwiczone w czytaniu z ruchu warg. Następnie poprosił o klucz do toalety, który nasz cudowny właściciel stacji uprzejmie mu wydał. Po kolejnych czterech minutach oddał klucz i ostatni raz widzieliśmy go przy dystrybutorach, kiedy sprawdzał, czy korek wlewu jest zamknięty, po czym wsiadł za kierownicę i odjechał.

Cały ten materiał, wraz z odciskami palców zabezpieczonymi w łazience Boyda, został wysłany do Wirginii, aby poddać go wnikliwej analizie. Po zakończeniu badań wzbogaciliśmy swoją wiedzę o następujące fakty: mężczyzna tuż po czterdziestce, ciemne włosy przycięte równo na cezara, małe, okrągłe

szczurze oczy o tak ciemnych źrenicach, że wydawały się czarne, wąskie usta, jakby ich prawie nie było, oraz wydatny nos o wyjątkowo szerokich nozdrzach. Dolne powieki opadały, ukazując tkankę wnętrza oczodołów. Zdaniem ekspertów medycznych to mógł być objaw tocznia rumieniowatego. Według opinii specjalistów od profilowania i antropologów pochodził z Sycylii, ale wychował się w Ameryce. Najwyraźniej palacz z nadwagą, której jedyną oznaką był zaokrąglony brzuch. Nie był karany, nie miał udokumentowanej służby wojskowej, więc odciski palców nie pomogły w identyfikacji. Jego wzrost szacowaliśmy na 175 centymetrów, a wagę na 80–85 kilogramów.

Nasz podejrzany miał na sobie T-shirt Lou Mitchell's. Na podstawie koloru i fasonu analitycy ustalili, że koszulka pochodzi z zeszłego roku albo sprzed dwóch lat. Być może nie ekscytowałbym się T-shirtem, gdyby T-shirt miał być jedynym tropem; prawdopodobnie przypuszczałbym, że to po prostu turysta. Kiedy jednak przy kasie na stacji otworzył portfel, popełnił błąd i położył go na ladzie, a nasi bystroocy spece od wideo z centrali skoncentrowali się na jednym kadrze, który ujawniał wszystko: klatka 126:05:001 ukazywała wystający nad szwem postrzępiony brzeżek czeku, na którym były widoczne litery: L... CHELL'S. Chociaż powiększyliśmy obraz do tego stopnia, że można było zobaczyć poszczególne molekuly skóry portfela, nie mogliśmy nigdzie znaleźć nazwiska mężczyzny, ponieważ najwyraźniej nie nosił w nim prawa jazdy ani kart kredytowych, zaczęliśmy więc nazywać naszego podejrzanego o szczurzych oczach Ding-Dongiem.

Uczepiliśmy się liter na czeku. Behawioryści postawili hipotezę, że sylwetka Ding-Donga, jego chód, ślady oparzeń na palcach i odruch ocierania dłoni o spodnie, który można było zaobserwować przy dystrybutorze, świadczą o tym, że jest kucharzem przygotowującym szybkie dania. T-shirt i brakujące litery na czeku w jego portfelu, których bez trudu można się było domyślić, pozwalały nam wysnuć jedyny wniosek: pracował w Lou Mitchell's. Eksperci medyczni na podstawie samego zapisu wideo zdiagnozowali u niego także łagodną formę rozedmy płuc.

Lola i ja pogналиśmy do Chicago w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby zidentyfikować naszego zasapanego kucharza od szybkich dań.

Czekaliśmy w Lou Mitchell's na niejakiego Stana, szefa kuchni, który miał się z nami spotkać po zakończeniu porannego ruchu. Obiecaliśmy nowemu kierownikowi, że nie będziemy wypytywać kelnerek podczas pracy, kiedy krążył po sali. Dlatego usiedliśmy przy stoliku i zamówiliśmy wyżej wspomniane dania. Kiedy pokazaliśmy kierownikowi zdjęcie Ding-Donga, wyjaśnił:

– Przyszedłem tu w zeszłym roku i nie pamiętam tego faceta. Najlepiej będzie, jeżeli porozmawiają państwo ze Stanem. Jeżeli ktokolwiek tu pracował, Stan na pewno będzie go znał.

Po puste talerze przyszła nasza kelnerka, sroga kobieta pod sześćdziesiątkę. Stojąc bokiem do nas z przechyloną głową i spoglądając nieco w dół, z poufałym tonem znudzenia w głosie poinformowała nas:

– Duży już na was czeka. Idźcie za bar. W lewo przy lodówce. Na pewno go poznacie.

Ruszyliśmy z Lolą we wskazaną stronę. Gdy tylko skręciliśmy w lewo przy lodówce, zobaczyliśmy wielkiego jak góra mężczyznę stojącego przy płycie do pieczenia długości prawie dwóch i pół metra. Facet był tak szeroki, że aby opasać mu brzuch, trzeba było połączyć dwa fartuchy.

– Stan? – zapytałem.

Cisza.

– Stan? – powtórzyłem.

– Słyszałem już za pierwszym razem, szeryfie. Chodźcie tu. Możecie usiąść na tych kartonach z olejem.

Usiadłem we wskazanym miejscu. Lola natomiast swoim zwyczajem zajęła pozycję wiernego wartownika za moimi plecami.

Oglądana z boku głowa Stana miała wielkość piłki lekarskiej: była wielka i okrągła. Nosił zadbane bokobrody i miał grzywę niesfornych loków, które do połowy czaszki były gładko zaczesane, a dalej wymykały się z pęt brylantyny i rozsypywały w perukę kłowna. Stan odwrócił twarz w moją stronę. Nigdy w życiu nie widziałem tak wielkiego nosa. Jeżeli na ziemi kiedykolwiek istniały olbrzymy, Stan z pewnością był ich potomkiem.

– Czego pan ode mnie chcesz, szeryfie? – Z łopatkki chlapnęło na podłogę ciasto naleśnikowe, za którym podążyłem wzrokiem; on nawet nie spojrzał.

– Ciekaw jestem, czy znasz tego człowieka. – Pokazałem mu zdjęcie podejrzanego.

Stan wlepił w fotografię szkliste spojrzenie brązowych krowich oczu, prychnął, odwrócił się z powrotem do płyty, szybko przerzucił na drugą stronę trzy naleśniki po kolei i wydał stłumiony pomruk.

– To chyba oznacza, że go znasz – powiedziałem.

– Ten gość to kawał idioty. Nie ma go tu od jakichś dwóch lat. Wylałem go na zbity pysk po trzech dniach. Przychodzi do mnie, mówi, że przez pięć lat pracował w przydrożnym barze pod Detroit. Mówi, że robił szybkie dania, że był cukiernikiem, zastępcą szefa kuchni, szefem kuchni, do wyboru, do koloru. Podobno wszystko stracił z powodu jakiejś awantury z właścicielem. Mówi, że zupełnie mu się nie wiedzie, chce zacząć od nowa i czy nie znalazłbym mu czegoś u siebie. No to dałem go na bekon. Pierwszego dnia od razu się kapnąłem, że facet w życiu nie był w kuchni. Spalił co do jednego wszystkie plastry, które miał usmażyć. Na drugi dzień daję go na zmywak. I znowu chrzani robotę. Wydaje talerze z resztkami jajek i innym syfem. Pomyślałem, że trzeba mu walnąć Wykład

Stana o Perfekcji i dać mu jeszcze jeden dzień. I tak zrobiłem. Ale on, niech go szlag, trzeciego dnia też dał dupy. No a rzecz w tym, szeryfie, że jesteśmy w Pieprzonym Lou Mitchell's. Nie dajemy sobie wciskać kitów. Robimy najlepsze śniadania w całym pieprzonym mieście. Uwielbia nas burmistrz Daley. Przewodnik Zagat pisze, że nasze omlety robi sam Pan Bóg. Że jesteśmy „światowej klasy”. – Stan skierował wzrok na Lolę. – Zresztą pani szeryf wie – oznajmił, celując w nią łopatką. – Jasne, widziałem, jak zmiata pani moje naleśniki.

Lola w przejawie najwyższej wylewności skinęła Stanowi głową, co w istocie było oznaką szacunku. Zrozumiał, bo mrugnął do niej, lecz zaraz wrócił do głoszenia osobistego kazania.

– No więc, szeryfie, jesteśmy Pieprzonym Lou Mitchell's i nie pozwolę, żeby jakiś dupek wciskał mi kit. Jasne? – dorzucił, jak gdybym zamierzał zakwestionować tak bezspornie obiektywny fakt. Pokiwałem głową, zapewniając go, że ma rację.

– W każdym razie czwartego dnia – ciągnął Stan – czekam na tego idiotę przy tylnym wejściu. Mam w garści czek i mówię mu, że nie wraca. A ten palant na to, że muszę mu zapłacić gotówką. Że nie może zrealizować czeku. Powinienem się domyślić, nie? Powinienem się domyślić, że to szemrany typek. A my nie jesteśmy lokalem dla szemranego towarzystwa, szeryfie.

Stan przerzucił jeszcze kilka naleśników, za plecami machając z lekceważeniem wolną ręką.

– Pewnie chcecie, żeby wam podać jego nazwisko i wszystkie inne informacje, które o nim mamy. Problem w tym, że trochę obszedłem normalną procedurę i z miejsca dałem mu robotę. No więc nie mam żadnego podania, nic o nim nie mam. Linda, ta, co stoi za ladą, kazała mu wypełnić druczek W-2, żeby mu wystawiać czeki. Poproście ją, żeby wygrzebała wam papier tego palanta, który przedstawił się jako Ron Smith i pracował tu przez trzy dni w marcu dziewięćdziesiątego pierwszego. Ale słuchajcie, szeryfowie, palant nie nazywał się Ron Smith, to chyba jasne?

– Na pewno masz całkowitą słuszność, Stan. Możesz nam powiedzieć o nim coś jeszcze? Miał jakieś tatuaże? Mówił coś o tym, skąd jest, gdzie chodził do szkoły, cokolwiek, co mogłoby się nam przydać?

– Przede wszystkim był fiutem. Poza tym, był głupi jak to pudło z olejem, na którym pan siedzisz. Nie umiał usmażyć bekonu. Oprócz tego łągał, aż się kurzyło. Nie rozmawiał ze mną, z nikim nie rozmawiał. Dzikus jebany. Nie umiem wam podać żadnego faktu. Może oprócz tego, że był punktualny jak świr. Przychodził punkt o piątej rano i wychodził o trzeciej po południu, odbijał kartę równo z piknięciem zegara. Pamiętam, jak liczyłem Lindzie, ile godzin przepracował. Zegar pokazywał, że przez te trzy dni zaczynał i kończył zmianę równo co do sekundy. Powiedział mi jedną ciekawą rzecz. Zaraz jak stanął w drzwiach z tyłu,

mówi: „Mam fioła na punkcie czasu. Codziennie będę przychodził punktualnie. Ale muszę wyjść dokładnie o tej godzinie, kiedy się kończy zmiana. Można to nazwać nerwicą natręctw. Można to nazwać, jak sobie chcesz, ale zawsze jestem punktualny. Muszę”. Tak mi powiedział. Pieprzony świrus.

– Stan, naprawdę nam pomogłeś. Sądziś, że to były żołnierz albo weteran?

– Nie ma mowy, żeby idiotę wzięli do wojska, do marines, do lotnictwa, marynarki. Nie ma mowy. Odsłużyłem swoje i sporo chłopaków po wyjściu do cywila przychodziło tu popracować, ale żaden z nich nie przypominał tego gościa. Poza tym w ogóle nie dbał o kondycję. Chociaż nie mnie to oceniać, bo lepszy nie jestem, ale większość wojskowych, których znałem, dbała o formę, przynajmniej trochę. A u niego nawet po rękach widać, że w życiu nie podniósł żadnego ciężaru. Po prostu czubek, który zawsze musi być wszędzie punktualnie, bo inaczej kompletnie zeświruje albo co.

– Stan... – zacząłem, ale Stan obrócił ku mnie cały tułów i wycelował łopatkę w moją twarz. Odchyliłem się do tyłu, unikając ciosu; Lola natomiast się zbliżyła. Stan nie zwrócił na nią uwagi, jak gdyby znaczyła dla niego tyle, co mucha w kuchni. Stworzyliby pewnie razem zgrany duet; Stan mógłby być świetnym kandydatem, gdyby Lola miała ochotę znaleźć partnera.

– Rany, szeryfie, to był kompletnie zakręcony skurwysyn. Coś sobie przypomniałem. Miał taki nerwowy tik. Kiedy się na niego krzychało, mrugał jak opętany. To było naprawdę wkurzające. No więc jak się weźmie to plus chorą punktualność, to chyba naprawdę miał nerwicę natręctw. – Stan urwał i zaczął w szaleńczym tempie mrugać, aby zademonstrować, o co mu chodzi. – I tyle. Więcej nic nie pamiętam.

Lola odsunęła się, słysząc tę nową informację. W głowie kłębiły mi się pytania, dokąd ta ciekawostka mogłaby nas doprowadzić. Lola na pewno wątpiła, czy da się ją do czegoś wykorzystać i czy w ogóle nam się przyda. Czułem, że otaczają mnie gęste opary wątpliwości, ponieważ Lola zwykle miała rację.

Po przetrząśnięciu z Lindą dziesięciu pudeł w piwnicy znaleźliśmy właściwy formularz W-2 z danymi „Rona Smitha”. Przesłaliśmy go faksem do centrali i jak mogliśmy się spodziewać, nasz specjalista od ewidencji archiwów potwierdził, że to fałszywe nazwisko i fałszywy numer ubezpieczenia. Do tego stopnia fałszywy, że nawet nie sprawdzano go w bazie danych.

– Liu, powinieneś już wiedzieć, że numery ubezpieczenia nie zaczynają się od 99, chyba że facet pochodzi z fikcyjnego miasteczka Talamazoo w Idaho. – Po czym parsknęli szczególnym rodzajem głupkowatego śmiechu z ciemnego biurowego kąta oświetlonego jarzeniówkami.

Wyszliśmy z Lolą z Lou Mitchell's i wyruszyliśmy pieszo w kierunku serca dzielnicy Loop. Przeszliśmy na drugi brzeg rzeki Chicago, idąc drogą dla pieszych przez bogato zdobiony, pomarańczowy łukowy most żelazny. Po szmaragdowo

lśniącej wodzie w dole sunęły w harmonijnym chaosie promy i wodne tramwaje. Wokół nas roilo się od zwiedzających, prawników, turystów, dzieci, bywalców nocnych klubów jazzowych, wracających chwiejnym krokiem do domu, oraz giełdowych macherów w żółtych marynarkach, którzy, zmierzając w różne strony, objęli się o siebie jak srebrne kulki we flipperze. Lola i ja kroczyliśmy przez ten zgiełk w miarowym, wolnym tempie. Stanęliśmy przed Sears Tower, oboje milczący i pogrążeni we własnych myślach o faktach, które przyniósł dzisiejszy poranek.

Wtedy pracowaliśmy razem od pięciu lat i można było nas uznać za równych sobie, mimo że mieliśmy różne zaszeregowania. Wiedziałem, kiedy Lola potrzebuje ciszy i spokoju, ona wiedziała, kiedy ja ich potrzebuję. Choć bardzo przykro mi to mówić, Lola i ja stanowiliśmy bardziej zgrany i precyzyjniej współdziałający tandem niż ja i moja żona. Nawet nasze kroki tego ranka stukały w synchronicznym rytmie, poruszaliśmy się, oddychaliśmy w tym samym tempie, milkliśmy, kiwaliśmy i kręciliśmy głowami jednocześnie, nasze dusze pulsowały według identycznej choreografii, jak para tancerzy stepujących od lat w tym samym przedstawieniu na Broadwayu. To mógł być ten spacer, podczas którego przyznałem się przed dręczącym mnie głosem wewnętrznym, że jestem okropnym mężem. Nigdy nie było mnie w domu. Ale czy Sandra byłaby rozczarowana, gdybym rzucił FBI? Potrafiłbym zerwać z moim piekłem, z obowiązkiem, który sam na siebie nałożyłem, trochę za karę, a trochę po to, by naprawić poważny błąd z przeszłości?

Spacerowym krokiem zapuszczaliśmy się coraz głębiej w trzewia Loop. Między wysokimi budynkami po obu stronach Madison Street było ciemno jak o zmierzchu. Kiedy dotarliśmy do sklepów jubilerskich przy Lower Wacker, estakadą nad naszymi głowami przetoczyła się z hukiem kolejka. W tej części miasta gołębie miały przewagę liczebną nad pracownikami biur, którzy zaludniali rejon dwie ulice wcześniej. Szliśmy dalej, mijając Michigan Avenue, by wkroczyć do Grant Park. To tutaj usiedliśmy z Lolą na zielonej ławce. Wciąż zamyślony, założyłem nogę na nogę. Lola rozstawiła nogi szeroko, wbiła łokcie w uda i nisko pochyliła głowę.

Zadzwoił mój telefon. To znowu był Boyd. Spodziewałem się. Wstałem i zacząłem chodzić w kółko, słuchając go z dala od nastawiającej uszu Loli.

Potem wróciłem na ławkę i upodobniłem się do niej, tak samo garbiąc się i zwieszając głowę. Po minucie ciszy spędzonej w samotności zrobiłem głośny wdech, by poprosić nasz dwuosobowy zespół o uwagę. Miałem coś do zakomunikowania.

W swojej profesji wiele razy słyszałem o przedziwnych szalonych okolicznościach, zdumiewających połączeniach elementów rzeczywistości, które choć oddzielnie wydawały się wiarygodne, razem sprawiały wrażenie

nieprawdopodobnej fantazji. Na przykład w jednej ze spraw zdarzyło się, że rumuński cyrk porzucił swoją starą tańczącą niedźwiedzicę w gęstym lesie w Pensylwanii, tym samym rejonie, gdzie według naszych przypuszczeń miesiąc wcześniej porywacz uprowadził dziesięcioletnią dziewczynkę.

Szukając zapachu człowieka, z którym niedźwiedzica kojarzyła jedzenie, i zataczając koncentryczne koła długości pięciu kilometrów, dosłownie wpadła na naszego porywacza i udusiła go, naciskając mu tchawicę łapą z przyciętymi pazurami. Dziesięciolatka, zbyt przerażona, zmęczona i poturbowana, by zareagować, po prostu upadła u nóg niedźwiedzicy i wybuchnęła szlochem. Potem mówiła nam, że w delirium wzięła niedźwiedzicę za Matkę Boską, której święta twarz promieniała blaskiem słońca, oblewając nim jej różową szatę. Niedźwiedzica pochyliła głowę i pyskiem trąciła dziewczynkę, zachęcając ją, żeby na nią wsiadła. Jakiś kierowca znalazł półprzytomne dziecko na grzbiecie zwierzęcia, które wydawało żalosne pomruki na środku dawnej drogi do wywózki drewna. Dziewczynka miała na sobie różowy trykot; tańcząca niedźwiedzica różową spódniczkę.

Siedząc na ławce w Chicago i myśląc o najnowszych wieściach od Boyda, wydałem ciężkie westchnienie niedowierzania, jak gdybym filtrując przez własne płuca powietrze w tym mieście, mógł wydestylować z jego słów prawdę, w którą zdołam uwierzyć.

Nie zmieniając niedbalej postawy, Lola zwróciła się w moją stronę, a ja poszedłem za jej przykładem.

– Chcesz mi już powiedzieć, co mówił Boyd – odezwała się.

– Idziemy po samochód. Wracamy do Indiany. Już od godziny powinniśmy być w drodze.

– Niech to szlag, Liu, wiedziałam, że ten cuchnący gnojem gość wie coś więcej.

– Nie masz pojęcia, co to jest. Nigdy w to nie uwierzysz. Idziemy po samochód.

– Niedźwiedź w różowym?

– Niedźwiedź w różowym.

ROZDZIAŁ 8

DWUDZIESTY PIĄTY DZIEŃ W NIEWOLI

W życiu zdarzają się koszarne, upiorne dni, które z perspektywy czasu wydają się niewiarygodnie zabawne. Zabawne, jeżeli ktoś lubi czarny humor, niemniej jednak zabawne. W życiu spotykacie ludzi, którzy sprawiają wrażenie strasznie dziwnych, ale z perspektywy czasu też wydają się wisielczo zabawni – przypominają wam także o waszej przewadze, ponieważ bardzo nisko ustawiają poprzeczkę, oddychają waszą atmosferą, jak gdyby mieli do tego prawo.

Dwudziestego piątego dnia miałam gościa, którego wspomnienie nawet teraz, gdy piszę te słowa, wywołuje u mnie chichot. Może Bóg i jego czarny motyl uznali, że potrzebuję wytchnienia w niedoli, zesłali mi więc chwilę dobrej zabawy – tak o tym myślę z perspektywy czasu. Z perspektywy czasu. Bo podczas tej męczarni wyęczałam wszystkie siły, aby bronić się przed strachem, bez przerwy wciskając oporny przełącznik w mózgu.

Było późne popołudnie i nad domem zaczynał zapadać zmierzch. Lada chwila spodziewałam się kolacji. Jak co dzień zebrałam swoje narzędzia do ćwiczeń, nawet te wyczarowane z niczego, i rozmieściłam namacalne i niewidzialne przybory we właściwych miejscach. Siedziałam na łóżku z dłońmi na kolanach, wyprostowanymi plecami, patrząc na swój wystający brzuch, który przypominał puszystego pluszowego misia.

Skrzypnięcie.

Skrzypnięcie, trzask, trochę bliżej.

Skrzypnięcie, trzask, teraz głośniej.

Szczękniętą wkładany kawałek metalu, obrót, zwolnienie blokady, otwarcie drzwi.

Jedzenia nie było.

– Wstań.

Wstałam.

– Podejdź tu.

Zbliżyłam się do swojego dozorca. Nałożył mi na głowę papierową torbę.

– Złap mnie jedną ręką za ramię, drugą trzymaj się poręczy. Nie zawiązałam torby, żebyś widziała, gdzie stawiać nogi na schodach. Chodź. I tylko, kurwa, nie zadawaj żadnych głupich pytań.

Co jest? Każesz mi schodzić po schodach z prawie całkiem zasłoniętymi oczami? Co takiego ważnego wtedy zobaczę? Ujmijmy to inaczej: co takiego ważnego twoim zdaniem bym wtedy zobaczyła? Wiem, że znalazłabym niezliczone

atuty, może nawet drogę ucieczki, ale ty nie wiesz, że to wiem. Prymitywie.

– Tak jest, proszę pana.

Tak więc nie udało mi się zebrać żadnych informacji o świecie piętro niżej prócz tego, że drewniane schody były zmatowiałe pośrodku, w miejscu, gdzie dawniej leżała na nich wykładzina. Podłogi na najniższej kondygnacji były wyłożone cienkimi dębowymi deskami z prawie zupełnie zdartym lakierem od prawdopodobnie wieloletniego i intensywnego użytkowania. Po kilku zakrętach weszliśmy do jasnego pomieszczenia. Nagle światło przebiło papier torby. Zdjęto mi ją z głowy.

– To ona – powiedział mój porywacz do mojego porywacza.

Co się dzieje? Cholera, co jest? Tracę rozum? Jest ich dwóch. Jak to?

– No, bracie, moim zdaniem wygląda na zupełnie zdrową. Dostaniemy dzięki niej ładny grosz – powiedziała kopia mojego porywacza do mojego porywacza.

Jednojąkowe bliźniaki. To biznes rodzinny. Niech mnie obleją brązem i postawią na cokole z tymi rozdziawionymi ustami.

– Chodź, usiądź tu, powabna pantero – zwrócił się do mnie bliźniaczy porywacz, kobiecym gestem wyciągając rękę w stronę krzesła przy zdobionym ornamentami stole. Miał za długie paznokcie jak na mężczyznę. Zwróciłam uwagę na fioletowy szal we wschodnie wzory.

Złowiłam dziwny dźwięk, brzdąkanie na fortepianie Czajkowskiego, sączące się z gramofonu na przykrytym koronkową serwetką kredensie, który stał u szczytu stołu. Fiołkowo-zielona tapeta w kwiaty nadawała wnętrzu niemodny wiktoriański styl, a staroświecki wystrój jeszcze bardziej podkreślał komplet lśniących ciemnych mebli. Prawie czarny, mocno nawoskowany fornir błyszczał, po ścianie pięły się wstrętne róże. Stół otaczało dwanaście wysokich, wyściełanych krzeseł z siedziskami w różowe kwiaty. Pośrodku parowało jedzenie w naczyniach do zapiekania. Ogrzewanie było rozkręcone na cały regulator.

– Piękna pantero, precudna pantero, chodź, usiądź obok mnie. Jestem Brad – przedstawił się Brad, brat bliźniak. W jego wysokim melodyjnym głosie brzmiał nosowy ton. Długi szal z frędzlami powiewał przy każdym egzaltowanym ruchu.

A więc to jest Brad. Dlaczego nazywa mnie panterą? Szal, który dołączyłam do kolekcji, kiedy robili mi USG, musiał pochodzić od niego.

Brad i mój porywacz wyglądali identycznie: ta sama twarz, te same włosy, nosy, oczy, usta, ten sam wzrost, nawet ten sam brzusek. Jedyne różnice: Brad był czysty i zadbane; mój porywacz niechlujny i wymięty.

Usiadłam na krześle obok Brada. Położył mi na łokciu lekką jak piórko dłoń; nawet przez tkaninę poczułam, że jest lepka. *Przy powitaniu Brad na pewno podaje wiotką rękę. Matka poczulaby do niego odrazę. „Nigdy nie ufaj nikomu, kto nie ściska ci mocno ręki – mawiała. Ludzie, którzy na powitanie muskają ci dłoń*

palcami, nie mają kręgosłupa, nie mają głębi, nie mają duszy. Możesz, a nawet powinnaś ich lekceważyć". Położył na stole duży telefon komórkowy, poza zasięgiem mojej ręki.

– Bracie, nie mówiłeś, że z naszej przeuroczej pantery jest taka primadonna – rzekł Brad, kładąc bułeczkę na moim talerzu – znowu talerzu ze scenką rodzajową. *Kiedys porozbijam je na drobne kawałeczki.*

– Brad, zjedzmy i niech dziewczyna wraca na górę. Nie rozumiem, czemu się upierasz, żeby z nimi jeść. I tak już właściwie nie żyją – odezwał się mój wielce nieokrzesany dozorca.

– A fe. Bracie, z ciebie zawsze taki gbur – odrzekł Brad i spojrzał na mnie. – Tak mi przykro, sroga pantero, nigdy nie potrafi się zachować. Nie przejmuj się nim, to grubianin. Posilmy się. Jestem taki zmęczony. Wczoraj przyleciałem z Tajlandii. Cały dzień spędziłem u dentysty. Stary Zręda każe mi nocować w jakimś zapchlonym hoteliku w tej zapadłej dziurze. Jestem taki zmęczony. Strasznie zmęczony. Jutro znowu wylatuję... Och, przemiła pantero, a fe, ależ głupstwa wygaduję i zawracam ci sobą głowę. Na pewno chcesz po prostu coś zjeść. Hi, hi, hi.

Co to za film oglądałam z Lennym, swoim chłopakiem? Ach, tak, Three on a Meathook. Wszyscy troje, syn, matka i ojciec, byli mordercami. Rodzina psychopatów. Czajkowski w tle przeobraził się w zgrzytliwą ścieżkę dźwiękową sceny, w której nóż przebija zasłonkę prysznic.

Brad zdjął pokrywkę z półmiska z pokrojonym w plasterki mięsem i dwa położył mi na talerzu. Miałam nadzieję, że to cielęcina, bo tak wyglądała i pachniała, choć w tym gnieździe obłędu nie mogłam już wierzyć własnym zmysłom. Brad nałożył mi też piramidę lśniącej fasolki szparagowej, łyżkę ziemniaków purée i wąski rząderek glazurowanej marchewki. Nachylił się i pokroił mięso na małe kawałeczki, jak gdyby był moją nową troskliwą matką.

– Panno pantero, mój brat i ja, chociaż może tylko ja, zastanawiamy... zastanawiam się – jego wysoki głos przeszedł nagle w wymuszone niskie rejestry, jakby udając surowość przed dzieckiem – dlaczego patrzysz na niego tak nieprzyjemnym spojrzeniem? – Natychmiast wrócił do swojego dyszkanciku. – Co? Nie lubisz jedzenia, którym cię karmi? Hi, hi, hi. Nie martw się, nie pozwalamy mu gotować. Wyrzuciliby go z pracy w barze, nie poradziłby sobie nawet z przewracaniem bekonu na patelni! Pamiętasz, bracie? Pamiętasz, jak próbowałeś uciec od swojego kochanego Bradzia?

Brad mrugnął do mojego strażnika.

– Grubcio musi ze mną pracować. Jest za tępy, żeby robić coś innego. No nic, nic, gadam jak najęty. Pewnie patrzysz na niego nieprzyjemnym wzrokiem, bo z niego taki gruby flejtuch. – Brad trącił mnie w ramię, żebym zaśmiała się razem z nim. Zdobyłam się na krótkie „ha” i w tym momencie napotkałam spojrzenie

mojego porywacza, zimne, nieruchome spojrzenie, przerywane szybkim mruganiem. Pierwszy raz to zauważyłam, mrugał, mrugał i nie mógł przestać.

– Kurwa, zamknij się, Brad, i kończmy to. – Mrugnął raz i drugi.

– Spokojnie, braciszku. Dziewczyna powinna z apetytem zjeść pyszną kolacyjkę. Prawda, pantero?

– Tak jest, proszę pana.

– Tak jest, proszę pana?! – ryknął Brad. – Tak jest?! Bracie, bracie, przecież to jeszcze dziecko, urocza mała panterka.

Brad pochylił się nad swoim talerzem. Trzymałam ręce na kolanach. Wziął do ust kęs, jego wzrok zatrzymał się na moich zaciśniętych pięściach. Zmarszczył brwi i jego rozchichotana bez troska uleciała w mgnieniu zmrużonych oczu.

– Łap ten pieprzony widelec i jedz cielęcinę, którą ci przygotowałem. No już! – wrzasnął niskim, pełnym obrzydzenia głosem. – Hi, hi, hi – dorzucił znów w wysokim rejestrze.

Wzięłam widelec. Zaczęłam jeść cielątko.

– Słuchaj no, braciszku, dlaczego pantera mówi do mnie: „tak jest, proszę pana”? Tak jej każesz mówić do siebie?

Mój dozorca zgarbił się, wsuwając do otwartych i pełnych już ust porcję ziemniaków.

– Oj, braciszku, nigdy nie zapomnisz o tatusiu, co? – Brad odwrócił się do mnie. – Widzisz, panterciu, mój brat nosi w sobie bardzo głęboki uraz. Nasz tato, kochany tatuś, kazał nam się zwracać do siebie jak do dowódcy. Nawet gdy mieliśmy grypę i wymiotowaliśmy w wyprasowanych piżamach, zawsze było: „bardzo przepraszam, że rzygałem, melduję, że to się nie powtórzy”. Och, piękna panterko, nie zgadniesz, co mój kochany tatuś zrobił mojemu głupiemu bratu.

– Brad, jak w tej chwili nie przestaniesz pieprzyć i nie zamkniesz tej durnej japy... – Mrugnął raz i drugi. Trzeci, czwarty, piąty.

Brad przerwał mu, waląc w stół obiema dłońmi z ogłuszającym hukiem. Kiedy się pochylił, żeby krzyknąć, zakołysał się kryształowy żyrandol.

– Och, bracie, sam się zamknij! – rozkazał, celując w niego ostrzem noża, po czym głośno wyssał językiem kawałeczek mięsa pomiędzy zębów.

Mój porywacz posłusznie się zamknął. Brad usiadł i zmarszczył nos, posyłając mi koci uśmiezek.

Hmm, dziwny układ sił. Zniewieściały bliźniak ma władzę nad niechlujnym. Przysunęłam się odrobinę bliżej Brada, chcąc być może dać mu do zrozumienia, że podświadomie jestem jego sojuszniczką.

– Brat, braciszek, taki drażliwy. A fe. – Słowo „drażliwy” Brad wymówił o oktawę wyżej. – Posłuchaj, panterciu, otóż mój kochany braciszek miał kłopoty z dotrzymaniem godziny powrotu do domu wyznaczonej przez tatę. Tatko mierzył nam czas na wojskowym zegarku, który miał od swoich kapraleskich czasów, a ja –

ja naprawdę umiałem być punktualny. Byłem ulubieńcem tatusia. Rzecz jasna.

Przy ostatnich słowach Brad z zadowoloną miną obejrzał sobie paznokcie.

– W każdym razie ten cymbał spóźniał się czasem o minutę, czasem o pół minuty, wpadał zziębnięty, nie mógł złapać tchu. Pewnego wieczoru, kiedy mieliśmy po osiemnaście lat – bo widzisz, jesteśmy bliźniakami. No więc raz wieczorem, kiedy mieliśmy po osiemnaście lat, ściślej mówiąc, dzień po skończeniu szkoły średniej, tato wysłał go do sklepu na rogu po mleko i kawę Sanka. Mówi mu: „Synu, mierzę ci czas. To będzie twój test. Masz być z powrotem punkt siódma, ani sekundy później. Słyszysz?”. A mój kochany brat na to: „Tak jest, ojcze”, i to była prawidłowa odpowiedź. No i wybiega z domu. Patrzymy z tatą, jak gna ulicą, a tato mruczy pod nosem: „Jest beznadziejny. Ciamajda. Biegnie jak kretyn”. W sklepie coś się musiało stać. Co to było, bracie? Co cię zatrzymało na całe dwie minuty?

Cisza.

Bracia mierzyli się morderczym spojrzeniem. Po policzkach mojego strażnika spływał pot.

Mrugnął. Raz, drugi i trzeci.

Ci dwaj mężczyźni, bliźniacy, wyraźnie się nienawidzili.

Znowu mrugnął. Raz, drugi i trzeci.

Zasłoniłam brzuch skrzyżowanymi rękami.

Mrugnął. Mrugnął. I jeszcze raz.

– Zresztą to i tak nieważne. Mój ukochany głupi brat wchodzi do domu, a tato stuka palcem w zegarek i mówi: „Chłopcze, jest dokładnie siódma dwie. Spóźniłeś się o dwie minuty. Spędzisz rok w pace”.

Mój porywacz upuścił widelec na stół. Tym razem jednak nie mrugał, tylko utkwiał wściekle spojrzenie we mnie, kierując na mnie całą nienawiść, jak gdybym to ja skazała go na pakę. Może dlatego, że przestałam jeść i wpatrywałam się jak urzeczona w Brada, czekając na dalszy ciąg opowieści. Powstrzymałam się od pytania: *jakiej paki?*

– Wiesz, co to była paka, przemiła panterciu? Och, oczywiście, że nie wiesz. Chociaż mój brat płakał i błagał, tato zaciągnął go po schodach do piwnicy, otworzył fałszywą ścianę, wepchnął go do celi, którą zbudowaliśmy latem rok wcześniej, i zamknął drzwi na klucz. Do moich obowiązków należało przynoszenie temu idiocie posiłków. Wkładałem w ich przygotowanie wiele staranności, pantero. To bardzo, bardzo ważne, żeby w zamknięciu zachować dobre zdrowie. Tak nas uczył tatuś. Mam nadzieję, że brat dobrze cię karmi. Tak? Podaje ci posiłki?

– Tak, proszę pana. – Nie spojrzałam na swojego dozorcę. Nie miałam ochoty szukać jego aprobaty.

– Jeżeli nie, sam się tym zajmę. No więc mów, pantero, z łapką na sercu, podaje ci posiłki?

Nie chcę, żebyś ty się tym zajmował. Nie chcę zaczynać wszystkich obliczeń

od początku. Nie mogę od początku uczyć się nowego schematu. Już za późno. Jestem tak blisko dnia wykonania planu. Nie, nie pozwolę, żebyś ty się tym zajął.

– Tak, proszę pana.

– Cudownie, przenajcudowniej, czyli dba, żeby wszystko szło jak po maśle.

– Brad klasnął w ręce jak nakręcana mała z czynelami.

– Ale wracajmy do opowieści. Nasz popapraniec nie wychodził z celi przez okrągły rok. Zwolniony dokładnie o siódmej dwie rok później, punkt. – Brad uniósł palec. – Tato codziennie kazał mu pisać: „Diabeł mierzy mi czas, a kiedy się spóźnię, weźmie mnie pod but”. Zapisał tym zdaniem trzysta sześćdziesiąt pięć zeszytów, po jednym dziennie. Wtedy mój brat, „nareszcie wolny, nareszcie wolny”, zwrócił się do tatusia: „Dziękuję, ojczu”, i to była prawidłowa odpowiedź.

Mój dozorca nie odrywał ode mnie groźnego wzroku. W swojej medytacji sięgnął do głębszych pokładów zła, ponieważ znałam już przyczynę jego ponuractwa. Mrugnął raz, drugi i trzeci. Jego spojrzenie mówiło, że nie będzie miał dla mnie litości, bo nie chce mojego współczucia – współczucie oznaczałoby, że zmięknął i że jego ojciec się mylił. Mrugnął. Jeszcze raz i jeszcze. Współczucie znaczyłoby, że się nie nadaje, że jest stworzeniem na niższym stopniu rozwoju. Jego mruganie wzbudziło we mnie pewien lęk i potrzebowałam dobrych dziesięciu sekund, żeby go opanować i wyłączyć. A po chwili wyłączyć jeszcze raz. Mrugał i mrugał.

Ktoś mi podsunął talerz.

– Zjedz warzywa, pantereczko, chcemy, żebyś była zdrowa – powiedział Brad.

– Zjedz, bo zaraz wyrznię z ciebie to dziecko – dorzucił mój porywacz.

Brad go za to wcale nie skarcił, a nawet potakująco skinął głową.

Napiłam się mleka, które nalał mi Brad, żałując, że nie mogę złapać noża do steków spod jego uniesionego małego palca i wbić ostrza w otuloną szalem szyję. Czerwień na pewno pasowałaby do fioletowego jedwabiu.

Gdy po skończonej kolacji naczynia zostały uprzątnięte, Brad tanecznym krokiem opuścił pokój i po chwili wrócił z kawałkiem ciasta z jabłkami, tylko dla mnie.

– Panno panterro, zabierz to ciasto do swojego pokoju. I dziękuję, że zechciałaś zjeść ze mną tę kolacyjkę. Lubię spotykać się tu i tam z naszymi stróżkami towaru. – Wolną ręką machnął tam i z powrotem przy „tu i tam”.

Stróżka towaru? Masz na myśli dziewczynę z dzieckiem? Masz na myśli matkę? Jesteś tak nienormalny, że nie umiem się nawet wściec. Nienormalny. Do tego stopnia, że to wręcz zabawne.

Gdy Brad uniósł rękę, by złapać płatek mojego ucha kciukiem i palcem wskazującym, zastanawiałam się, czy go nie przewrócić i wykorzystując jego gwałtowny ruch, wykręcić mu rękę, żeby obrócił się na wznak – wszystko dzięki

dynamice jego ciała; potem obcasem zmiażdżyłabym mu tchawicę, wykorzystując dynamikę własnego ciała. Tak jak uczył mnie mój tatko. Po zakończeniu tego manewru błyskawicznie chwyciłabym pogrzebacz, który miałam po lewej ręce, aby nadzieć na niego mojego dozorcę, który patrzyłby na to osłupiały. Mój stan pozbawiał mnie jednak szans na tak oczywiste i proste rozwiązanie, dlatego wzięłam od niego ciasto.

Pomaszerowałam na wpół ślepa, z torbą na głowie, niosąc do celi swój arcyamerykański deser i mając za plecami swojego strażnika.

W normalnych okolicznościach wepchnąłby mnie do środka. Tym razem przystanął i przyjrzał mi się, stojąc w progu.

– Patrzysz na mnie, suko, jakbym był od ciebie gorszy. Od pierwszego dnia nawet nie mrugniesz. Coś ci powiem. Wypatroszę cię jak rybę. Nie wygrasz ze mną. I nie masz się co cieszyć z tej historyjki, którą ci opowiedział mój brat.

Zostawił mi na dobranoc te miłe życzenia. I utulił do snu błyskiem rozbawienia w oczach i uśmiechem ukazującym zaciśnięte zęby.

Powinnam być grzeczna, żeby został przy swoich ustalonych schematach.

ROZDZIAŁ 9

TRZYDZIESTY DZIEŃ W NIEWOLI

Tak jak się spodziewałam, o wpół do ósmej rano uderzył mnie w nozdrza zapach pieczonego chleba, obwieszczając początek czwartego dnia pracy Ekipy Kuchennej. Po chwili zadrżała podłoga – od wentylatora piętro niżej – i rozległ się warkot miksera. Przypuszczałam, że jasnozielone urządzenie miesza ciasto na brownie. Pokój wypełnił obłok zapachu czekolady i uniósł się wysoko pod belki sufitu, ustępując miejsca zapachom roztopiającego się sera i zapieczonej maślanej skórki. Marszczyłam nos, ślina napływała mi do ust, burczało mi w brzuchu. Och, gdyby tylko wolno mi było liznąć resztki z miski i skubnąć kawałeczek ciasta wyjętego z piekarnika. Zwinęłam się w kłębek na więziennym łóżku, nie chcąc wydać żadnego dźwięku. Mój strażnik zakaszłał w korytarzu, opierając się o drzwi, które łomotały przy każdym rzęzącym oddechu wstrząsającym jego ciałem. Rano znowu pokazał mi pistolet, kiedy pchnął mnie na łóżko i postawił na nim wiadro.

– Nie waż mi się stąd ruszyć ani pisnąć, kurwa, bo jeszcze dzisiaj wpakuję dziecku kulkę – zapowiedział.

Lufa pistoletu wbijała się w mój pępek, prawdopodobnie w główkę dziecka. Zresztą sukinsyn równie dobrze mógł nacisnąć spust, bo ogarnął mnie przenikliwy chłód i został ze mną nawet po jego wyjściu. Nawet nie drgnęłam, dygocząc w duchu na myśl o metalu rozdzierającym ciało mojego dziecka; ta potworna halucynacja nie dawała mi spokoju, dręczyła jak bzyczenie komara.

Siedząc tu teraz po siedemnastu latach, mam przed sobą cytat, który sobie napisałam i powiesiłam nad biurkiem: „Bądź gotowa, wszystko jedno, na co czekasz”. Chodziło mi o to, że jeżeli na coś czekasz, to nie czekaj, tylko zacznij działać, żeby się ziściło. Kamień, warstwa zaprawy, następny kamień, krok po kroku buduj piramidę, która zbliży cię do celu. Emocja po emocji, cegła po ceg-le. Cytat stale mi przypomina, że bym żyła tak, jak gdyby wszystko, na co czekam, na pewno miało się urzeczywistnić, bez względu na wątpliwości, prawa fizyki, a przede wszystkim czas.

Upływający czas stopniowo osłabia determinację, jak woda nieprzerwanie kapiąca na ostrą skałę. Słuchając tępego, szyderczego plusku sekund, trzeba myśleć o każdym nierozwiązanym jeszcze problemie, o każdej mapie, która nie została trzykrotnie sprawdzona, o każdym niewymierzonym jeszcze cieniu, wystarczy każde drobne, najmniejsze, najprostsze zadanie, o ile prowadzi do celu – do tego, na co czekasz.

Wiele popołudni spędziłam w stanie bliskim letargu przy akompaniamencie

miarowego kap, kap, kap czasu. Nie przychodziło mi na myśl żadne nowe zadanie i popadałam w stan katatonii, wpatrując się w ścianę swojej celi z grubo ciosanych desek. Belki stawały się konarami drzewa, sufit niebem zaciągniętym białymi chmurami. Nagle jak sygnał ostrzegawczy rozległo się gdzieś skrzypnięcie podłogi pod jego stopami, które wyrwało mnie z odrętwienia i kazało szukać w myślach zadania do wykonania. Gdy nie znajdowałam żadnego, zajmowałam się jedyną czynnością, która dawała mi ukojenie: ćwiczeniem. To, na co czekałam, wymagało ciągłych ćwiczeń, powtarzania ich po dziesięć razy, a po ich zakończeniu jeszcze tysiąca powtórzeń.

Uwielbiam olimpijczyków. Zwłaszcza olimpijczyków stających na starcie w pojedynkę, którzy nie walczą dla drużyny, ale dla siebie samych. Pływaków, biegaczy. I chłonę jak gąbka opowieści o ich wyczerpujących treningach od czwartej rano do północy. Ci sportowcy wyskakują jak pajacyki z pudełka i opadają, wyskakują, opadają, w górę, w dół, w górę, w dół, nie unosząc stóp. Wreszcie rozlega się gwizdek, gong, wystrzał i ruszają – mięśnie rozgarniają wodę, przesadzają płotki, plusk, błysk i znikają. Śmigają jak płaszczyki, zostawiając w tyle mokrych rywali. Pędzą szybciej niż światło. Ilekroć zwycięża faworyt, dosłownie krzyczę z uznania. Osiągnął to ciężką pracą. Zasługuje na to. Lepszy zawsze jest górą, zwłaszcza gdy swoją wyższość zawdzięcza sobie. Ambicja, poświęcenie, determinacja, pogarda dla niebezpieczeństwa, obsesja na punkcie rywalizacji – z takimi przymiotami staje się do walki, by wygrać. Uwielbiam ich wszystkich.

Trzydziestego dnia leżałam na łóżku, czekając na wyjście Ekipy Kuchennej, by wrócić do ćwiczeń i przerwać dręczący mnie na jawie koszmar o kulach wpakowanych w ciała dzieci.

Okolo jedenastej nastąpiła tradycyjna wymiana ośliz-łych od wazeliny komplementów między piekarkami a moim dozorcą. Czując kwaśny smak w gardle, omal nie zwymiotowałam z obrzydzenia na narzutę. Potem jednak, zamiast rozpląnąć się jak zwykle gdzieś w głębi domu, gdy tylko zamknęły się drzwi, wbiegł po schodach do mojego pokoju. To zupełnie nie pasowało do jego utartych schematów. Nie znosiłam żadnych zmian w swoim codziennym planie zajęć. Krople ciepłego potu wystąpiły mi na kark. Moje serce znowu zatrzepotało w rytmie kolibrzych skrzydełek.

Wpadł z typowym dla siebie wzburzeniem.

– Wstawaj – rozkazał.

Wstałam.

– Włóż to. – Rzucił mi do stóp parę starych butów Nike. Były o dwa numery za duże. Włożyłam je i mocno zawiązałam sznurowadła. *Atut nr 32, para butów do biegania. Zaraz, a gdzie moje buty? Przez cały ten czas ich nie miałam? Jak mogłam tego nie zauważyć?*

– Rusz się – powiedział, szturchając mnie lufą w plecy.

Ruszyliśmy w takim samym dwuosobowym pochodzie jak pierwszego wieczoru po przyjeździe, ja przodem, on z tyłu; tak samo jak wtedy nie wiedziałam, dokąd idziemy. Tyle że tym razem nie miałam worka na głowie ani opaski na oczach.

Boże, pomóż mi. Dokąd idziemy? Czarny motylu, nie ostrzegłeś mnie. Dlaczego? Może ostrzegłeś, ale przez cały ranek gapiałam się w ścianę. Czemu nie patrzyłam na okno? Dokąd on mnie zabiera?

Zeszliśmy po schodach, ale nie skręciliśmy w lewo, gdzie musielibyśmy przejść przez kuchnię. Skierowaliśmy się prosto do tylnego wyjścia, za którym zobaczyłam kawałek gołej ziemi, gdzie trawa została prawdopodobnie wydeptana przez ludzi siedzących przy podniszczonym stole piknikowym. Wokół rozciągał się dywan niedopałków papierosów. *Tu pracownicy spędzali przerwy?* Miałam ogromną ochotę odwrócić się i zobaczyć, jak wygląda budynek, ale kopnął mnie piętą, żebym szła naprzód, nie udało mi się więc nawet zerknąć.

Kawałek wydeptanej ziemi miał około czterech i pół metra obwodu, a dalej zaczynał się długi pas nieskoszonych trawy biegnący równoległe do budynku, który właśnie opuściliśmy; miał ponad metr szerokości i zniknął za wzniesieniem. Mój strażnik popchnął mnie lufą w stronę wzniesienia. Za jego grzbietem było strome wzgórze prowadzące do lasu. Jego zboczem biegła wąska ścieżka, szerokości niewiele większej niż ćwierć metra, która wiodła w głąb lasu. Ruszyliśmy w dół tą ścieżką. Był środek dnia.

Dokąd on mnie zabiera? To już koniec? Jestem w ósmym miesiącu ciąży. Jeżeli mieli sprzęt, to znaczy, że dziecko jest zdolne do życia. Ale po tym, jak zadali sobie tyle trudu, ryzykowaliby cesarskie cięcie? Dokąd on nas zabiera? Pomasażowałam brzuch z wściekłością rozbitka pocierającego patyki, żeby skrzesać ogień. Wtedy coś sobie uświadomiłam: ilekroć pojawiała się bezpośrednio zagrożenie dla mojego dziecka, włączał się we mnie strach. Przed ciążą nigdy się tak nie zdarzyło. Zdając sobie sprawę z tego problemu, szłam dalej bardziej świadoma samej siebie – lepiej studiowałam i tłumaczyłam niepożądane, żałośnie niepotrzebne uczucie strachu. Chociaż to ciekawe z psychologicznego, medycznego, a może nawet filozoficznego punktu widzenia, przynajmniej dla mnie. Czasem się zastanawiam, czy w tamtych chwilach przenosiły się na mnie emocje mojego dziecka – prenatalne lęki. Dawałam mu życie, ale czy ono dawało mi życie?

Rano padał deszcz i warstwa zimnej wiosennej wilgoci pokrywała ziemię i każdy liść. Otulone jej kroplami pączki na drzewach trwały w bezruchu. W takiej pogodzie nie mógł się rozwinąć ani jeden znak życia. Słońce spało, nie chcąc walczyć z chłodem w powietrzu. Niebo szczelnie przykrywały chmury. Nie mając kurtki, zadrżałam z zimna.

– Jesteś nic niewarta. Puszczalska. Dziwka. Popatrz na siebie. Łajdaczysz

się. Rzniesz się jak suka w rui, grzeszysz i zachodzisz w ciążę. Jesteś szmatą, niczym, dla świata jesteś niczym – powiedział. Nadal dotykał łufą moich pleców, zbliżał twarz do mojej szyi, z ustami tuż przy policzku. Poczułam na skórze dwa gorące oddechy, po których plunął mi w twarz i dodał: – Nędzna dziwka.

Jeżeli wzięłam na siebie odpowiedzialność, jeżeli zamierzam ciężko pracować, żeby się udało, czy to nie moja własna droga? Tak, mam to szczęście, że mogę liczyć na środki, pomoc, miłość, ale czy te korzyści oznaczają, że to już nie moja droga? Wyboista i oryginalna, ale przecież moja? Dlaczego ma być przedmiotem ogólnej dyskusji? I kto ją zaczyna, on? Ten przestępca? Zaraz. Zaraz. Tu nie chodzi o mnie. Skup się. Chodzi o niego, o usprawiedliwienie jego niemoralności. Skup się. Proszę. Skup się. Oddychaj.

Nie wiedziałam, co takiego zrobiłam, żeby sobie zasłużyć na jego świętoszkowate oburzenie, prócz tego, że byłam kobietą i zaszłam w ciążę – do tego tak młodo. Ale żeby spierać się o moralność, przepraszać go za to, przepraszać cały świat? Boga? Las, drzewa, molekuly dobra i zła unoszące się w powietrzu? Przecież to by go nie uspokoiło. Dotąd wypełniałam jego wszystkie rozkazy; zależało mu tylko na tym, żeby mi zrobić krzywdę. Pochyliłam głowę i przygotowałam się na dalszy ciąg kazania, do którego najwyraźniej się szykował. Jego ślina wolno ściekała mi po skórze.

– Zgadza się, jesteś gównem warta. Inne dziewczyny płakały, krzyczały, błagały, żebym im pomógł. A ty co? Masz popieprzone w głowie czy jak? Siedzisz sobie jak gdyby nigdy nic. Nawet nie chcesz tego dziecka, co? Gówno cię obchodzi.

Błąd. Chciałam dziecka bardziej niż ratunku dla siebie. O wiele bardziej. Wiele razy widziałam w wyobraźni, jak motyl daje mi wybór: czy wolę zostać w tym domu grozy i zatrzymać przy sobie dziecko, czy zostać ocalona i stracić dziecko? Wyobrażałam to sobie i natychmiast planowałam, w którym miejscu położę dziecko, kiedy będziemy spać w naszym wiecznym więzieniu. Będę trzymać rękę na jego pękatym brzuszku i całować jego policzek słodki jak brzoskwinia.

– Pewnie zaczniesz gadać, jak dojdziemy do kamieniołomu. Wtedy nie będziesz już taka odważna.

Po co zabiera mnie do kamieniołomu?

– Pewnie będziesz wrzeszczeć, suko. Co? Co takiego? Co?

Nie wiedziałam, jak zareagować. Szłam przed nim wążutką krętą ścieżką, której pokonanie wymagało ode mnie wyteżania wszystkich zmysłów, żeby się nie potknąć, a on pytał zza moich pleców: *Co?* To miało być pytanie retoryczne? Sarkastyczne? Jak jego zdaniem powinnam odpowiedzieć? Może mówił do siebie?

Przystanąłam z pochyloną głową i ciałem wciąż wysuniętym naprzód, opierając podbicie prawej stopy o kamień wielkości pięści, lewą stopę stawiając

płasko na korzeniu. Mój strażnik przysunął się i zrównał ze mną, stając obok i przykładając mi pistolet pod kątem do talii; wyglądał jak obejmujący mnie kochanek. Syknął mi do ucha jak wściekły wąż:

– Jak cię o coś pytam, to mi odpowiadasz, suko. Co, jak myślisz, co dzisiaj robimy?

– Nie mam pojęcia, proszę pana.

– A. Dobra. Coś ci powiem. Będziesz się wspinać na tamto wzgórze, tak, jeszcze kilka kroków. A potem zobaczysz, gdzie was wszystkie wrzucam. Rzygać mi się chce, kiedy się tak wylegujecie, jakbyście byli u siebie. Chcę ci pokazać, co cię czeka, a wtedy może nie będziesz już siedziała w tym pokoju jak zadowolona z siebie królowa. Z taką miną, jakbyś mnie mogła w każdej chwili zabić. Ale z ciebie tępa suka.

Jego oddech cuchnął jak łajno.

Pot, który wystąpił mi na szyję, kiedy ruszyliśmy w drogę, dawno już ściał chłód, ale gdy owionął mnie jego złowieszczy oddech, na skórze znów pojawiły się krople ciepłej wilgoci. Ogarnęła mnie gorączka. Zwymiotowałam. Żółć oblała mi prawą stopę i kamień pod spodem.

Cofnął się.

– Szybciej. – To był jedyny przejaw delikatności wobec mojego ataku mdłości. Dźgnął mnie lufą w plecy.

Wspinałam się na wzgórze, o którym mówił, a ścieżka zanikła. Natknęliśmy się na kilka wielkich skalnych płyt granitu, naturalnego budulca tych gór. Miejsca pokryte zielonym mchem i porostami jak puszek pierwszego zarostu na policzkach nastolatka. Wchodziłam po stoku zgięta pod nienaturalnym kątem z powodu przesuniętego punktu ciężkości ciała i za dużych butów, w których trudniej było mi utrzymać równowagę.

Raz zsunęłam się na niego, ale wczepiłam dłonie w kłujące porosty, które podrapały mnie, pozostawiając w skórze drobne kolce.

– Wstawaj. Wstawaj. Ruszaj się – powiedział. Nie podał mi nawet ręki i nie pomógł wstać.

Wreszcie dotarliśmy na grzbiet nagich skał.

Staliśmy na czymś w rodzaju skalnej opony; pośrodku ziała wyrwana w ziemi dziura wypełniona czarną wodą. Krawędzie ścian powstałych po wysadzeniu kamienia dynamitem wcinały się w nią pionowo. *Czyli kiedyś wydobywano tu skały. Kamieniołom. Ten kamieniołom.*

Miał wielkość ośmiu basenów.

– Podobno gdzieś ma głębokość piętnastu metrów. Chcesz zanurkować i sama sprawdzić?

– Nie, proszę pana.

– Nie, proszę pana? Nie, proszę pana! Tylko tyle mi powiesz? Pieprzona

mała dziwko. Chodź. W końcu sobie jednak pokrzyczysz.

A więc nie wytrzymał. Puścili mu nerwy. Całe to siedzenie, pilnowanie mnie, niewolnicze podawanie jedzenia rozstroilo go bardziej niż mnie. Chory. To chory człowiek. Chorzy ludzie są nieprzewidywalni. Nie mogę na tej podstawie oceniać i planować zdarzeń. Słuchaj go. Słuchaj. Rób, co każe.

Ruszyłam za nim, żeby nie złapał mnie za kark i nie szarpnął.

Szliśmy brzegiem kamieniołomu, a potem po łagodnej pochyłości w stronę kałuży rozlanej na dolnej krawędzi. Trzymając mnie na muszce jedną ręką, pochylił się, by drugą ręką złapać zwinięty mokry sznur.

– Ręce do tyłu.

Kiedy spełniłam polecenie, położył pistolet na ziemi i ruchem wytrawnego marynarza mocującego cumę statku do pachołka owinał mi sznurem nadgarstki, a drugi koniec przywiązał do drzewa na brzegu kamieniołomu, jak gdybym była jego psem podwórzowym.

– Stój tu i patrz – rozkazał.

Sięgnął w ciemną głąb kamieniołomu, szukając czegoś po omacku na skalnej ścianie. Po chwili jakby coś odczepił. Inny sznur, luźny. Przecisnął się obok mnie, znalazł duży kamień i usiadł za nim, opierając o niego stopy i tworząc z siebie rodzaj wspornika. Pociągnął sznur, napinając bicepsy, mięśnie nóg i szczęki, i usiłował wydobyć jakiś ciężki przedmiot uwiązany na końcu sznura.

Zdyszany zrobił sobie przerwę, by odpocząć od ciąg-nięcia sznura, i poinformował mnie:

– Przymocowałem tamtą do drogiej, profesjonalnej deski wakeboardowej, takiej do pływania na oceanie. – Klatka piersiowa falowała mu przy każdym oddechu, ale uśmiechał się z zadowolenia, że może mi przekazać te chore szczegóły. – Do deski przywiązałem od spodu duży betonowy blok. Zepchnąłem ją na desce z pustakiem z tamtego brzegu. – Ruchem głowy wskazał szczyt kamieniołomu i zamilkł, sapnął ciężko, po czym wrócił do swojej obłąkanej opowieści i wyciągania sznura. – Najpierw przechyliła się głową do przodu i poszła pod wodę, ale zaraz wróciła do poziomu, bo blok zaczął ciągnąć deskę w dół. Och, ale na pewno pływa tuż pod powierzchnią. Niedługo sama zobaczysz. Jak tylko podniosę ten blok z dna. Tak, suko, przywiązałem ją na wszelki wypadek, gdyby trzeba było przekonać o czymś którąś z was. Sprytnie to wymyśliłem, nie?

Hmm... że co? Sprytnie? A potem? Co?

Trzeba przyznać, że patrząc na to bez emocji, byłam trochę zaintrygowana szczegółami tej przedziwnej metody zatrzymania jednej z ofiar. Jak gdyby zbudował sobie skomplikowane podwodne trofeum. Mówiąc szczerze, nie jestem całkiem pewna zasady działania jego konstrukcji. Stojąc nad kamieniołomem i słuchając go, domyśliłam się, że jego trofeum nie może być zbyt stare. Napięcie między deską wakeboardową, która chciała się wynurzyć na powierzchnię,

a betonowym blokiem, który wolał zostać na dnie wyrobiska, wywierałoby stały nacisk na rozkładające się ciało. W ten sposób ten sam sznur, który przytrzymał ją uwiązaną pod wodą, musiałby przeciąć jej mięśnie, narządy i szkielet i zwłoki zostałyby poćwiartowane. Fragmenty jej ciała albo wypłynęłyby na powierzchnię, albo opadły na dno.

Pewnie dopiero co ją tam wrzucił.

– Kiedy cię tu przywiozłem, przeniosłem sukę do piwnicy. I tak już była na wylocie. Kilka dni temu wyciąłem jej dziecko z brzucha tam, na tamtej skale, kiedy siedziałaś na dupie i gapiłaś się w ścianę.

Nie potrafię nawet opisać swoich emocji w tamtej chwili. Zwykle nie dopuszczam do głosu zbyt wielu uczuć, ale kiedy pokazał mi miejsce, gdzie wyjął dziecko, kiedy ciągnął sznur, żebym zobaczyła dowód, jedyny raz w życiu doznałam mimowolnego strachu trwającego całe pięć minut, plus minus trzy minuty, kiedy mój przełącznik lęku sam się przestawił. Musiałam być w szoku, nie radząc sobie z przełącznikiem w żadnym płacie mózgu, bo kiedy patrzyłam, jak wyciąga z mętnej toni nieznaną dziewczynę, groza wtrąciła mnie w otchłań nieświadomości. Przypominam sobie tylko, że skupiłam wzrok na jednym punkcie, czerwonym kardynale, który siedział na najwyższej gałęzi dębu rosnącego nad kamieniołomem. Czekałam, aż sfrunie do mnie i mnie stamtąd zabierze. To była chyba moja jedyna myśl.

Mój dozorca wznowił wysiłki, znowu zmieniając się w żuraw. Powierzchnia wody zabulgotała, pojawiły się pęcherzyki, jak gdyby wykypiał piekielny kocioł. Kardynał odfrunął.

Z krótkim głuchym pluskiem na powierzchnię wynurzyła się gnijąca głowa z długimi włosami. Po chwili ukazały się całe wzdęte, rozkładające się zwłoki. Sznur opasujący klatkę piersiową jak uprząż rzeczywiście był przywiązany do fioletowej deski wakeboardowej z czarnym napisem. Domyśliłam się, że pustak znajduje się pod tułowiem, gotów pogrążyć się w wodnym grobie, gdy tylko mój dozorca puści sznur. Trzymał ciało w zawieszeniu jak magik, który sprawił, że leżąca na wznak kobieta zaczęła lewitować nad długim stalowym stołem. Opanowała mnie fala mdłości, która powstała w żołądku, przetoczyła się przez płuca i serce, poraziła ramiona, szyję i pochłonęła twarz.

Przed moimi oczami unosiły się na wodzie zwłoki dziewczyny z brzuchem rozciętym od biodra do biodra. Otwarta rana, która jątrzyła się w wodzie, wydawała się spalona na brzegach jak papier nadpalony w ogniu. Ale to nie były ślady oparzenia, tylko stygmaty gnijącego ciała, w które wżarły się bakterie w stojącej wodzie.

– Wykroilem z niej dziecko. Nie żyło. Lekarz był za bardzo pijany, żeby ruszyć dupę i tu przyjść. No to zrobiłem to sam. I wrzuciłem tu sukę. Dziecko też. Jest przywiązane do kamienia na dnie, tam, gdzie reszta. A ona płakała i krwawiła

mi na brezent. Musiałem kupić nowy, specjalnie dla ciebie, suko. Jesteś już prawie gotowa. – Wskazał na szczyt skalnej ściany. – Zrobiłem to tutaj, żeby nie zachłapała krwią domu. Za pierwszym razem przekonałem się na własnej skórze, jak to jest. Doktor chce, żebyś urodziła w naturalny sposób. Myśli, że nie trzeba wycinać dzieci z brzucha. Ale zajmijmy się tym. Mam cię dość, brzydę się tobą. Nie wiem, czy chce mi się dłużej czekać. Dlatego, kurwa, przestań już się na mnie gapić, jakbyś chciała rzucić na mnie urok. – Puścił sznur. Ciało zanurzyło się z powrotem.

A ponieważ dopuściłam do głosu emocje, zachwiałam się na nogach. Zemdlalam.

* * *

Po ocknięciu się z głębokiej nieświadomości przychodzi cudowna szarość. Jak czysta, niezapisana tablica, przed którą nie ma nic i która niczego nie zapowiada. Jest uczucie nieważkości w przestrzeni, umysł nie czepia się żadnej przeszłości ani nie snuje żadnych planów, nie wiedząc, czy powinien z powrotem pograć się w czerni, czy pozwolić, by biel zbudziła go do końca. Nie ma kolorów prócz szarości przechodzącej w biel, a z bielą przychodzą dźwięki, które pojawiają się i zanikają wraz z nadciągającą falą rozedrganej szarości, a potem znowu rozlega się ledwie słyszalny, najlżejszy dźwięk, gdy wraca biel.

Trzask gałązki obok waszej głowy, która spoczywa na ziemi.

Kaszlnięcie.

Jakieś słowa.

Krótkie osunięcie z powrotem w mrok, potem znowu szarość, wreszcie oślepiająca biel i szturchnięcie w plecy.

– ...udź ...ę – słyszycie.

– Obudź się – słyszycie wyraźniej.

Pod zamkniętymi powiekami zaczynają się rysować wyraźne kształty. Wolno wypełzają kolory.

Znowu szturchnięcie, tym razem w ramię.

– Obudź się, cholerna suko – słyhać ostro i wyraźnie.

Otwieracie oczy, powracają mdłości. Leżycie na mchu na krawędzi kamieniołomu. Macie ręce związane za plecami.

– Kurwa mać, wstawaj. Zobaczymy, czy teraz będziesz na mnie patrzeć tak jak przedtem.

Wróciliśmy waziutką i krętą ścieżką do mojego więzienia, tylko że tym razem miałam związane nadgarstki, a on trzymał koniec sznura, jak gdyby wyprowadzał mnie na spacer jak psa. Nie skupiałam wzroku na ani jednej pojedynczej rzeczy. Jeżeli nigdy nie przeżyliście szoku, musicie zrozumieć, że zmysły nie komunikują niczego waszej świadomości. Niczego nie widzicie.

Niczego nie słyszycie. Nie czujecie żadnego zapachu. Dlatego w ogóle nie zwróciłam uwagi na kolor, kształt, wysokość, wykończenie ścian i nawet żadne okno budynku, do którego wróciliśmy. Nadal nie wiedziałam, jak wygląda na zewnątrz, więc wciąż wyobrażałam sobie biały wiejski dom. W tych straszliwych chwilach kurczowo trzymałam się tylko jednego faktu: wracamy. *Wracamy. Żyję. Nie wrzucił mnie do kamieniołomu. Nie odebrał mi dziecka. Nie rozciął mi brzucha. Wracamy.* Jedyne raz w życiu z radością wchodziłam do swojej celi.

ROZDZIAŁ 10

TRZYDZIESTY DRUGI DZIEŃ W NIEWOLI

W te dni jałowe, gdy nad głową tylko niebo

Spójrz, już blisko, zza pustki

Nadciąga wytchnienie

I wszystko okryje miłosierna biel

S. Kirk

Dwa dni po Ekipie Kuchennej. Dwa dni po kamieniołomie. A ja chciałam tylko kąpieli. Cudownej kąpieli w lawendowej soli, żeby pograć się w wodzie jak w gorących ruchomych piaskach. Takiej kąpieli, jaką mogłabym wziąć w zrobionej na zamówienie wannie z hydromasażem i widokiem na telewizor, którą matka zamontowała w swojej wyłożonej białym marmurem łazience, przeznaczonej wyłącznie do damskiego użytku. Takiej kąpieli, w której gdyby za bardzo pomarszczyła mi się skóra, a wewnątrz za bardzo się rozgrzało, wyszłabym na jej puchatą białą matę, owinęła się jak w kokon grubym białym szlafrokiem z Ritza i wkroczyła do sąsiadującej z łazienką garderoby, żeby nago paradować po wymyślanym wybiegu w jej butach od Jimmy'ego Choo, Manola i Valentina, tych z kryształkami na paseczkach. Pragnąc tego wytchnienia w bieli, rozejrzałam się po zakurzonej szarej celi, spojrzałam na swoją brudną skórę i zapragnęłam, żeby to się skończyło. Byłam naprawdę zmęczona ciężką grą, którą podjęłam od trzydziestego dnia. Zaczęłam odgrywać płaczliwe monologi przechodzące w ataki rozpacz, dodając refren z nieskładnych błagań pod adresem mojego dozorca o słabym ego, którego prosiłam, żeby uwolnił mnie i moje dziecko.

Potrzebował poczucia władzy.

Dałam mu to, czego potrzebował, więc szczęśliwie wrócił do naszych ustalonych schematów.

I chociaż marzyłam o kąpieli jak prawnik marzy o kawie, nie zamierzałam odstąpić od ćwiczeń i przerywać naszych utrwalonych zwyczajów nowymi prośbami. Mogłam użyć narzuty jako myjki, zanurzając róg w kubkach wody, żeby przemyć newralgiczne części ciała, ale wolałabym walczyć ze żmiją, niż zmarnować choć kroplę płynu. Nigdy nie trwonię żadnego z atutów.

Trzydziestego drugiego dnia po lunchu złożonym z zapiekanki pasterskiej czekałam, aż przyjdzie zabrać tacę. Stałam i drżałam z obrzydzenia do własnego ciała, do warstwy brudu na nogach i tłustych włosów. Codzienne próby mycia się bardzo, bardzo nieświeżą ściereczką w łazience naprawdę nie wystarczały – prawdę mówiąc, stopień zużycia ściereczki tylko pogarszała sprawę.

Trzydziesty drugi dzień zakwitł ciepłem w jasnym blasku słońca na tle bezchmurnego nieba. Mój pokój o ścianach obitych drewnem sosnowym zmienił się w saunę, w której robiło się jeszcze goręcej, gdy przychodziła do pracy Ekipa Kuchenna, a zapachy i opary znad kuchenki wciskały się do mojej celi jak dym.

Rozległ się stukot kroków zapowiadający nadejście psychologa po pustą tacę. Usiadłam na łóżku, licząc sosnowe deski od moich stóp do drzwi, a stamtąd mój wzrok powędrował na otynkowaną na biało ścianę i policzyłam rysy, biegnące jak żyłki od drzwi. Znałam już odpowiedzi, ale mimo to policzyłam jak zawsze, by w ten sposób nauczyć się na pamięć wszystkich schematów w każdym miejscu każdego dnia: dwanaście desek różnej szerokości; czternaście rys, wliczając w to mniejsze odnogi.

Klucze brzęknęły o metal przed drzwiami, a ja ustawiłam głowę w pozycji znamionującej znudzenie tą rutyną. Czując gęste wyziewy spod pach, stłumiłam prychnięcie obrzydzenia. Usiadłam prościej, kiedy w końcu otworzył drzwi i zajął swoje stałe miejsce, deskę nr 3.

– Daj tacę. Chcesz do łazienki?

– Tak, poproszę.

– To się pospiesz. Nie będę czekać cały dzień.

Nie będziesz czekać cały dzień? A co ty w ogóle robisz przez cały dzień? Aha, nic. Nic nie robisz cały dzień. Jesteś nic niewart.

Ale nie posłałam mu żadnego przemądrzałego spojrzenia, nie zerknęłam złym okiem, jak mogłabym wcześ-niej. Spuściłam wzrok, ostrożnie podałam mu tacę i przemknęłam nerwowym krokiem do łazienki, podczas gdy on jak zawsze zatarasował ciałem schody prowadzące na dół.

W łazience, opierając się o drzwi, przestałam się zdumiewać, jaka stałam się ogromna. Dziecko poruszyło się, ale leniwie, jak wieloryb bez pośpiechu wynurzający się z oceanu. Osiągnęło już pełne rozmiary, więc tkwiło zwinięte w swoim ciasnym lokum. Chociaż nie wiem, czy rzeczywiście było mu tak ciasno: brzuch miałam wielki jak grill Webera.

Pogłaskałam dziecko i rozejrzałam się po pomieszczeniu. Łazienki jeszcze

nie opisywałam, prawda? Kiedyś musiał tu być jakiś schowek, bo metraż pasował właśnie do dużego schowka: skrawek wydzielonej przestrzeni pod okapem. Sufit padał ukośnie nad wanną na nóżkach, która zajmowała prawie całą podłogę. Aby skorzystać z toalety, trzeba się było precyzyjnie przemieszczać wzdłuż niej bokiem i usiąść zupełnie prosto. W takiej pozycji można było oprzeć zgiętą w łokciu rękę o umywalkę na postumencie i podumać nad życiem. Wyżej na ścianie przyklejono krzywo kwadracik lusterka. Między toaletę a umywalkę wciśnięto biały kubek na śmieci wysokości ćwierć metra, w którym były dwa białe plastikowe worki: jeden przeznaczony na śmieci, a pod spodem zapasowy. Zostawiłam je tam, gdzie były, ponieważ nie przyszedł mi do głowy żaden sposób, jak je wykorzystać. Były z tej samej cieniutkiej, irytującej folii, z której są zrobione torebki w sklepach spożywczych. Z niewiadomych powodów pakują jedną rzecz do jednej torebki: butelka keczupu do jednej, mleko do następnej, chleb do następnej i tak dalej. Potem wychodzisz z pięcioma milionami torebek. Nie cierpię ich. Naprawdę nie cierpię tych cholernych torebek.

Ale odbiegam od tematu.

Podłoga w łazience była zrobiona z takich samych sosnowych desek jak w mojej sypialni. Rozglądałam się po tym białym pomieszczeniu wiele razy, szukając nowych atutów, ale wszystko w zasięgu wzroku było albo przykręcone, albo przyklejone, albo niekoniecznie użyteczne. Mogłabym wynieść kubek na śmieci, ale co bym zrobiła z takim małym kubkiem? Brudna ściereczka leżąca na umywalce była kwadratem lepkiego materiału o wymiarach piętnaście na piętnaście centymetrów. Z łazienki usunięto wszystkie przybory toaletowe, których mogłabym użyć jako atutów. Nie widziałam żadnych środków czystości, cząstków do paznokci, pincety, nawet nić do zębów byłaby świetną bronią.

Choć pogodziłam się z faktem, że w łazience nie ma żadnych przydatnych przedmiotów, to zaraz po zamknięciu drzwi jeszcze raz przeczesałam całe niewielkie pomieszczenie i znowu niczego nie znalazłam. Precyzyjnie przemieszczałam się bokiem do toalety i – jeżeli koniecznie musicie wiedzieć – opróżniłam pęcherz. Brzuchem dotykałam zaokrąglonej krawędzi wanny, lewym łokciem opierałam się o umywalkę. Po załatwieniu popołudniowej potrzeby wstałam i nachyliłam twarz pod kran, żeby w wyschnięte usta nabrać wody i połknąć jej tyle, ile tylko zdołam. Cuchnącą myjką, której używałam od wielu tygodni, szybko przetarłam pachy i inne miejsca.

Przy tej czynności obróciłam się w miejscu, pozerając wzrokiem wannę ze zwierzęcą żądzą. Och, odkręcić kurek z czerwonym oczkiem i zanurzyć się w rozgrzanym płynie, żeby wypalić smród z ciała. Postawiłam lewą stopę na sedesie i balansując na prawej, podrapałam się w owłosioną łydkę, zmagając się z napęczniałą talią w wąskim przesmyku między sprzętami, by dosięgnąć miejsca tuż nad kostką.

W trakcie tego wysiłku, kiedy miałam głowę skierowaną w dół i nieco w bok, zauważyłam coś, co od początku tu na mnie czekało. Ukryte i nieśmiałe, ale przez cały czas dosłownie miałam to pod nosem.

Butelka wybielacza.

Tuż przede mną. Ponad trzylitrowa butla. Nie było widać etykiety, a ponieważ została wepchnięta do zagłębienia z tyłu za toaletą, była dość skutecznie zakamuflowana. Mówię wam, kiedy kucnęłam, żeby wydobyć nowe znalezisko, faktycznie, alleluja, alleluja, mój wspaniały kameleon albinos okazał się w trzech czwartych pełny. *Jest podchloryn sodu, jest impreza. Atut nr 36.*

Mój plan wcale nie wymagał tego nadprogramowego atutu. Mimo to nawet w tych ostatnich godzinach przed rozpoczęciem akcji przyszedł mi na myśl doskonały sposób wykorzystania chloroksu: szczypta bólu ekstra, dodatek, który nie wydawał mi się potrzebny, dopóki nie zobaczyłam tego wspaniałego śnieżnobiałego naczynia. Pozwoliłam sobie na lekkomyślną chwilę kompletnego wariactwa, myśląc, że mogłabym się zakochać w wybielaczu. Może przez sekundę rzeczywiście uległam impulsowi szaleństwa, przytuliłam obłe plastikowe ciało do nabrzmiałych piersi i pocałowałam niebieską nakrętkę.

Na dnie kubelka na śmieci leżał dodatkowy worek. Złapałam go i wepchnęłam do spodni. *Foliowy worek. Atut nr 37.*

Odstawiłam butelkę na miejsce. Nie umiałabym przemycić wybielacza przy okazji tego wyjścia, ale mając przed sobą całe gorące popołudnie, przypuszczałam, że ułożę jakiś plan.

– Wyłaż już, do kurwy nędzy! – wrzasnął i jak się mogłam spodziewać, załomotał masywnymi pięściami w drzwi. Drewno zadrżało. Ilekroć to robił, bałam się, że wiekowe deski ustąpią i pękną.

– Tak jest, proszę pana, już idę. Przepraszam, źle się czuję. – Co akurat nie było prawdą, ale w krótkim czasie między odstawieniem butelki na miejsce a widokiem drzwi uginających się pod uderzeniami jego pięści wpadłam na pomysł, jak bezpiecznie zabrać butelkę z łazienki. Nie potrzebowałam popołudnia, żeby obmyślić plan.

– Bardzo przepraszam, spieszę się, tylko trochę mi niedobrze.

– Gównu mnie to obchodzi. Wyłaż.

Otworzyłam drzwi, zgarbiłam się, przyjmując pozę pokory i uniżoności, i szybko przemknęłam przez korytarz do celi.

Zamknął mnie jednym z kluczy zawieszonych na tym głupim kółku.

Do czego są pozostałe klucze? A kogo to obchodzi?

Przez następną godzinę przywoływałam wstrętne i odrażające wizje. Wirowałam, żeby zakręciło mi się w głowie, potem szybko się zatrzymywałam i osuwałam na czworaki, opuszczając głowę, by przez krótką sekundę balansować na ciemieniu, po czym powtarzałam wszystko od początku. Najbardziej

obrzydliwym i groteskowym obrazem było oczywiście realne wspomnienie rozciętego tułowia dziewczyny w kamieniołomie. Dlatego skupiałam się na nim. Oglądałam go w wyobraźni bez końca. Potem wymyśliłam minifilm, w którym lizałam plecy brata bliźniaka mojego porywacza. Plecy Brada musiały być oczywiście owłosione i pryszczate, więc wyobrażałam sobie, jak przesuwam język między sztywnymi jak druty włosami na plecach i wyciskam pryszcze, podczas gdy on cały czas wylizuje talerz pełen krwistej cieleciny. Wbijając sobie mocno do głowy tę wizję, znowu zakręciłam się w miejscu, wylizywałam, wyciskałam, z cieleciny wyciekało coraz więcej krwi, ropa gęstniała, oblepiała włoski na moim języku, a ja wirowałam i wirowałam, a gdy byłam już zupełnie zdezorientowana i mocno kręciło mi się w głowie, wsadziłam sobie palec do gardła i nareszcie, nareszcie zwymiotowałam. Wywołać wymioty jest znacznie trudniej, niż moglibyście przypuszczać. Od tamtego razu już tego nie robiłam, nie polecam też takich praktyk jako formy samooczyszczania. Czasem jednak trzeba jednorazowo dokonać tego ohydneho aktu w imię wyższego dobra.

Wymiociny rozprysnęły się na podłodze z dala od drzwi, dokładnie tam, gdzie wycelowałam, bardzo daleko od miejsca, w którym miał stanąć. Nie chciałam, żeby się wahał, czy wejść do pokoju i pokonać tę samą trasę co zawsze.

Mam tak siedzieć do kolacji w tym kwaśnym smrodku i parować w tej duchocie? A może lepiej go zawołać, jak czasem robiłam, gdy moje ciało opanowała nagła potrzeba toaletowa. Nie miałam pojęcia, dokąd chodzi po wizytach w mojej celi. Być może siedział w jakimś pokoju na dole, może wychodził załatwiać jakieś sprawy do miejsc, gdzie go nie słyszałam. Osiem z dwunastu razy, gdy waliłam w drzwi, prosząc o dodatkowe wyjście do łazienki między regularnymi porami przy okazji posiłków, gramolił się z hałasem na górę i grał rozdrażnionego strażnika więziennego. Tak więc statystycznie reagował osiem na dwanaście razy. Domyślałam się, że nie chce po mnie sprzątać. Uważając więc, że prawdopodobieństwo reakcji jest duże, a osiem na dwanaście razy oznacza już pewien schemat, postanowiłam zawołać go do pokoju.

Poza tym okropny zapach rozkładu, który najwyraźniej następował szybciej w piekielnym żarze pokoju, zaatakował moje nozdrza, wdarł się do mózgu i umocnił mnie w decyzji.

Cholera, nie ma mowy, żebym to wachała przez całe popołudnie.

Pocierając ręce, bez wahania podeszłam do drzwi. Wyobrażałam sobie siebie jako mistrzynię reiki, która rozgrzewa dłonie, by nałożyć je na zerwane mięśnie i uleczyć je życiową energią. Gorącymi pięściami załomotałam do drzwi.

– Przepraszam! – krzyknęłam. – Przepraszam pana, zwymiotowałam!

Rzeczywiście, gdzieś z głębi budynku na dole dobiegły odgłosy jakiegoś ruchu. Potem na chwilę zapadła cisza, bo prawdopodobnie zastanawiał się, czy faktycznie coś usłyszał.

– Przepraszam! – kontynuowałam wrzask i łomot. – Proszę pana, zwymiotowałam. Bardzo mi przykro!

– W mordę, kurwa jego mać! – wrzasnął i z tupotem zaczął się wspinać po schodach.

Cofnęłam się od drzwi i wszedł.

– Niech to wszyscy... – wykrztusił i zatkał nos, widząc na podłodze źródło zapachu.

– Posprzątam, proszę pana. Bardzo przepraszam. W łazience widziałam wybielacz. Mogę go użyć? Mam go użyć? – W błagalnym geście przypadłam mu do nóg. – Bardzo przepraszam.

Ciągle skręcając się z obrzydzenia, wycofał się na korytarz i zajął swoją stałą pozycję u szczytu schodów na znak, żebym poszła do łazienki.

– No to bierz się do roboty – polecił. – Posprzątaj ten syf. Tylko się pośpiesz.

Nie podnosząc się z podłogi, popęzłam na czworakach do łazienki, złapałam kubełek na śmieci, myjkę i wybielacz. Wróciłam, szybko zgarnęłam wymiociny do śmieci i nalałam dwie nakrętki wybielacza na ściereczkę, żeby wyczyścić deski. Po wyszorowaniu miejsca po plamie odstawiłam butelkę na bok, wzięłam kubełek i ściereczkę, zaniiosłam do łazienki i wrzuciłam brudy do toalety, następnie przepłukałam kubełek nad wanną, wykręciłam ściereczkę pod strumieniem wody i wróciłam do pokoju.

– Dziękuję. Bardzo pana przepraszam.

– Tylko nie narzygaj jeszcze raz. Oglądam *Matlocka* – powiedział i znów zamknął drzwi na klucz.

Czyli to ci zajmuje cały dzień. Można się było domyślić.

Wracamy chyba do bezpiecznych schematów. Do przytulnego domowego ciepła, prawda?

Wybielacz, atut nr 36. W samą porę. Jutro zaczynamy.

ROZDZIAŁ 11

AGENT SPECJALNY ROGER LIU

Możecie w to wierzyć, możecie nie wierzyć. W każdym razie ten fragment opowieści na pewno ma za dużo wspólnego z fantazją, może nawet magią, jak na zwykły raport FBI.

Czasami, kiedyś zdarzało się to częściej, lubiłem znikać. Powiedzmy, że spotkanie zakończyło się wcześniej, niż się spodziewałem, a w danej chwili nie musiałem się nigdzie spieszyć. Mógłbym zadzwonić na przykład do biura, do swojej żony Sandry albo srogiej partnerki Loli. Ale przychodziło mi na myśl, że może lepiej byłoby ukraść ten darowany czas dla siebie, niepostrzeżenie skręcić w jakąś brukowaną alejkę i schronić się w małej włoskiej knajpce, którą znało się od zawsze. Gdyby, dajmy na to, owo zakończone wcześniej spotkanie odbywało się w Bostonie, ta restauracja mogłaby się nazywać Marliave i znajdować na wzgórzu na skraju dzielnicy Downtown Crossing. Moim zdaniem otwarto ją mniej więcej w czasach, gdy wynaleziono cegłę.

Być może przycupnąłbym przy stoliku na czarnej kanapie, w ogóle nie dotykając telefonu, który spoczywałby spokojnie u mojego pasa. Kelnerka przyniosłaby mi menu, ale w ogóle bym go nie potrzebował, bo któż chciałby wertować coś tak prozaicznego w skradzionym czasie. Tu jestem wolny, w tym momencie nic mnie nie ogranicza, wyrażam więc swoją boską wszechmoc w jednym prostym życzeniu.

– Poproszę gnocchi al dente i colę.

Kelnerka bezszelestnie oddała się w miękkich butach, by w jakimś zawieszonym w przestrzeni miejscu wyczarować dla mnie gorący talerz.

Uwielbiam to uczucie, gdy nikt, kto chciałby mnie odnaleźć, nie ma pojęcia, gdzie w tej sekundzie jestem. Mam władzę. Dowodzę całym światem. Nikt mi nie powie, że nie wolno mi tu być, bo nawet ja tego nie planowałem. Cudowny dar ten wolny czas. Mógłbym wpaść w pustkę między strunami, z których według pewnej teorii zbudowany jest wszechświat, i na zawsze pozostać w dziurze, gdzie nie działa grawitacja.

Znaczenie ukrywania się poznałem w wieku trzynastu lat, ale kiedy cieszę się skradzionymi chwilami spokoju, na pewno nie wracam do tamtych nieszczęsnych wspomnień ani nieszczęsnego dnia, który pokierował całym moim życiem i moją karierą. Dlatego nie będziemy się tym zajmować w tym momencie – kiedy opowiadam o swoich skradzionych błogich chwilach.

Oczywiście bardzo bym chciał, aby Sandra ukrywała się razem ze mną, ale

to by było niemożliwe. Nigdy tego nie planuję, a ona zwykle jest w jakiejś trasie. Zresztą nikt nie zauważa mojej nieobecności. Przypuszczam, że mógłbym wziąć więcej spraw, nadrobić zaległą pracę, zadzwonić do matki, do znajomego, załatwić jakąś niedokończoną, męczącą mnie od dawna rzecz. A może nigdy nie zrobiłbym żadnej z tych rzeczy, gdyby po spotkaniu potrącił mnie autobus; ponieważ jednak nie zostałem potrącony przez autobus, trafia mi się czas na kredyt, los na loterii, manna z nieba. Dlatego nie dzwonię i nie pracuję. Siedzę nad talerzem kluseczek i szklanką coli i obserwuję cienie w restauracji albo słucham rozmowy zakochanej pary przy sąsiednim stoliku.

Pod koniec życia chciałbym skleić wszystkie te chwile w jeden długi film. Po zmontowaniu w całość na pewno okazałoby się, że kolejna niewiele różni się od poprzedniej czy następnej i tak dalej, ponieważ ilekroć mi się to zdarza, przysięgam, że w duchu jestem zawsze w tym samym miejscu, siedzę samotnie i z uśmiechem cieszę się wolnością, którą daje mi dokładnie ta chwila, i nikt nie może zmienić tej perspektywy. To może być Marliave, może być jezioro w Manchesterze w New Hampshire, łóżko hotelowe w Atlancie, ulice Soho albo park w Kentucky z widokiem na dwa konie, kasztanka i gniadosza. Dla mnie to zawsze jest to samo miejsce: wewnętrzny spokój.

Oczywiście tego poczucia spokoju mogę nabrać dlatego, że nie gonię donikąd. Nie muszę się chować przed nikim prócz siebie, prócz okropnych wspomnień. Gdybym miał się dokądś spieszyć, wyglądałoby to inaczej. Albo gdybym miał do ukrycia coś naprawdę strasznego – wówczas nie siedziałbym z takim spokojem w restauracji i niczego bym nie zamawiał, a zwłaszcza al dente.

W swojej profesji odkryłem, że istnieje szerokie spektrum przestępców. Na jednym końcu znajdują się genialni megalomani, u których nic nie jest dziełem przypadku, którzy nie zostawiają żadnego odcisku palca, śladu opon ani butów, kosmyka włosów. Nie zostawiają świadków. Ani współników. Nie zostawiają żadnego tropu, który mógłby do czegokolwiek doprowadzić. Na drugim końcu są głupi partacze, którzy równie dobrze mogliby transmitować swoją zbrodnię na żywo. Między nimi rozciąga się cała gama pospolitych bałwanów, którym wiele się udaje, ale popełniają kardynalne błędy i właśnie przez nie padają naszym łupem.

W sprawie Dorothy M. Salucci, w świetle informacji przekazanych telefonicznie przez Boyda, mieliśmy do czynienia z autentycznym ekstremistą z kategorii partaczy. I tu właśnie przechodzimy do fragmentu opowieści, w który możecie uwierzyć albo go zlekceważyć jako kompletny wymysł. Pamiętajcie, że rzeczywistość często bywa dziwniejsza niż fikcja, gdybyście więc byli skłonni uznać poniższą historię za nieprawdopodobną, należy przypomnieć, że niektóre sprawy naprawdę udaje się rozwiązać. To, czy wynik jest pozytywny, czy negatywny, nie ma znaczenia dla samego faktu rozwiązania – zresztą wrażenie pozytywów i negatywów jest oczywiście subiektywne.

– Panie Liu, nie uwierzy pan w to, co zaraz panu powiem – oznajmił mi Boyd.

Stałem przed Lou Mitchell's w Chicago, zostawiwszy Lolę w restauracji sam na sam z moim śniadaniem.

– Słucham, Boyd, o co chodzi?

– Pan na pewno nie uwierzy, panie Liu. Sam nie mogę w to uwierzyć. O cholera...

Cisza.

– Zaraz zadzwonię – rzucił i odłożył słuchawkę.

Jak już wiecie, wróciłem do Lou Mitchell's i przyłapałem Lolę na częstowaniu się moją grzanką. Po ciężkiej rozmowie z Dużym Stanem Lola i ja poszliśmy do parku i wtedy Boyd zadzwonił drugi raz.

– Bardzo przepraszam, panie Liu. Że odłożyłem słuchawkę. Pan w to nie uwierzy.

– Mów, Boyd, mamy mnóstwo czasu.

Prawdę mówiąc, nie mieliśmy wcale takiego mnóstwa czasu, ale chyba godzinami mógłbym słuchać piskliwego tonu farmera. Trochę przypominał mi głos mojego dziadka, zanim wszystko się schrzało.

– Panie Liu, jestem w kuchni u mojego kuzyna Bobby'ego pod Warsaw w Indianie. Lepiej, jakby pan tu przyjechał.

Boyd zaczął opowiadać, jak wybrał się do Warsaw oddalonego o godzinę drogi od domu po specjalną karmę dla kurcząt.

– Powiadam panu, gdyby nie otworzyła mi się maska, bo zamek się spieprzył, pewnie nigdy nie mógłbym panu przekazać tej informacji. Chyba sam Pan Bóg zepsuł mi maskę w wozie.

Panie Liu, znam tylko jedną rzecz, oprócz nowego zamka, która mogła mi pomóc dowieźć do domu karmę, zanim się rozpada – wrzuciłem ją luzem na pakę, nie miałem żadnej plandeki. Poszedłem do sklepu z narzędziami po rolkę taśmy Gorilla, żeby przykleić klapę nad silnikiem. Taką taśmą można przywiązać łosia do drzewa i nie puści. No stoję sobie w sklepie i zajmuję się sobą jak każdy porządny chrześcijanin w sklepie z narzędziami i nagle patrzę, rany, i oczom nie wierzę. Zobaczyłem go, panie Liu, kupca mojego vana, jak stał w kolejce.

– On cię też zobaczył?

– Nie, panie Liu, nawet nie zerknął. Stałem za nim, a on był za bardzo skołowany, żeby w ogóle zwracać uwagę na ludzi. Sprzedawca musiał nawet ze trzy razy mówić „przepraszam”, żeby się ruszył. Gość był myślami zupełnie gdzie indziej. Ale chwila, niech pan czeka. Bo jeszcze nie wszystko, mhm.

– Słucham, Boyd. Mów. Ale chwileczkę, kiedy to się stało?

– Jakies półtorej godzinki temu. Jak tylko zapłacił i wyszedł, rzuciłem na ladę dwie dychy, powiedziałem, że reszty nie trzeba, wyleciałem ze sklepu,

przykleiłem maskę jak trzeba i zobaczyłem, jak odjeżdża moim vanem. No to sam podjechałem kawałek do drogerii, którą znam. Tam jest automat. I stamtąd wcześniej dzwoniłem. Noszę przy sobie pana wizytówkę i bardzo dobrze. W każdym razie widzi pan, musiałem skończyć, bo znowu napatoczył się ten pana gość. Zaparkował po drugiej stronie budynku i wchodził do apteki. Bo to właściwie nie drogeria, tylko taka apteka w starym stylu, panie Liu, sprzedają tam tylko leki. Nie ma pampersów, żadnego jedzenia. Może go pan znaleźć po nazwisku lekarza? Chociaż może nie trzeba, bo niech pan słucha, co było dalej.

– Zaraz, chwileczkę. Widział cię, jak dzwoniłeś z automatu?

– Nic a nic. Nie widział mnie ani tam, ani w sklepie z narzędziami. Trzymałem się dość daleko od niego, bo wiedziałem, że tak by pan wolał, panie Liu. Nic by nam nie przyszło z tego, gdyby zobaczył, że go zobaczyłem. Mógłby zwać, nie? Wiem, że w sklepie z narzędziami mnie nie widział, bo skuliłem się i trzymałem za plecami takiego bysia w myśliwskiej kurtce w czarno-czerwonej kratę. No więc ten pana gość kupował taśmę izolacyjną, łopatę i jeszcze rolkę brezentu. Wygląda groźnie, prawda, panie Liu?

– Trochę, Boyd. Twierdzisz, że w aptecce też cię nie widział? Widziałeś, jak wychodził z apteki?

– Nie, wsiadłem do wozu i zwinąłem się stamtąd. Jeździłem i szukałem drugiego automatu. Ma się rozumieć, nie chciałem, żeby mnie zobaczył. Myśli pan, że powinienem go śledzić? Przepraszam. Ja po prostu nie chciałem, żeby mnie widział. Ale pan zaczeka, to jeszcze nie wszystko.

– Słucham – powiedziałem, myśląc, *niedźwiedź w różowym*.

– No i jeżdżę tak i szukam drugiego telefonu, panie Liu, a cholera, mówię panu, automat trudniej znaleźć, niż się wydaje. W każdym razie nagle przypomniałem sobie o swoim kuzynie Bobbym. Wspominałem panu o nim, nie, jego synek grał na uniwerku w kosza, pamięta pan? Jak mnie pan pytał o tablice „Hoosier State”?

– Tak, Boyd, pamiętam. Proszę cię, mów dalej.

– No i przypomniałem sobie o kuzynie Bobbym, mieszka jakieś pół godziny stamtąd w innym miasteczku, jedzie się tak długo, bo trzeba jechać drogą gruntową, on ma dużą farmę, hoduje bydło. Pomyślałem sobie, podjadę do kuzyna Bobby’ego i zadzwonię od niego, poza tym pozwoli mi zaparkować pod wiatą na traktor, żebym mógł osłonić karmę na pace, zanim się rozpada.

No w końcu przyjeżdżam, a Bobby wychodzi z domu, uśmiecha się tą swoją szeroką gębą i mówi mi bardzo dziwną rzecz.

– Jaką?

– Mówi: „Cholera, Boyd, jak raz miałem do ciebie dzwonić. Właśnie wróciłem z pastwiska, mijałem wzgórze i widziałem twoją furgonetkę stojącą pod wierzbą na skraju terenu starej szkoły. Po coś ją tam zostawił?”.

Nie wierzyłem mu, dopóki mnie tam nie zabrał. I cholera, panie Liu, zobaczyłem swojego bordowego vana z blachami „Hoosier State” z przodu i z tyłu. Powiedziałem do Bobby’ego, że musimy się cichaczem zwijać, iść tyłem, rozglądać się i tak dalej, żeby nikt nas nie widział. I tak żeśmy zrobili. Dwóch dorosłych chłopów szło tyłem przez pastwisko. Teraz siedzimy u Bobby’ego w kuchni. I trzęsiemy się, panie Liu. Jak galareta. Bobby ma parę strzelb, to możemy iść to załatwić, jak pan chce. Nie dzwoniliśmy jeszcze do tutejszych gliniarzy, zrobimy, co pan będzie chciał, panie Liu.

– Nie ruszajcie się stamtąd. Podaj mi adres. Zajmę się tym. Zaraz tam będziemy. Nie wychodźcie z Bobbym z kuchni.

Cholerny podejrzany zupełnie spokojnie załatwiał swoje sprawy, jakby miał mnóstwo czasu, skradzionego czasu. Dowiemy się, co kupił w sklepie z narzędziami i w aptece, dostaniemy wszystkie dowody wideo z obu tych miejsc i prawdopodobnie z punktów między nimi. Mieliśmy już jego vana i byłem prawie pewien, że ukrywa się w tej starej szkole, o której mimochodem wspomniał Boyd. Mieliśmy go na widelcu. To znaczy myślałem, że mamy go na widelcu.

ROZDZIAŁ 12

DZIEŃ, W KTÓRYM

La, la, la, la, la, la, la

La, la, la, la, la, la, la...

Wiesz, że możesz swój podpalić świat

Gdy umiesz wątpliwości rzucić w kąt

Kerli, Walking on Air

Czytałam kiedyś czy słyszałam, że człowiek może utonąć w wodzie o głębokości zaledwie pięciu centymetrów. Miałam wodę, atut nr 33, który wykorzystałam trzydziestego trzeciego dnia. Stąd kryptonim mojego planu, „15/33”.

Obudziłam się jak zwykle o 7.22. Poinformował mnie o tym atut nr 14, telewizor, a potwierdził atut nr 16, radio. Jak zawsze pościeliłam łóżko i czekałam na śniadanie, siedząc na białej narzucie do 8.00. Dokładnie o 7.59, w samą porę, zadrżały deski podłogi i do celi zbliżył się mój punktualny strażnik. Otworzył drzwi i podał mi tacę z wyszczerbionym porcelanowym talerzem – był wyszczerbiony, bo poprzedniego dnia celowo upuściłam go na podłogę, po prostu dla zabawy. *Muffinki z borówkami od Ekipy Kuchennej. I oczywiście mleko oraz kubeczek wody. Nie cierpię borówek, ale lukier maślany wygląda nieźle.*

– Dziękuję.

Cały rytuał z dodatkową porcją wody.

Wyszedł.

Znudzony dyrygent ziewa i na pamięć macha batutą. Pobudka! Orkiestra za moment zagra rockową wersję hymnu, który od dawna ćwiczy; jednoosobowa publiczność będzie w szoku. Maestro, żywsze tempo proszę.

Po wycieczce do kamieniołomu, którą w tamtym momencie świadomie

wymazałam już z pamięci, aż do tego dnia, dnia trzydziestego trzeciego, urozmaicałam stały porządek dnia atakami wrzasku i płaczu, wyłącznie w celu podbudowania wątego ego mojego dozorca. Oprócz tych starannie zaplanowanych, udawanych wybuchów emocji umocniłam się wewnątrznie w swojej determinacji. Skróciłam też harmonogram. Wcześniej zamierzałam odczekać jeszcze dwa tygodnie, by minęły dwa dyżury Ekipy Kuchennej, aby pozbyć się ostatnich wątpliwości dotyczących obliczeń i treningu. Żebym miała wody pod dostatkiem. Ale po wyprawie do tej jaskini grozy postanowiłam przejść od razu do finału. Wstrzymałam się jeszcze trzy dni, żeby łagodnie wrócił do stałych schematów i ochłonął ze wzburzenia, pozwoliłam, by nabrał złudnego zaufania i poczucia spokoju, dając mu to, czego w swoim obłędzie potrzebował: płacz i lament, uległość kogoś, kto traktował go jak samca alfa, skulony u jego kolan wpatrywał się w niego zalęknionym wzrokiem jak w potężnego władcę, wielkiego mocarza górującego nad ziemią, opokę, monarchę, faraona, jedyne go króla mojego świata. *Pieprzony zwyrodniały gnój.*

Wmówienie komuś, że ma władzę, to najbardziej dobitna demonstracja władzy.

Wykonanie planu musiało poczekać na lunch w trzydziestym trzecim dniu, ponieważ między 7.22 a 8.00 miałabym za mało czasu na przygotowanie. Szybko zjadłam muffinkę i czekałam do 8.30 na jego powrót. Siedząc po śniadaniu na brzegu materaca, czyściłam zęby nitką oderwaną z brzegu narzuty. Kiedy przeciągałam ją przez ciasne szpary między zębami, na łańcuszku śliny oblepiającej nic ciemniały przeżute okruchy muffinki. Czyszcząc po kolei od trzonowców po siekacze, zdziwiłam się, jak mocno skupiam uwagę na krwi, która zaczęła płynąć w wyniku niezbyt delikatnego zabiegu higienicznego.

Kiedy się stąd wydostanę, będę musiała iść do dentysty.

Poczułam się upokorzona koniecznością wykonywania tak prywatnej czynności w sypialni – jakie to prostackie traktować miejsce do spania jak łazienkę.

Nie zasługuję na to.

Obejrzałam paznokcie, niezadowolona z widoku zadartych skórek. Czekałam. Szykowałam się i czekałam.

Na szczęście wpadł w mój potrzask i pojawił się jak na komendę.

Rozlega się huk kotłów.

Otworzył drzwi. Podałam mu tacę.

Cały rytuał z myciem twarzy, ciała, zębów i picia z kranu – tym razem tylko ochlapałam się wodą. Nie zamierzałam więcej używać paskudnej ściereczki.

Muzycy orkiestry przesuwiają się na brzeżek krzesel, zaciskają palce na strunach, nabierają powietrza do płuc. Do kotłów dołączają skrzypce, wzmagając napięcie. Po plecach wyprostowanego pianisty przebiega dreszcz niecierpliwości.

Podreptałam z powrotem do pokoju. Uznałam tę fazę 15/33 za pomyślnie

zakończoną. *Odhaczono.*

Wszystkie najdrobniejsze szczegóły tego dnia są utrwalone w filmie, który wyświetla mi się w głowie. Mikrosekundy działań i obserwacji zostały wryte we mnie tak głęboko, że widzę je, jak gdyby wszystko działo się teraz: sceny odtwarzane przez siedemnaście lat. Kiedy po porannej toalecie wepchnął mnie z powrotem do celi, poczułam, że jego ręka zaciśnięta na moim przedramieniu jest tak lodowato zimna, że mogłaby przykleić się do mojej skóry jak wargi do zmrożonej szyby. Wyciągając szyję, zobaczyłam na jego brodzie plamę żółtawej substancji, która przywarła do nieogolonego zarostu. Wyglądała na kawałek żółtka – pewnie po tym, kiedy wręczył mi muffinki i zanim odebrał tacę, pożarł jajko.

Zajada ciepłe śniadanka, ładuje w siebie proteiny, a mnie daje puste kalorie w zimnych ciastkach.

Chciałam, aby miał na tyle przyzwoitości, żeby otarł twarz, zanim mi się pokaże. Chciałam, aby miał na tyle taktu, żeby przeprosić za dyszenie smrodem w mojej obecności, za zatruwanie atmosfery wokół mnie zapachem swojego potu i cuchnącym oddechem, za przekonanie, że może się posilać, kiedy jestem w tym samym budynku co on, za brak ciepła w jego dotyku, za to, że nie widzi mojego planu, w którym odgrywa główną rolę, za jego ślepotę, jego głupotę, jego istnienie, jego przeszłość, przeszłość ofiary tortur, przez którą też stałam się ich ofiarą. Chciałam, aby ta żółta plama nie istniała. Wolałabym nigdy nie zobaczyć tej kleistej mazi na jego pokrytej wągrami i obciążonej suchą skórą, leniwej gębie, ale miał ją, miał mnie naprzeciw siebie, i właśnie tego dnia trzeba było wykonać ciężką pracę.

Odczepi się ode mnie na dobre trzy i pół godziny. Do roboty. Faza II.

Właściwie nie potrzebowałam aż trzech i pół godziny. Na przygotowanie wystarczyłaby może godzina. Mając zapas czasu, ćwiczyłam. *Muszę stanąć tutaj.* Stałam tam. *Wtedy muszę to zrzucić.* Udałam, że puszczam sznurek. *Muszę to podnieść i od razu popchnąć.* Ćwiczyłam z deską w podłodze. *Wychodząc z pokoju, muszę to odczepić.* Ostatniego elementu nie ćwiczyłam, obawiając się, że mogę zaprzepaścić szansę na swój ostateczny cios, swój wielki finał, swoją śmiertelną pułapkę z potrójną asekuracją.

Zbliżała się ta godzina. Gdybym była baletnicą, stałabym na pointach, moje stopy, nogi, całe ciało byłoby wyprężone w pozie sztywnej jak betonowy posąg. Rosnące we mnie dziecko poruszyło się; przejechało mi stopą po brzuchu. Wyraźnie było widać napierające od środka pięć paluszków i piętę. *Kocham cię, maleństwo. Trzymaj się. Zaczynamy.*

Podmuch wiatru zaszeleścił koroną drzewa za trójkątnym oknem, a zaraz potem niebo pociemniało i nagle lunął deszcz.

Flety brzmią jak rój brzęczących pszczoł, skrzypce szaleją, wzniecając cyklon, fortepian huczy ogniem, palce dosłownie rozbijają klawiaturę w proch.

Kilka minut później z szarego nieba wciąż kapało, deszcz nie dał jeszcze za wygraną, ale nie padał już tak jawnie. Gdyby było ciepło, w powietrzu unosiłaby się para, tak jak latem w Savannah, gdzie mieszkała babcia. Ale ponieważ panował chłód i byliśmy na zupełnie nieegzotycznej płaskiej farmie, od takiej wilgoci ścinał się szpik w kościach.

Mój syn się tu nie urodzi. Nie przyjdzie na zimny i mokry świat. Nie zabiorą mi dziecka.

Do działania pchnął mnie mój stan, ten stan. Miałam wtedy za sobą osiem pełnych miesięcy ciąży, nie mogłam więc fizycznie zaatakować mojego strażnika, mimo że dawał mi wystarczająco dużo okazji. Mogłabym wbić mu w szyję sztylet z odłamka porcelany albo ostry koniec anteny telewizora. Mogłabym zdemontować skrzynię łóżka i pobić go drewnianą nogą. Wierzcie mi, rozważałam wszystkie te możliwości. Zostały jednak wykluczone, bo wymagały zręczności, atakowania, skakania, umiejętności, których brakowało mi w tej fazie ciąży. Poza tym mogłabym spudłować. Nie mogłam dokonać tego, co konieczne, wyłącznie siłą fizyczną, a nie chciałam stresować dziecka głupią nieudaną próbą. Postanowiłam wykorzystać jak najwięcej z posiadanych atutów, a także prawa fizyki, podstawy biologii, systemy dźwigni i bloczków oraz nieokiełznaną żądzę zemsty.

Mój ojciec jest fizykiem i ma czarny pas w dżiu-dżitsu, które trenował podczas służby w marynarce. Mając gruntowną wiedzę z tych dwu dziedzin, uczył, jakie korzyści płyną z wykorzystania w walce wagi i ruchów napastnika. Od matki, zatwardziałej w swoim cynizmie, usłyszałam radę: „Nigdy nie powinnaś lekceważyć czyjejś głupoty i lenistwa”. Prędzej czy później przeciwnik się pomyli, tak więc zgodnie z jej naukami: „Nigdy nie marnuj chwili słabości przeciwnika. Jeżeli odsłoni szyję, poderżnij mu ją bez wahania”. Mówiła w przenośni, ja jednak na próżno próbowałam zastosować to dosłownie.

Było wiele chwil, w których mój porywacz przejawiał słabość, głupotę i lenistwo. Podsumujmy je: furgonetka, Ekipa Kuchenna, temperówka, ustalenie i przestrzeganie schematów, osłabienie ego i niezdolność do jego pokonania, decyzja, by wycelować pistolet w moje nienarodzone dziecko, proponowanie dodatkowych porcji wody, telewizor, radio i na koniec zwyczaj zostawiania kluczy w zamku, ilekroć otwierał drzwi, żeby wejść do mojego pokoju.

W trzydziestym trzecim dniu byłam już spokojna, że Ekipa Kuchenna przyjdzie dopiero w dniu trzydziestym siódmym. Nie odwiedzą mnie Doktor i państwo Banalarze, ponieważ nie pojawiły się u mnie oznaki porodu – zresztą i tak na pewno nie powiedziałabym o nich swojemu dozorczy. Bradowi, jak przypuszczałam, udało się szczęśliwie zwiąć.

On i ja będziemy sami, tak jak przewidują założenia 15/33.

Kołyszące się u góry radio poinformowało mnie, że jest 11.51, dziewięć minut do rozpoczęcia. Stałam w wyznaczonym miejscu, starając się skupić na

godzinie wskazywanej przez radio, które kręciło się uwiązane na sznurku. Minuty wlokły się w takim samym żółtym tempie, w jakim biło mi serce. Jeżeli cokolwiek mnie wtedy dręczyło, to chyba tylko pragnienie, żeby jak najszybciej mieć za sobą cały spektakl. Wyćwiczyłam swoją rolę mniej więcej tak, jak gdybym nauczyła się na pamięć długiego i żarliwego wyznania miłosnego, które przy jego układaniu być może wywoływało drżenie serca czy nawet wyciskało z oczu łzy, ale wyrecytowane dziesięć tysięcy razy zmieniło się w zlepek słów oderwany od ludzkich uczuć – podobnie jak prezydent czyta przemówienie z promptera albo kiepski aktor wygłasza kwestię, odczytując ją ze scenariusza. „Kocham cię” brzmi jak słowa wypowiedziane mechanicznym tonem robota, bez drgnienia głosu i ramion, bez wyciągnięcia ręki przy „kocham”, bez rozszerzenia źrenic, bez zmarszczki na czole podkreślającej wagę wyznania. „Kocham. Cię.” – mówi ktoś, sprawdzając równocześnie godzinę na zegarku. *Jeżeli zerka na zegarek, w takiej deklaracji nie ma śladu miłości; ale cały pokój pulsuje uczuciem, kiedy ktoś, wypowiadając te słowa, usiłuje nie osunąć się na podłogę, choć miękną mu kolana, nie próbuje mrużyć oczu przed oślepiającym światłem.*

Jak automat wyćwiczony w wyznawaniu miłości, nie mogłam się doczekać wykonania zadania. Wszystkie zaplanowane czynności powtarzałam tak często, że prawdopodobnie potrafiłabym zabić mojego dozorcę z zawiązanymi oczami i przez sen.

O 11.55 dałam znak mojej gwiazdzie, foliowemu workowi z wybielaczem, by zajął miejsce w świetle reflektora na scenie. Wybielacz to substancja żrąca. Czytałam kiedyś artykuł, gdzie cytowano Scotta Curridena z wydziału ochrony środowiska i zdrowia Instytutu Scripps, który powiedział: „Wybielacz potrafi wytrawić dziurę w stali nierdzewnej”. Dlatego czekałam do ostatniej chwili z przelaniem trzech czwartych z butli wybielacza do worka na śmieci z cieniutkiej folii, który zawiązałam czerwoną nitką ze sprutego koca. Następnie, stając przy drzwiach, pociągnęłam drugi koniec nici, którą wcześniej przerzuciłam przez belkę najbliższej drzwi razem ze sznurem przywiązanym do innego przedmiotu – zaraz wyjaśnię – tak aby worek z wybielaczem znalazł się pod tym ciężkim przedmiotem. Obydwa rekwizyty zawisły prosto nad deską nr 3.

Jak już wspomniałam, wybielacz jest substancją żrącą, co wiemy od naukowców. I wybielacz piecze jak sami-wiecie-jaki syn, kiedy pryśnie komuś w oczy, usta czy twarz, o czym mówi nam zdrowy rozsądek.

Zegar wyświetlił 11.59 i równocześnie na niebie rozblęskło słońce, przebijając promieniem zawieszony w powietrzu drobiny kurzu. W ciasnym fragmencie przestrzeni, na który sama się skazałam, przyciskając się mocno do ściany przy drzwiach, owionął mnie lepki odór mojego własnego potu. Zapach na pewno nie stał się intensywniejszy z powodu zdenerwowania, ale był aż nadto wyczuwalny, bo przygotowywałam się do pożegnania ze wszystkimi detalami tej

okropnej nory.

Wyczułam lekkie drżenie. Zaskrzypiały deski połogi. *Lunch*. Przykleiłam się plecami do ściany, nie ruszając się z wyznaczonego stanowiska. Postawił tacę na podłodze w korytarzu. Stuk plastiku o drewno był dla mnie sygnałem, aby się sprężyć i przygotować.

Brzęknęły klucze, zgrzytnął metal w zamku.

Otworzyły się drzwi.

Otworzył je szeroko, dokładnie tak, jak chciałam, jak zawsze, jak się spodziewałam, jak przewidywał plan.

Podniósł z podłogi tacę z jedzeniem, pochylił się, nie unosząc wzroku, i stanął dokładnie w tym miejscu, w którym zawsze stawał, które zaznaczałam i odmierzałam trzy razy dziennie od piątego dnia. Na desce nr 3. Spojrzał prosto przed siebie na łóżko, które zmieniło się w śmiertelny potrzask. Pewnie się spodziewał, że będę tam siedziała w oczekiwaniu na lunch, ale zobaczył... odchylony materac, który stał wcisnięty między ramę łóżka a ścianę, a skrzynia na podłodze, otwarta i wydrążona, wyłożona folią i napełniona wodą, została w ten sposób przeobrażona w prawdziwy basen. Kamieniołom o ścianach obitych bawełną, kamieniołom pod dachem, zaledwie kilka kroków od drzwi. W ciągu tej sekundy, którą mu dałam na obejrzenie rezultatu mojej pracy, liczyłam na to, że zobaczy gotowe płótno czekające tylko na swój główny temat, czyli na niego, by zostało skończonym arcydziełem. Liczyłam na to, że zwymyśla się w duchu za to, że zostawił folię na skrzyni, zwymyśla się za to, że był zbyt leniwy, by ją zdjąć i porządnie umocować łóżko na listwach. W jego oczach skrzynia fachowo wyłożona folią i napełniona do połowy wodą oraz materac stojący pod ścianą wyglądały pewnie jak studnia i wieko, czekające, by się nad nim zamknąć. Powinien zauważyć, że w drewnianej ramie brakuje kilku cienkich poprzeczek. Pomyślał, gdzie się podziały? A w górze śpiewało i kołysało się radio przywiązane na sznurku skręconym z nici czerwonego koca. Wtyczka radia tkwiła w gniazdku przy łóżku.

Skojarzył wodę z prądem? Pojął mój plan, poczuł przebiegające przez pokój elektryczne trzaski z gniazdka? Wyczuł napięcie w operze huczącej znad łóżka, tak wysokie, że miałam wrażenie, jakby sypialnię rozjaśniały błyskawice?

Gdybym czekała jeszcze sekundę, na pewno obróciłby głowę i zobaczył, że stoję po jego lewej stronie obok otwartych drzwi. Burknąłby zdumiony: *jak...?* Oczywiście nie dałam mu takiej możliwości, ale teraz mam okazję do krótkiego wyjaśnienia.

W ciągu tamtej pracowitej nocy między czwartym a piątym dniem wzięłam ostrze temperówki, która została natychmiast rozmontowana za pomocą ostrego zakończenia kabłąka wiadra, i rozciąłam foliowe pokrycie i tkaninę wewnątrz skrzyni łóżka. Właśnie ta operacja była tak czasochłonna. Miałam tylko małe ostrze

temperówki. Nawet mikroskopijne rozdarcie mogłoby zniweczyć plan, pracowałam więc metodycznie jak konserwator dzieł sztuki nad uszkodzonym Rembrandtem, skupiając się na każdym cennym centymetrze kwadratowym, dbając, by każde cięcie zostało wykonane z chirurgiczną precyzją. Zostawiłam folię na bokach i dnie skrzyni i przymocowałam pinezkami, zbiorczo atutem nr 24. Za chwileczkę wytłumaczę, skąd te pinezki. Wyłożyłam wyciętą folię skrzynię między odsłoniętymi już listwami podstawy i przymocowałam pinezkami powstałą nieckę – która teraz była pustym basenem. Niektóre miejsca wzmocniłam patchworkiem z fragmentów mojej czarnej kurtki przeciwdeszczowej, którą podarłam na kawałki. Mój dozorca nie zauważył jej zniknięcia.

„Twój przeciwnik często nie dostrzeża twojego zamiaru, bo wszystko przesłania mu własny plan. Nie szukaj podświadomie uznania dla własnej pomysłowości, zwracając na siebie uwagę – niech ci wystarczy własna aprobata. Bądź pewny, że wygrasz” – brzmiał cytat nagryzmolony na serwetce i oprawiony w ramki w domowym gabinecie mojej matki. Jego autorem był mój ojciec, który zapisał tę inspirującą myśl, zanim wyskoczył z samolotu w piance dla nurków, żeby uwolnić jakiegoś porwanego figuranta z niewoli na wyspie. Takie były tematy rozmów naszej rodziny przy kolacji, nawet gdy wygrane matki w procesach stały się normą, a mój ojciec przeszedł na emeryturę, aby całkowicie poświęcić się nauce.

Trzydziestego trzeciego dnia mój porywacz prawdopodobnie nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy ukazała im się zrobiona ze skrzyni łóżka studnia pełna letniej wody, którą proponował mi przy każdym posiłku – dodam, że o nawodnienie organizmu konieczne w moim stanie dbałam codziennie, żłapiąc z kranu w łazience. Nad basenem w łóżku wisiało radio podłączone do gniazdka w ścianie u wezłowia. Symfonia huczała z nieporównanym ferworem.

Szalone nuty. Och, szalona melodia. Grzmij dalej.

Trzydziestego trzeciego dnia, chwilę przed nadejściem mojego strażnika, gdy przyniósł lunch, sama z podziwem przyglądałam się tej scenie. *Kiedy ci dziękowałam, ilekroć proponowałeś mi wodę, miałam na myśli: Dziękuję, że pozwolisz mi się utopić i porazić prądem.*

W tym momencie orkiestra zapamiętała się w boskim natchnieniu, gra tak szaleńczo, że nie potrafię już usłyszeć ani jednego dźwięku. Co za muzyka, jaka ekstaza. Jestem urzeczona.

Sekundę po tym, jak wszedł do pokoju i stanął w miejscu, które badałam przez kilka tygodni, puściłam worek z wybielaczem (atut nr 36) oraz przedłużacz do USG (atut nr 22), na którym wisiał nad jego głową telewizor. Worek uderzył pierwszy i pękł, a milisekundę później został rozgnieciony spadającym telewizorem. Obydwa pociski trafiły dokładnie w miejsce, gdzie jako noworodek miał ciemiączko.

Wybielacz musiał się dostać do gałek ocznych, bo zamiast złapać się za rozbitą głowę, wydał piskliwy jęk i uniósł słabnące ręce do oczu – słabnące, bo tracił przytomność. Wszystko, co od tej chwili robił, mam w pamięci w formie stop-klatek. Widzę klatka po klatce, jak trze lewe oko wierzchem lewej dłoni, a prawą ręką robi to samo z prawym okiem. Nie słyszę go nawet we wspomnieniach, tak jak nie słyszałam w ciągu tych mikrosekund, choć jego otwarte usta na pewno wyrzucały stek przekleństw i wrzask. Usłyszałam operowy pean w radiu. Skrzypce wydały przenikliwie wysoki ton aprobaty. Usłyszałam też niecierpliwe trzaski prądu w gniazdku, który nie mógł się doczekać swojego wyjścia na scenę. Powierzchnia wody w skrzyni lekko się zmarszczyła od łomotu telewizora, kiedy wylądował na drewnianej podłodze, spadając wcześniej z głowy mojego dozorca na jego prawe ramię i odbijając się od pleców. Metalowy narożnik rozciął mu skórę gdzieś przy szyi i z rany wzdłuż kręgosłupa popłynął strumyczek krwi przypominający wstążkę balonika.

Zanim padł na dobre, użyłam następnej broni, którą złapałam w tym samym momencie, kiedy puściłam uwiązane u góry wybielacz i telewizor. Obluzowana deska wyrwana z podłogi w moich rękach stała się taranem. Przyłożyłam ją płasko do jego pleców z lewej strony, po której stałam. Wykorzystując jego ruch, gdy się przewracał, pchnęłam z niezbędną siłą – stosowną do jego wagi i wzrostu – żeby osunął się na kolana, a potem runął naprzód głową w wodę – do czego i tak musiało dojść. Runął do mojego kamieniołomu, rozchlapując wodę, a ja ominęłam jego stopy i wymknęłam się na korytarz, skąd patrzyłam do środka. Równocześnie odczepiłam od gwoźdźca przy drzwiach następny kawałek sznurka ze skreconej nici. Nic pochodziła z czerwonego koca, atutu nr 5, który, jak pamiętacie, zaczęłam pruć dwudziestego dnia. Mój dozorca nigdy tego nie zauważył, ponieważ co dzień rano o świcie składałam koc, ukrywając jego wypatroszoną część. Radio wpadło do wody, w której był zanurzony jego tułów i głowa, potraktowana wybielaczem i rozbita. W pokoju rozległ się trzask i syk wylądowania elektrycznego. Ja byłam na zewnątrz, on został w środku.

Wszystko to trwało niecałe dziesięć sekund, mniej więcej tyle, ile potrzebował, żeby mnie zgarnąć z ulicy.

To właśnie jest sprawiedliwość, moi drodzy. Zimna, nieubłagana, pałaca sprawiedliwość, która rozłupuje czaszki i razi prądem.

Plan ucieczki 15/33 składał się z trzech części: atak telewizorem z dodatkowym pociskiem w postaci worka wybielacza, który nie był konieczny, porażenie prądem i utopienie, a każda z tych metod z osobna mogła spowodować jego śmierć. Gdyby telewizor chybił celu, mogłabym chwycić deskę z podłogi i pchnąć go, licząc na to, że straci równowagę. Wrazie potrzeby mogłabym wyteńczyć wszystkie siły i tłuc go deską, dopóki by nie upadł, a potem sięgnąć po rezerwową broń i strzelić mu z łuku w oczy, szyję i pachwiny czterema strzałami,

które miałam w kołczanie na plecach.

Łuk i strzały? Miałam naprawdę dużo atutów. Łuk został skonstruowany ze zdobytej na strychu gumki oraz mojego wiernego uchwytu wiadra. Strzały były zaostrzonymi szczebelkami, które wyjęłam z ramy łóżka i ostrugałam za pomocą końcówek anteny telewizora – szczeble i antena co dzień rano trafiały na swoje miejsce, by pełnić swoją dekoracyjną i częściowo użytkową funkcję. Kołczan był rękawem mojej kurtki przeciwdeszczowej, związanym u dołu czerwoną nicią, a pasek został zrobiony z przewodów, które wyrwałam z wnętrzości ultrasonografu. Na szczęście strzały okazały się zbędne, dlatego nie martwiłam się, że nie będę umiała posługiwać się nimi w praktyce. Chwała Bogu i jego czarnemu aniołowi-motyłowi, miałam przewagę pozycyjną, element zaskoczenia, a dzięki wytrwałym badaniom znałam jego zwyczaje, schematy zachowania, chód, wzrost i wagę tak dokładnie, że równie dobrze sama mogłabym się w niego przeobrazić.

Skąd te pinezki? Pamiętacie zapewne, że w pierwszą noc w furgonetce spałam krócej niż on. Dziwne, co pot może zrobić z taśmą izolacyjną, zwłaszcza że w vanie było gorąco, a ja miałam trochę dodatkowych kilogramów. Przez cały pierwszy dzień czułam magiczny wpływ mojego ciepła na taśmę izolacyjną i więzy krępujące moje szczupłe nadgarstki powoli, ale skutecznie zaczęły się rozluźniać. Gdy wreszcie zachrapał, sprawdziłam, czy uda mi się wyswobodzić rękę. I rzeczywiście, kiedy spał już od pięćdziesięciu minut, moja prawa ręka wysliznęła się z pęt. Nie wiedziałam, ile będę miała czasu, boczne drzwi tarasowała oliwkowa kuchenka, a tylne były zamknięte na łańcuch, prawdopodobnie nie zdążyłabym uwolnić lewej ręki i nóg – chociaż dalej mocowałam się z taśmą. Pochyliłam się nad plecakiem, wyjęłam pinezki – tysiąc sztuk w dużym pudełku tak wypchanym, że pinezki w ogóle nie grzechotały – i wsunęłam do kieszeni swojej czarnej kurtki z podszewką. Mój porywacz poruszył się przez sen. Wyprostowałam się, włożyłam rękę z powrotem do więzów z taśmy, zgarbiłam się i udawałam, że śpię. Ziewnął i obrócił się na siedzeniu. Poczulałam na sobie jego wzrok.

– Pieprzona głupia dziwka – mruknął.

Idioto. Zabiję cię tymi pinezkami, pomyślałam wtedy.

Trzydzieści trzy dni później zastygłam w korytarzu przed swoją celą, patrząc na ostatnie ruchy jego skwierczącego, wstrząsanego skurczami ciała. Kiedy upadł, leżał bezwładnie z rozrzuconymi nogami i stopami zwróconymi do wewnątrz na podłodze, ale tułów był przewieszony przez niską ramę i zanurzony w wodzie wypełniającej skrzynię. Najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że przy każdym wstrząsie elektrycznym jego biodra unosiły się i uderzały w bok łóżka – jak gdyby zasnął z głową w wodzie i przez sen posuwał deskę ramy. Woda, która wydawała się niebieska, przetykana żółtymi smugami, wirowała wokół niego i wylewała się na podłogę. Z gniazdkka sypały się iskry, grożąc, że zajmie się od nich cały

budynek, ale spadały na deski podłogi, gdzie wypalały tylko czarne kropki. Towarzyszyły im trzaski i pęcherzyki jego oddechu, dopóki ciało nie zastygło w śmiertelnym bezruchu, a rozszalały prąd się uspokoił. Czekałam, aż ucichną trzaski, tak jak wtedy, gdy robi się popcorn w mikrofalówce i w ostatnich długich sekundach słysząc jeden trzask, drugi, trzeci, potem cisza i wreszcie pęka ostatnie ziarno. „Dzyń! Gotowe!”, oznajmia mikrofalówka.

Przez dom przebiegł szmer i bzyk gasnących świateł: porażenie prądem spowodowało zwarcie w instalacji. Mimo że było południe, zalatujący stęchlizną korytarz pogrążył się w mroku i zapadła upiorna cisza. Sięgnęłam do kołczanu na plecach po strzałę, stojąc nieruchomo jak kamienny posąg w parku, z wysuniętą do przodu nogą i obnażonym mieczem. Z jego komory śmierci nie dochodził żaden dźwięk. Za mną, nade mną, pode mną nie było słyszeć żadnych kroków. Stałam przed drzwiami swojego pokoju. Zamknęłam go w środku i zabrałam klucze.

Cisza.

W uszach huczał mi łomot serca.

Za oknem na klatce schodowej zatrzepotał wróbel, herold ćwierkający: „Droga wolna”.

Mam nadzieję, że miło pływało się w moim basenie, skurwysynu. Splunęłam na drzwi.

Zeszłam po schodach i wkroczyłam do kuchni. Tak często oglądałam ją w wyobraźni, udekorowaną kwiecistymi tkaninami, z drewnianymi stołami, białym zlewozmywakiem i zielonym mikserem, że poczułam się oszukana, widząc coś zupełnie innego. Rzeczywistość wprawiła mnie w osłupienie. Zamiast wiejskiej kuchni miałam przed sobą dwa długie stalowe stoły – w stylu kuchni w restauracji. Kuchenka była duża i czarna, mikser w nudnym białym kolorze. W pomieszczeniu nie było żadnych kolorów. Żadnych fartuchów z różową lamówką. Żadnego tłustego kota wylegującego się na dywaniku. Czekало mnie jeszcze jedno zaskoczenie.

Na stalowym blacie stołu ujrzałam drugi porcelanowy talerz z jedzeniem. Ten na pewno nie był mój; mój został rozbity na górze, pod nogami porażonych szczątków mojego porywacza. Ten talerz był opakowany w folię i oznaczony samoprzylepną karteczką. Obok stał identyczny garnuszek mleka i kubeczek wody. Podeszłam bliżej. Na karteczce napisano „D”. Zajrzałam do śmieci. Na wierzchu widoczny jak na dłoni był inny kawałek folii spożywczej z karteczką, tyle że na tej był napis „L”, inicjał mojego imienia. *Jak mogłam wcześniej tego nie zauważyć? Nie byliśmy sami w tym budynku. Druga dziewczyna. O imieniu na literę D.*

Mój plan nie uwzględniał takiego faktu. *Nie rozpraszaaj się, dokończ 15/33, a potem dostosuj plan do nowej sytuacji.* Znalazłam kilka kopert z adresem i telefon, zadzwoniłam pod dziewięćset jedenaście i zażądałam rozmowy z komendantem policji. Połączono mnie.

– Proszę uważnie posłuchać i zapisać te informacje. Będę mówić powoli. Nazywam się Lisa Yyland. Jestem dziewczyną w ciąży, która miesiąc temu została porwana w Barnstead w New Hampshire. Jestem przy Meadowview Road 77. Proszę nie przyjeżdżać radiowozem. Proszę nie nadawać tego przez radio. Nie robić widowiska. Narazicie na niebezpieczeństwo mnie i jeszcze jedną uprowadzoną dziewczynę. Przyjedźcie zwykłym samochodem. Szybko. Nie nadawajcie tego przez radio. Nie róbcie widowiska. Zrozumiał mnie pan?

– Tak.

Odłożyłam słuchawkę.

Teraz mogłam się zająć drugą ofiarą. Wyszłam na zewnątrz. W końcu zobaczyłam układ całości budynku. Tym razem się nie myliłam, był biały. Jak wcześniej zauważyłam, przestrzennie składał się z czterech skrzydeł, po trzy kondygnacje każde, ze wspólnym strychem, który stanowił czwartą kondygnację. Wyblakła tablica na bocznej ścianie głosiła: „Szkoła i internat Appletree”. Kuchnia była jednak nowa; zupełnie nie pasowała do łuszczącej się farby na zewnątrz. Przyszła mi na myśl scena z filmu *Miłość, szmaragd i krokodyl*, w której Kathleen Turner i Michael Douglas odwiedzają Juana, prosząc go o podwiezienie jego „małym mułem” Pepe. Dom Juana z zewnątrz wyglądał jak zrujnowana szopa, ale w środku jak istny pałac.

Ta dziewczyna, D, mogła być gdziekolwiek, a ja nie miałam ochoty wspinać się po wszystkich schodach, żeby jej szukać. Nie zamierzałam też wołać. Na szczęście coś przykuło mój wzrok. W lewym skrzydle dostrzegłam takie samo trójkątne okienko jak u siebie, na identycznej wysokości. Obeszłam cały budynek. Nigdzie indziej nie było takich okien. Wszystkie pozostałe były duże, niektóre zajmowały nawet całą ścianę pomieszczenia. Doszłam do wniosku, że gdyby trzymali ją w którymś z tych pokoi, na pewno okno byłoby zasłonięte. Spojrzałam jeszcze raz na trójkątne okienko i przysięgam, że zobaczyłam trzepoczącego na szybie czarnego motyla, jak gdyby wskazywał mi drogę.

Otworzyłam drzwi prowadzące do tego skrzydła po lewej i weszłam po schodach na drugie piętro. Klatka schodowa wyglądała dokładnie tak jak u mnie. W korytarzu na piętrze była taka sama łazienka.

Zaskrzypiałam deskami podłogi przed zamkniętym pokojem.

– D? – odezwałam się.

Cisza.

– D, jak ci na imię? Właśnie uciekłam z innego skrzydła budynku. Ktoś u ciebie jest?

Głośny huk, jakby coś spadło.

– Halo, halo! – rozległ się wrzask. – Wypuść mnie stąd, błagam! – Powtarzała to wiele razy, jak oszalała, podczas gdy ja gorączkowo przeszukiwałam pęk kluczy, który zabrałam ze swoich drzwi, dopóki nie odnalazłam właściwego.

Co ciekawe, D była zamknięta na zwykły staroświecki zamek, całkiem prosty, w niczym nieprzypominający mojej tytanowej, supernowoczesnej wersji. *Dlaczego tak jej ufali? Lekceważyli ją?* Z takim zamkiem poradziłabym sobie już pierwszej nocy. Kiedy drzwi się otworzyły, zobaczyłam jasnowłosą dziewczynę, która usiłowała usiąść na łóżku. Na podłodze leżały rozsypane książki, więc domyśliłam się, że to ich sterta runęła z hałasem. D miała na sobie fioletową sukienkę i jedną czarną tenisówkę Converse All Star; druga stopa była bosa. Podkulając palce w darowanych za dużych nike, znowu zaczęłam się zastanawiać, gdzie się podziały moje buty. *Dlaczego pozwolili jej zostawić but?* D była w zaawansowanej ciąży, tak jak ja.

– Policja jest w drodze. Zaraz tu będzie.

W chwili, gdy to mówiłam, za oknem rozległ się szelest opon i warkot silnika.

Dlaczego w swoim skrzydle nie słyszałam podjeżdżających samochodów? Ona musiała słyszeć każdy przyjazd Ekipy Kuchennej, Doktora, państwa Banalarzy, skautek z matką, Brada. Czy za każdym razem wołała o pomoc? Pewnie jej nie słyszeli.

– Nazywam się Dorothy Salucci. Potrzebuję lekarza.

Na dole trzasnęły drzwi samochodu. *To nie może być policja, za wcześnie. Dzwoniłam trzy i pół minuty temu. To musi być policja. Ktoś chodzi za oknem. Dokąd idzie?*

Na jej bladej twarzy perlił się pot. Powieki ciężko opadały, ale nie z powodu apatii, tylko choroby. Jedna noga była spuchnięta i czerwona; łydka wyglądała, jakby lada chwila miała wybuchnąć. Włosy tłuste i zlepione, grzywka odgarnięta na bok i spięta wsuwką.

Gdzie oni są?

Loch Dorothy w wielu szczegółach był lustrzanym odbiciem mojego: drewniane łóżko z materacem, którego nie umieszczono na listwach, tylko położono na ramie, skrzynia pod spodem opakowana folią, takie same belki u góry, okno, drewniana podłoga. Nie miała jednak telewizora. Nie miała radia. Piórnika, linijki, ołówków, papieru i temperówki. I jak przypuszczałam, nie miała pinezek. Miała za to dwa atuty, których nie miałam ja: druty do robótek i kilka książek.

Z innej części budynku dobiegły wrzaski. Z mojego skrzydła.

Próbowałam podnieść Dorothy, zmusić, żeby poszła ze mną.

Trzasnęły drzwi. Też w moim skrzydle.

– Chodź, Dorothy, chodź szybko.

Znieruchomiała.

– Dorothy, Dorothy, musimy stąd uciekać!

Za oknem pod nami szybki tupot nóg.

Po chwili załomotały na schodach.

Dorothy przywarła do ściany za swoim łóżkiem.
Pociągnęłam ją za rękę.
W korytarzu za nami skrzypnęła deska w podłodze.
I wtedy musiałam przyjąć do wiadomości swoją olbrzymią pomyłkę.

ROZDZIAŁ 13

AGENT SPECJALNY ROGER LIU

Zaraz po zakończeniu rozmowy z Boydem Lola i ja dotarliśmy do Skyway, jedynej drogi do Indiany, którą można się było szybko przemieścić na sygnale. Zadzwoiłem na miejscowy posterunek policji w Indianie i uprzedziłem o naszym rychłym przyjeździe, polecając komendantowi, żeby ani drgnął, ani nie próbował puszcząć w eter choćby jednego komunikatu.

– Nie ma sprawy – odparł i obiecał, że ściągnie swoich ludzi z ulicy za pomocą dyskretnego kodu.

Gdy wjechaliśmy do Gary, wyłączyliśmy syreny i światła, aby wtopić się w pszenno-słomiane tło Indiany tego chłodnego wiosennego dnia jak reszta kierowców nieoznakowanych pojazdów. Niebo wyglądało jak arkusz szarej stali, zza której gdzieś bezskutecznie próbował się przebić błękit. Słońce było tylko mglistym wspomnieniem przykrytym mętną, skłębioną pianą.

Zmysły Loli były wyostrzone i napięte do maksimum, bo zapach old spice'a zmieszanego z jej potem wypełniał wnętrze samochodu do ostatniego centymetra kwadratowego. Prowadziła, więc otworzyłem okno od strony pasażera.

– Zamknij to cholerne okno, Liu, mam dość tego pulsującego huku w uszach.

Mnie też irytował głośny szum powietrza, a jeszcze bardziej musiał irytować kobietę o czujnych zmysłach psa gończego. Wcisnąłem guzik, by zamknąć szybę.

Przedarliśmy się przez miasteczko na posterunek policji, który zmieniono w prowizoryczne dwuosobowe centrum dowodzenia. W kanciastym parterowym budynku szare biurka stały naprzeciwko sięgającego do pasa drewnianego przepierzenia, które znajdowało się naprzeciwko drzwi. Wbrew moim oczekiwaniom nie powitały nas zwarte szeregi funkcjonariuszy w granatowych mundurach. Starszy policjant wyciągnął do mnie rękę.

– Agencie Liu, komendant Marshall. To mój zastępca, Hank. Przepraszam, wiem, że spodziewał się pan nas więcej. Ale gdy tylko skończyliśmy rozmawiać, zdałem sobie sprawę, że cholera, akurat dzisiaj wszyscy moi chłopcy pojechali na pogrzeb żony swojego dawnego szefa. Są dwie i pół godziny drogi stąd. Ale niech pan posłucha, niech pan posłucha.

Komendant podszedł bliżej, spoglądając mi w oczy, by podkreślić wagę tego, co zamierzał mi zakomunikować.

– Niech pan słucha. Nie uwierzy pan, ale właśnie dzwoniła wasza porwana dziewczyna. Sam nie mogę uwierzyć w taki zbieg okoliczności.

– Dorothy do pana dzwoniła? – spytałem nieufnie.

– Dorothy? Kto to jest Dorothy? Nie, dziewczyna powiedziała, że nazywa się Lisa Yyland.

– Niedźwiedź w różowym – szepnęła Lola.

– Co proszę? – zdziwił się komendant Marshall.

– Nieważne, nieważne. Lisa Yyland, mówi pan? – powiedziałem.

– Tak, może pan posłuchać nagrania rozmowy. Dzwoniła trzy minuty temu. Próbowałem się do pana dodzwonić. Powiedziała, żebyśmy przyjechali do starej szkoły z internatem. Czeka na nas. Mamy nie włączać syreny, żeby nie narażać na niebezpieczeństwo jej i drugiej dziewczyny.

Drugiej dziewczyny. Drugiej dziewczyny. To na pewno Dorothy.

– Kto to jest Lisa Yyland? Jeżeli szukacie Dorothy, wiecie, kim jest Lisa?

– Owszem, wiemy. Nasi ludzie pojechali do domu Lisy w New Hampshire, kiedy miesiąc temu zniknęła. Tydzień po tej dziewczynie, Dorothy, którą tropimy. Rano w dniu zaginięcia Lisa spakowała duży plecak, wzięła farbę do włosów matki, mnóstwo jedzenia i kilka innych rzeczy. Po ustaleniu zawartości plecaka uznali, że można stąd wysnuć tylko jeden wniosek: podejrzenie ucieczki. Jej sprawa trafiła do innego zespołu wyłącznie na podstawie tych faktów. Cholerne dane. Przekłete modele komputerowe. Wiedziałem, że to będzie sprawa dla nas. – Otarłem pięścią czoło i zacisnąłem zęby, tłumiąc pierwotny pomruk.

– Chodź, Roger. Jedźmy tam zaraz – nalegała Lola, ciągnąc mnie za zgięty łokieć.

Miała na tyle taktu, by w obecności innych zwracać się do mnie „Roger” zamiast „Liu”, co nie umknęło mojej uwagi. Zawsze też mówiła „Roger”, kiedy chciała, żebym się otrząsnął i wziął w garść.

– Komendancie, może nas pan tam zawieźć?

– Jasne, że mogę. Weźmiemy volvo Sammy’ego. To nasz operator. Nikt nie będzie podejrzewał takiego zardzewiałego gruchota. – Komendant wskazał pulchnego mężczyznę, który sennie jadł pączka, rozparty na krześle przed centralą telefoniczną, umieszczoną w czymś w rodzaju szafy. Gruby Sammy skinął głową i nie przerywając żucia, bez słowa podał komendantowi kluczyki. Widok cukru pudru na jego wargach i brodzie oraz mundurowej koszuli, w której brakowało dwóch guzików, przypomniał mi, że jesteśmy w naprawdę małym miasteczku.

Wsiedliśmy do pomarańczowego volvo Sammy’ego, komendant Marshall, jego zastępca, Lola i ja. Z tyłu na podłodze, pod nogami Loli i moimi, wałały się kubki po kawie ze stacji benzynowej i psia karma, która wysypywała się z otwartej torebki. W kaburach mieliśmy naładowaną i odbezpieczoną broń, byliśmy gotowi do rzezi. Lola wystawiła nos za okno i w drodze łowiła jakiś zapach. Mięśnie drżały jej niecierpliwie, na zaciśniętych udach spoczywały palce sztywne jak w stężeniu pośmiertnym. Moje emocje dostroili się do komunikatu wysyłanego przez jej ciało.

ROZDZIAŁ 14

CIĄG DALSZY DNIA TRZYDZIESTEGO TRZECIEGO

Kiedy odwróciłam się od Dorothy, ujrzałam brata bliźniaka mojego porywacza, którego widok natychmiast uświadomił mi, że mam obowiązek bronić czterech osób: siebie, swojego nienarodzonego dziecka, rozhisteryzowanej Dorothy i jej nienarodzonego dziecka. Spojrzałam badawczo w jego przekrwione oczy, z których płynęły łzy. Wyglądało to tak, jak gdyby po twarzy spływała mu bulgocząca lawa albo gęsty muł, tworząc coś w rodzaju lawiny błotnej, która zatapia mu skórę. Obawiając się, że mam jakieś urojenia i widzę rozpadającą się figurę woskową, przyjrzałam się uważniej i zdałam sobie sprawę, że łzy żłobią mu bruzdy na twarzy, jak morze w miękkim piasku podczas odpływu, rozmazując mu podkład. *Makijaż? Tak jest, makijaż. A niech mnie.* Wkrótce ukazały się gigantyczne pory i nie było cienia wątpliwości, że spod warstwy pudru wyłonił się prawdziwy i identyczny brat bliźniak człowieka, którego dopiero co zabiłam. Sapał ciężko chrapliwym oddechem kogoś pogrążonego w bezdennej rozpacz. Dosłownie miażdżył butami deski podłogi jak głodny, użądłony przez pszczołę byk, który szykuje się, by zaatakować i rozedrzeć przeciwnika rogami.

Błyskawicznie przyszły mi na myśl cztery wnioski:

Brad znalazł zwłoki brata;

Brad ma własne klucze do naszych cel – ściska w dłoni cały pęk. Na szczęście swoje klucze wrzuciłam do kołczanu na plecach, kiedy weszłam do pokoju Dorothy;

Brad jednak nigdzie nie poleciał;

Brad zamierza nas skrzywdzić – zrobić nam coś o wiele gorszego niż dotąd.

– Mój brat! – piskliwie wrzasnął mi prosto w twarz, krążąc po pokoju Dorothy. – Mój brat, mój brat, mój brat – powtarzał, chodząc tam i z powrotem i gwałtownie wymachując rękami.

Kiedy trzeci raz rzucił mi się do oczu z groźnym warknięciem, dostrzegłam wgniecenie w jednym z czterech złotych guzików na rękawie granatowej, dość ekstrawaganckiej aksamitnej marynarki. *Mimo tego przedstawienia wygląda nienagannie. Ale ten guzik...*

W momencie, gdy trzasnął mnie prawą ręką w lewą skroń, jak gdybym była piłeczką tenisową, a jego przedramię rakietą, przemknęło mi przez myśl, że wgniecenie guzika było po prostu wizją przyszłości, bo na pewno spowodowało je zderzenie z moją czaszką. Być może dzięki temu, że nieustannie oceniałam sytuację i planowałam każde najdrobniejsze posunięcie, przygotowałam mózg do

przewidywania zdarzeń w najbliższej przyszłości. Oczywiście nie potrafię udowodnić swojej teorii, ale kiedyś chętnie zbadałabym z neurobiologami to zjawisko.

Po uderzeniu wszystkie przełączniki emocji, które mogłabym zwolnić, choć w rzeczywistości żaden nie był naprawdę zwolniony, zostały szczęśliwie zablokowane. Runęłam na podłogę, z satysfakcją czując wypełniającą mnie pustkę. Stałam się po prostu narzędziem mordu. Robotem. Automatem. Androidem.

Zmrużonym z bólu okiem zauważyłam, że z kołczanu wysunęła się jedna strzała zrobiona ze szczelbelka ramy łóżka. Chwyciłam ją i tym samym ruchem złapałam łuk, który też miałam na plecach. Leżąc na boku w pokoju Dorothy, osadziłam strzałę na cięciwie i czekałam, aż mój nowy dozorca znowu odwróci się twarzą do mnie – wszystko to trwało trzy sekundy od chwili, gdy zadał mi cios w głowę. Trening. Trening. To dzięki treningowi osiągniecie taki stan – będziecie potrafili oddzielić swoje działania od przerażających realiów. Spytajcie każdego żołnierza, który walczył na wojnie.

Dorothy stała na swoim materacu, drąc się wniebogłose, jak gdyby śpiewała główną arię sopranową w operze o straszliwej męce, składającej się w całości z czterokreślnego c. Chyba nawet powietrze roztrzaskało się na kawałki od jej ogłuszającego pisku. Zatęskniłam za swoim radiem z wyprzedaży staroci i za pianissimo fortepianu. Nie odwróciłam się, żeby ją uspokoić; nie miałam na to czasu. Leżałam przed Dorothy wypruwającą z siebie struny głosowe i celowałam strzałą w naszego wspólnego nieprzyjaciela. Spuchło mi oko obok miejsca, w które trafił jego cios. Widzenie utrudniała mi strużka krwi. Drugie oko jednak było zdrowe, wolne od opuchlizny, krwi i bólu.

Obrócił się w moją stronę. Mając ofiarę niewiele więcej niż metr od siebie, uniosłam łuk, by drewniany grot strzały znalazł się na wysokości jego oczu. I nie dając mu najmniejszych szans, by się wycofać czy nawet przez chwilę zebrać myśli, wypuściłam strzałę z cichym brzdękiem cięciwy.

Leć. Przeszyj go.

Strzała zadrzała w powietrzu, ale jak pocisk z czujnikiem termolokacyjnym uniosła się i wyprostowała, nie tracąc prędkości. Trafiła dokładnie w miękką przerwę między chrząstką nosa a lewą kością policzkową, około dwóch centymetrów pod dolną powieką, a drewniane ostrze wbiło się na tyle głęboko, by zostać w miejscu. *Gdybym miała okazję potrenować strzelanie do beli siana, mogłabym mu przebić oko, a może nawet mózg.*

Zabrzmiał zwierzęcy ryk. Brad uniosł rękę i wyrwał z ciała strzałę, co uznałam za najgłupszą reakcję z możliwych. *Kiedy dostaniesz nożem, zostaw go tam, gdzie jest. Poszukaj lekarza. Ostrze osuszy krew, uczył mnie kiedyś ojciec, wyjaśniając pochodzenie rany na prawym boku. Dostałem nożem kuchennym od rebelianta i szedłem piętnaście kilometrów z żelazem w mięśniach skośnych.*

Gdybym go wyciągnął, ani mnie, ani ciebie by tu dzisiaj nie było.

Z policzka Brada trysnął gejzer krwi i popłynął na aksamitną marynarkę, ochlapując deski podłogi. Duża krop-la opryskała mi ręce. Dorothy, chwala Bogu, przestała wrzeszczeć, przyskoczyła do mojego boku i zaczęła rzucać książkami w krwawiącą głowę Brada. *Buszujący w zbożu, Śniadanie mistrzów, Sto lat samotności, Jakiś potwór tu nadchodzi*, kilka innych klasycznych lektur; J.D. Salinger, Vonnegut, Marquez, Bradbury – wszyscy stali się bronią w naszej wojnie. *Zbiorczo atut nr 39: literatura.*

Brad, pochlipujący jak pobity słabeusz, pospiesznie zrejterował na korytarz i przyciskając mocno jedną rękę do krwawej dziury w twarzy, zatrzasnął drzwi i zaryglował, nieporadnie manipulując kluczami, które co chwila mu wypadały. Mniej przejmowałam się tym, że znowu zostałam więźniem, bardziej tym, że muszę stawić czoło rannemu zwierzęciu. Ranne zwierzęta, oszalałe z bólu i bezbronne, nie mają nic do stracenia i nikt nie potrafi im przemówić do rozsądku.

Tak więc za drzwiami miałam wściekłą hienę. W pokoju rozhisteryzowaną nastolatkę: Dorothy wróciła na łóżko, wydając rozdzierający, udręczony jęk. Mimo że stanęłam z opuszczonymi ramionami na zdartych deskach podłogi, po których najwyraźniej często chodzono tam i z powrotem, i wpatrzona w trójkątne okno błagałam mojego czarnego motyla, aby przyfrunął, nie pojawił się za szybą.

Jak mogłaś nie wziąć pod uwagę obecności Brada? Jak, u diabła, mogłaś się aż tak pomylić w ocenie?, wyrzucałam sobie.

Trzeba przyznać, że zawsze miałam wobec siebie nierealistycznie wysokie oczekiwania. Naprawdę spodziewam się, że będę wszechwiedząca, chociaż doskonale wiem, że nie będę. To chyba tylko pragnienie, żeby móc wykorzystać całą wiedzę we wszechświecie i zrobić użytek ze wspólnej, zbiorowej inteligencji. Wyjaśnić wszystkie istniejące teorie o czasie i przestrzeni oraz materii i ciemnej materii. Zagadkę stworzenia życia. Sens wszystkiego.

W przypiływie pokory, jak zawsze, gdy zdaję sobie sprawę ze swojej ludzkiej ułomności, po prostu oczekuję od siebie więcej, nigdy nie ustępuję rzeczywistości.

Obeszłam dookoła nową celę, przypominając sobie, że dzwoniłam na policję. *To się niedługo skończy, spokojnie, spokojnie, oddychaj. Lada chwila powinni tu być. Lepiej, żeby przyjechali, zanim on tu wróci. Lepiej, żebym opracowała plan, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. A jeżeli ten, kto odebrał telefon, jest w zмовie z porywaczami?*

Dorothy leżała na łóżku w pozycji umierającej sarny. Jej pojękiwanie przeszkadzało mi w układaniu planu. Nie byłam przyzwyczajona, by w swojej strategii uwzględniać kogoś innego, wszystko jedno, czy w laboratorium w domu, czy w niewoli. Nie byłam też przyzwyczajona do prowadzenia, a na pewno do nawiązywania rozmowy z dziewczyną w swoim wieku. Nie miałam żadnych koleżanek. Moim jedynym towarzyszem był Lenny, mój kolega, odkąd skończyłam

cztery lata, mój chłopak, odkąd skończyłam czternaście lat. Lenny był poetą z nadmiarem emocji, ale odkryliśmy, że gdy jesteśmy razem, równoważymy się nawzajem. Lenny miał niezwykłą wiedzę o angielskim; na liście na pozór niepowiązanych ze sobą słów tak szybko dostrzegał schematy i regularności, że nasi nauczyciele mieli kłopot ze znalezieniem dla niego odpowiednio trudnych zadań. W piątej klasie zorganizowano Lenny'emu specjalne jednoosobowe zajęcia i raz w tygodniu przyjeżdżał do niego specjalista ze stanowej rady szkolnictwa w New Hampshire z zestawem zadań. Ludzie z dr, dr hab. i innymi literkami przed nazwiskiem rzucali na prawo i lewo słowo „erudyta” tak lekko, jakby stwierdzali u niego ADHD. Ale moim zdaniem najlepszą diagnozę postawiła babcia, zwana po prostu babcią.

Babcia przyleciała do New Hampshire ze swojego domu w Savannah mniej więcej osiem miesięcy przed dniem trzydziestym trzecim. Moi rodzice pojechali do Bostonu na sztukę wystawianą na „Broadwayu w Bostonie”, więc babcia, Lenny i ja graliśmy w scrabble na drewnianym blacie w kuchni, siedząc wygodnie na wysokich stołkach z miękkimi oparciami. Oczywiście Lenny prowadził o jakieś siedemdziesiąt punktów, co działało na nas demobilizująco, a ja ustaliłam, że nie ma sensu grać dalej.

– Babciu, zróbmy kajmak, bo nie ma sensu dalej grać – powiedziałam. – Obliczyłam już, że nie ma możliwości, żebyśmy wygrały, więc równie dobrze możemy już skończyć. A może zagramy w szachy? Lenny jest strasznie słaby w strategii wojennej i możemy go zniszczyć.

– Chcesz powiedzieć, że możesz zniszczyć nas oboje – zauważyła babcia.

– No, jeżeli tak to rozumiesz – powiedziałam. Ponieważ miałam zwolniony przełącznik czułości, posłałam babci prosty i szczery uśmiech, który odwzajemniła, po swojemu puszczając do mnie oko spod gęstej brwi. Podobała mi się jej pomarszczona skóra, która wydawała się tak miękka i biała, jak jej kręcone włosy. Wyglądała jak świetlisty duch – dobre widmo w moim życiu. Czerwona bluzka w limonkowe kwiaty, długa, czerwona sztruksowa spódnica przewiązana różową jedwabną szarfą, czerwone skórzane chodaki z fioletowymi paskami – choć miała białe włosy i białą twarz, była bardzo kolorowa – jak gdyby jej duszę spowijała tęcza.

Babcia była autorką serii kryminałów, która zdobyła lokalną popularność. Jej docelową grupę odbiorców stanowiły panie w jej wieku, które w odróżnieniu od niej spędzały czas w bujanych fotelach w kurortach dla emerytów albo w domach opieki. W odróżnieniu od swoich czytelniczek babcia nigdy nie uległa presji wieku: pisała i szyła, szyła i pisała, a kiedy mnie odwiedzała, robiła kajmak.

Osiem miesięcy przed trzydziestym trzecim dniem Lenny i ja zaczęliśmy właśnie trzecią klasę szkoły średniej. Był piątek, połowa października. Wieczór był ciepły jak na porę roku i do kuchni przez otwarte okna wpadał lekki wiatr,

wydymając zasłonki nad kamiennym zlewozmywakiem. Babcia zsunęła się ze stołka, aby uciszyć czajnik, który zaczął gwizdać.

– Wiesz co? – powiedziała. – Lenny jest taki sam jak my. Różnica, moja kochana, polega na tym, że spotkało go szczęście i został żywicielem literackiego pasożyta, tego samego, którego nosił w sobie Karol Dickens, którego nosi w sobie Bob Dylan. Jakiejś cudownej odmiany, której zwyk-li śmiertelnicy nie potrafią złapać i zamknąć w słoiku. Ależ bym chciała się tym zarazić.

Kiedy złapała uchwyt czajnika przez pikowaną łąpkę kuchenną, spojrzałam na Lenny'ego nieobecny wzrokiem – który, jak sam twierdzi, budzi w nim strach.

– Lisa, nie zaczynaj – powiedział i pstryknął palcami, żeby zdjąć ze mnie urok. Ja myślałam już jednak gdzie indziej, zaszyta po uszy w niewidzialnej samotnej kryjówce i przełączona na tryb naukowy.

Gdy babcia stwierdziła, że talent literacki Lenny'ego to nic innego, tylko rodzaj mikrobiologicznego zakażenia, nagle mnie oświeciło, nasunęła mi się naukowa kwestia, która domagała się zbadania i oceny. Być może powinnam potraktować żartobliwą uwagę babci zgodnie z jej intencją, jako humorystyczny akcent sympatycznego weekendu. Być może nie powinnam przywiązywać do jej teorii aż takiej wagi i szukać dla niej biologicznego dowodu – ale kiedy dołączyła do tego wypaczona umysłowość nastolatki, rozpętała się we mnie hormonalna burza nauki i pożądania. Owszem, być może chciałam zarazić się od Lenny'ego chorobą słów. Być może przeze mnie zawiod-ły nasze erotyczne zabezpieczenia: tamtego wieczoru, kiedy najedliśmy się babcinego kajmaku, w samochodzie Lenny'ego zostało poczęte nasze dziecko. Myśli w stu procentach zajmowało mi szczepienie mikrobiologiczne, owulacji poświęciłam zero procent uwagi. Science fiction kontra empiryczna medycyna konwencjonalna. To był jedyny błąd, do którego dopuściłam – z powodu drobnego potknięcia w mojej wojnie z hormonami. Być nastolatką to naprawdę okropne.

Ponieważ następny okres minął mi bez konieczności użycia tampaksów, postanowiłam już nigdy więcej nie pozwalać na to, by przyziemna fizyczna żądza przyćmiła moją umiejętność precyzyjnego myślenia. Błagałam Lenny'ego o przebaczenie, przyrzekałam, że nie zburzę mu życia, przyrzekałam, że wezmę na siebie całą odpowiedzialność. Kiedy przekazałam mu tę wiadomość i dołączyłam przeprosiny, znowu siedzieliśmy na miękkich stołkach w kuchni. Rodzice byli w pracy, babcia wróciła do Savannah. Kiedy wspomniałam, że sama poniosę odpowiedzialność, uczuciowy Lenny spojrzał na mnie ze łzami w oczach.

– Nigdy – oświadczył.

– Nie, Lenny. To moja wina.

– Nie, to moja wina. Chciałem tego.

– Chciałeś tego?

– Lisa, wyjdź za mnie.

Szybko obliczyłam nasz wiek i pomyślałam o wydarzeniach, które nas czekały, gdy będziemy mieli jeszcze kilkanaście, a potem dwadzieścia kilka lat. Głęboką zmianę w naszym życiu znów obwieścił gwizdek czajnika, kiedy więc zsunęłam się bokiem ze stołka, żeby go zdjąć z gorącego palnika, udzieliłam mu szczerzej i dobrze przemyślanej odpowiedzi.

– Zgadzam się. Ale dokładnie za czternaście lat, gdy oboje będziemy mieli trzydziestkę, skończymy studia, kiedy ja zdobędę pozycję w nauce, a ty w pisarstwie.

– Świetnie – odrzekł, ocierając oczy rękawem i sięgając po długopis, by udokumentować swój zamęt w głowie wierszem, który nabazgrał na papierowej serwetce.

Dla mnie to był szczyt romantyczności. Dla Lenny’ego – nie mam pojęcia. Weekend spędził w bibliotece, czytając o poetach, którzy pisali o swoich dzieciach, a w poniedziałek pojawił się w szkole rozpromieniony i prawie podskakiwał, wchodząc do klasy.

Ależ babcia poczułaby się zażenowana, gdyby wiedziała, do czego skłoniła mnie jej figlarna analogia – nigdy bym jej tego nie zdradziła. Nawet dziś, siedemnaście lat później, wzdrygam się, pisząc tę opowieść, w obawie, że jej osiemdziesięcioośmioletnie oczy odkryją prawdę o jej prawnuku.

W celi Dorothy z jakiegoś powodu pomyślałam właśnie o babci i jej brzemiennych w skutki słowach tamtego wieczoru sprzed ośmiu miesięcy. Oparłam się o łóżko Dorothy, której ciało było wygięte w moją stronę jak zdeformowany rogalik z gulą ciasta pośrodku. Nie miałam pojęcia, jak ją pocieszyć, a gdybym jej powiedziała, w jaki sposób zabiłam w swojej celi naszego porywacza, prawdopodobnie zraziłabym ją do siebie. Zapewne nie gustowała w takim rodzaju sprawiedliwości jak ja.

Na dole Brad chodził tam i z powrotem, rzucając przedmiotami, a sądząc po opętańczych wrzaskach, zupełnie przestał nad sobą panować. Wnioskując z potężnego huku, który rykoszetem dotarł aż na nasze piętro, musiał roztrzaskać o ścianę krzesło albo stolik.

To się niedługo skończy. Gdzie jest policja? Policja zaraz tu będzie. Uratuje nas. Cholera, gdzie ci gliniarze? Powinni niedługo przyjechać. Nie powinni już tu być?

Wiedziałam, że prosty zamek u Dorothy potrafię otworzyć w sekundę; ustaliłam to zaraz po wejściu: stary zamek, łatwy do pokonania, atut nr 38. Nie było jednak sensu nic robić, dopóki nie pojawi się policja, a gdyby się nie pojawiła, dopóki Brad nie opuści budynku. Na szczęście w skrzydle Dorothy łatwiej było usłyszeć dźwięki z dołu i z zewnątrz. Byłam prawie pewna, że jeśli będziemy cicho, uda się nam znaleźć dogodny moment, by otworzyć zamek i się stąd wynieść. Dlatego, zamiast chodzić tam i z powrotem i dalej analizować sytuację,

musiałam przede wszystkim uciszyć Dorothy; to było moje jedyne zadanie. Trzeba było nasłuchiwać, nasłuchiwać, czekać i gdyby policja się nie pojawiła, użyć cierpliwości – atutu nr 11 – do czasu wyjścia Brada. A potem... potem trzeba się było spieszyć.

Dorothy dygotała w konwulsjach i właśnie wtedy zwróciłam uwagę na jej wygniecioną fioletową sukienkę bez podszewki, której matka nigdy nie pozwoliłaby mi włożyć – czegoś tak kiepskiej jakości, kroju jak spod sztancy. Po raz pierwszy od początku niewoli pomyślałam o własnym ubraniu. Byłam zaskoczona, że czarne spodnie ciążowe, uszyte ręcznie we Francji, nadal trzymają fason i mają niewiele zagnieceń. Matka kupiła mi dwie pary dzień po tym, jak dowiedziała się o mojej ciąży.

– Przeżyjemy ten ciężki czas jak cywilizowani ludzie, Liso. Będziesz się ubierać, jak należy. Dość tych bezsensownych workowatych ciuchów. Twój wygląd ma znaczenie, świadczy o wielu rzeczach, oczywistych i nieoczywistych, dotyczących cię bezpośrednio i pośrednio – mówiła, strzepując niewidzialny pyłek ze swojej wykrochmalonej białej bluzki i poprawiając brylantowe spinki do mankietów, nad którymi widniały wyhaftowane inicjały. – Chodzi o wrażenie związane z bogactwem. Za cenę tych dwóch par spodni mogłabym ci kupić dziesięć tanich sukienek ciążowych, i tak zapewne zrobiłaby większość kobiet w ciąży. Ale jakość dowodzi jakości. Poza tym, z finansowego punktu widzenia, to głupota przedkładać ilość nad jakość. Straszne marnotrawstwo pieniędzy. – Machnęła ręką w powietrzu, jak gdyby odpędzała widmo ruiny finansowej do zakurzonego kąta, gdzie nie sięgało jej wyniosłe spojrzenie. Zastanawiałam się wtedy, dlaczego bardziej przejmuje się stylem mojego ubioru niż moim stanem, ale dziś rozumiem, że po prostu w ten sposób próbowała radzić sobie z sytuacją.

Jakość moich spodni nie mogła mi raczej pomóc uspokoić Dorothy – w równych szwach francuskiej mieszanki bawełny nie kryła się żadna odpowiedź. Od gwałtownego szlochu dziewczyna zakrztusiła się i omal nie z wymiotowała, a potem zaczęła bełkotać coś bez związku i tłuc pięścią w materac. Przy każdym uderzeniu podskakiwała mi głowa. Biedną Dorothy zupełnie rozłożyło, straciła resztki równowagi psychicznej. Gdyby na mnie popatrzyła, jej źrenice pewnie obracałyby się we wszystkie strony jak samoprzylepne, czarno-białe wybałuszone oczy, które można kupić w sklepach hobbystycznych.

Cholera, gdzie policja? Teraz to już zdecydowanie za długo trwa. Pomyślałam o babci. Pomyślałam o matce. Siedzę tu na podłodze i twarz mi krwawi. Coś tu jest nie tak. Coś się musiało stać. Muszę to naprawić. Muszę nas stąd wyciągnąć.

Na dole jakiś ciężki przedmiot zderzył się z hukiem z innym ciężkim przedmiotem, a potem rozległ się ryk, od którego pękały bębunki i mózg. Brzmiało to mniej więcej:

– Jjiaaaa-haannaa... mój brrrraaaaat!!!

Nie myśl o tym, że ktoś nas uratuje. Nie licz na nikogo. Licz tylko na siebie. Skup się na Dorothy. Ucisz ją. Brad będzie musiał w końcu wyjść. Znajdź jakieś narzędzie. Kiedy wyjdzie, musimy być gotowe. Uspokój Dorothy.

Nie mogąc zaofiarować Dorothy żadnej lepszej pociechy, usiadłam po turecku i położyłam dłoń przy jej poduszce. Drugą ręką próbowałam zatamować krew, która wciąż spływała mi po twarzy. Pomyślałam, że mając moją rękę tak blisko siebie, będzie mogła się jej chwycić jak liny ratunkowej, gdyby tylko potrafiła skupić się na rzeczywistym otoczeniu. Mój gest naśladował jednak tylko to, co kiedyś zrobiła babcia, by pocieszyć ojca w dniu, w którym zmarła jego siostra, a jej córka. Babcia też wtedy płakała, ale kiedy zabrakło jej łez, mogła zaofiarować tacie tylko ten drobny niemy gest. Był bardzo przywiązany do cioci Lindy. Różnica wieku między nimi była niewielka, tylko dziewięć miesięcy, a rak rozprawił się z nią szybko i bezlitośnie.

Matka i ja pocieszałyśmy babcię i ojca na swój własny sposób. Poświęciłyśmy czas żałoby na opracowanie szczegółowego planu miesięcznej podróży po Włoszech dla nas czworga: mnie, matki, taty i babci. Nie jestem pewna, czy między matką a mną padło choć jedno słowo na temat śmierci cioci Lindy. Biorąc z niej przykład, okazywałam stosowne uczucie i milczałam, skupiając całą uwagę na planowaniu minuta po minucie wizyt w muzeach, kościołach i restauracjach. Brakowało mi cioci Lindy, ale opłakiwanie jej nie przyniosłoby żadnego pożytku i nie ukoilo rozpaczyny ojca ani nie pomogło w badaniu próbek krwi cioci Lindy, które udało mi się zdobyć, kiedy pielęgniarki nie patrzyły. Ciocia Linda wcisnęła mi do ręki fiolkę i szepnęła do ucha:

– Z taką głową, dziewczyno, znajdziesz kiedyś lekarstwo albo zwalczysz niesprawiedliwość. Nie zmarnuj takiego umysłu. – Z trudem przełknęła ślinę, zmagając się z nieuleczalną suchością w gardle, i dodała: – I chrzań lekarzy, którzy w kółko przypominają ci o uczuciach. Liczy się tylko miłość, ale ją już chyba udało ci się chwycić i ujarzmić.

Czy wobec tej dziewczyny na łóżku powinnam dopuścić do głosu miłość? Wobec tej nieszczęsnej młodej kobiety, zmagającej się z czymś zupełnie niezrozumiałym dla mnie? Wobec kogoś w takim samym stanie jak ja, ale doświadczającego uczucia, którego w tej chwili nie potrafiłam pojąć? Trzymając letnią dłoń na zmechaconym bawełnianym prześcieradle, czułam ciepło bijące od policzka Dorothy. Przyjrzałam się jej wychudłym ramionom, zastanawiając się, czy cokolwiek jadła w niewoli. Lunchu na pewno jeszcze nie – przecież zabiłam dostawcę.

Słońce było jedynie bezużyteczną rozmytą plamą brudnej bieli za ciemniejszymi chmurami – dzień poniósł porażkę. Półmrok w zimnym pokoju Dorothy sprawiał wrażenie, że nadciąga wieczór, chociaż od południa nie mogło

upłynąć zbyt wiele czasu.

W tej części budynku słyszało się inne dźwięki. Z zewnątrz dobiegał zgiełk odgłosów natury: ryczały krowy, od czasu do czasu gdzieś w oddali biły dzwony. Ponieważ w szybie w trójkątnym okienku u góry ktoś zrobił dziurę, rzucając w nią chyba kamieniem, do pomieszczenia wpadał przenikliwy wiatr, przynosząc zapach trawy i obornika. Nadmiar bodźców potęgował jeszcze hałas miotania sprzętów i przekleństw przez naszego wzburzonego porywacza. Zachowywał się jak uwięzione dzikie zwierzę – w klatce własnego obłądu.

Policja nie przyjedzie. Ułóż nowy plan wyjścia.

Mimo nieustannego zgiełku, kiedy położyłam rękę przy głowie Dorothy, udało się w jakiś sposób opanować jej emocje. Chwyła moje palce tak mocno, jak gdybym była brzegiem urwiska, a ona spadającym w przepaść alpinistą, który wbija paznokcie w skalny występ nad krawędzią świata. Nie odważyłam się jednak drgnąć, bo w miarę jak jej oddech stawał się równiejszy i głębszy, powieki zaczęły jej ciężać i z niewiadomego powodu wolno zapadła w drzemkę. Tuż przed zaśnięciem skierowała na mnie duże i wilgotne niebieskie oczy i nasze spojrzenia się spotkały. Nasze twarze dzieliło nie więcej niż ćwierć metra. W tym momencie Dorothy M. Salucci stała się najlepszą przyjaciółką, jaką miałam w życiu. Włączyłam Miłość – specjalnie dla niej – w nadziei, że takie uczucie zdopinguje mnie do opracowania nowego planu, żeby uratować nas obie, nas czworo.

Miłość jest uczuciem, które najłatwiej wyłączyć, ale najtrudniej włączyć, natomiast uczuciami, które najłatwiej włączyć, ale najtrudniej wyłączyć, są nienawiść, wyrzuty sumienia, poczucie winy, a przede wszystkim strach. „Zakochanie” to tymczasem całkiem coś innego. Właściwie „Zakochania” w ogóle nie powinno się zaliczać do uczuć. Zakochanie to mimowolny stan wywołany przez konkretną reakcję chemiczną, prowadzącą do uzależniającego cyklu, który organizm nieustannie stara się podtrzymać. Jak dotąd tylko raz się zakochałam, w dniu, w którym poczułam w ciele trzepot mikroskopijnego życia. Co to był za dzień – gdy wstrząsnęła mną świadomość doznania, które, podając się za uczucie, wkradło się do mojego serca i głęboko w nim utkwilo. Zrobiłabym wszystko, by ochronić i przedłużyć to uzależnienie od Wyższej Miłości, która wtargnęła do mojego życia, nie pozwalając się sterować żadnymi przełącznikami.

Pospolita Miłość to jednak z całą pewnością uczucie zaopatrzone w oporny przełącznik, choć skuteczny, kiedy jest zablokowany. I właśnie ten przełącznik zwolniłam, przyglądając się leżącej na łóżku Dorothy, gdy jej policzek spoczywał na moich zbiegających, bezkrwistych palcach.

ROZDZIAŁ 15

AGENT SPECJALNY ROGER LIU

Czasami, gdy wracam myślą do tamtego dnia, mam ochotę zadusić najbliższej stojącą osobę i rzucić cegłą w najbliższe okno. To naprawdę frustrująca myśl, że tak niewiele brakowało.

Środkowa Indiana przypomina północną część stanu Nowy Jork, jest tylko bardziej płaska. Czyli tak płaska, że bardziej się nie da. Przez miasteczko, które było celem naszej wyprawy, biegła prosta, dosłownie prosta jak drut dwupasmowa droga z miliardem świateł ulicznych, których zainstalowano aż tyle chyba tylko po to, aby rozwścieczyć przejezdnych, bo wszyscy miejscowi spokojnie toczyli się w żółtym tempie, stając na każdym żółtym świetle. Asfaltowa nawierzchnia głównej drogi miała wyblakły szary kolor, który zawdzięczała milionowi słonecznych dni, gdy z nieba sączy się żar – takich dni, kiedy wszędzie brzmi chór armii niewidzialnych chrząszczy. Ale dzień, o którym mówię, mógł tylko pomarzyć o piekielnym upale; nie, dzień, o którym mówię, był zimnym wiosennym dniem i choć asfalt nie zmienił nieznośnego odcienia, na spłowiałej szarości gdzieś odznaczały się ciemniejsze plamy kropel deszczu, które sporadycznie spadały z czarnych chmur.

Jechaliśmy przez miasto jak milczące zjawy, mijając stacje benzynowe, puste parkingi przy rodzinnych sklepikach z narzędziami oraz mydłem i powidłem. Kilka kobiet pchało wózki sklepowe skrajem drogi, chociaż w zasięgu wzroku nie było śladu supermarketu. Zbliżaliśmy się do celu w milczeniu, pamiętając o naszym zamiarze, by nie wzbudzić podejrzeń żadnych ewentualnych współsprawców w sprawie, którą chcieliśmy rozwikłać. Pomarańczowe volvo samo jednak zdradzało naszą obecność, hucząc dziurawym tłumikiem jak syrena mgłowa.

Minęliśmy opuszczony budynek z charakterystyczną wieżyczką strażniczą KFC. Na zabitych deskami oknach namalowano niebieskim sprayem ELEKTR oraz strzałkę skierowaną w dół, gdzie przypuszczalnie biegły jakieś kable. Ciekawe, dlaczego ostrzeżenia nie namalowano pomarańczową farbą, pomyślałem, ale z pobłażaniem, zważywszy na zadanie, które nas czekało.

Siedzieliśmy z Lolą z tyłu, a komendant próbował z nami rozmawiać, przekrzykując ryk gruchota Sammy'ego. Pochyliłem się do przodu i oparłem dłoń o róg przedniego fotela.

– Co?! – krzyknąłem.

Odpiąłem pasy bezpieczeństwa, żeby przysunąć się jeszcze bliżej, ale mimo

to nadal nie słyszałem komendanta. Od dudnienia silnika pękały mi bębniaki, jak gdybym siedział na scenie na koncercie Led Zeppelin.

Komendant obrócił się do mnie i Loli, odrywając wzrok od drogi. Cofnąłem się, ale nie zapiąłem z powrotem pasów. Spojrzałem na Lolę, która jeszcze mocniej zaciskała dłonie na udach. Opuszki jej palców musiały już być sine.

– Długo już pracujecie nad tą sprawą? – spytał komendant.

– Hm, komendancie... – Lola wskazała przed siebie.

Sam odwróciłem głowę, bo też nie patrzyłem na drogę.

Nie jestem pewien, czy to ja krzyknąłem coś o zbliżającej się ciężarówce, czy Lola krzyknęła coś o szokującej prędkości, z jaką ciężarówka pędziła prosto na nas. Przypominam sobie, jak komendant błyskawicznie się odwrócił i wykonał skręt kierownicą, by uniknąć zderzenia. Przypominam sobie późniejsze wydarzenia dziwnie zatrzymane w serii stop-klatek, na przykład moje ramię wyciągnięte w bok, żeby osłonić Lolę, która była zapięta pasami, a równocześnie swoim ramieniem osłaniała mnie; siedzący z przodu zastępca komendanta przytrzymał rondo kapelusza, jak gdyby w obawie przed nadciągającą wichurą. Przypominam sobie też swoje zdziwienie, dlaczego zastępca nie ostrzegł nas krzykiem przed ciężarówką, nad którą kierowca stracił panowanie, ale przypominam sobie inną stop-klatkę, gdzie unosił głowę znad mapy, którą miał rozłożoną na kolanach.

Niektórzy twierdzą, że wypadek przeżywa się w zwolnionym tempie i wszystkie dźwięki brzmią osobno, następując jeden po drugim, jak gdyby po kolei odsłaniały się zgięcia miecha powoli rozkładanego akordeonu. Ja jednak pamiętam tylko przeszywający jak błyskawica ból uszu od gromu dźwiękowego, który towarzyszył czołowemu zderzeniu silnika volvo ze słupem latarni strzegącym wejścia do pasażu handlowego. W momencie, gdy rąbnąłem głową w dach, na chwilę oczy zasnuła mi ciemność. Kiedy doszedłem do siebie, zobaczyłem, że Lola trzyma mnie pod rękę, by bohatercko wyciągnąć mnie z rozbitego wozu. W Hollywood powiedziano by: „koniec ujęcia”, bo ledwie moje obcasy dotknęły jezdni, stalowy słup runął, jeszcze bardziej demolując volvo biednego Sammy’ego.

Leżeliśmy, ciężko łapiąc oddech i trzymając się za krwawiące głowy, Lola i ja, gdy tymczasem komendant i jego zastępca, też wyciągnięci z wraku przez Lolę, byli nieprzytomni. Dźwignąłem się z wysiłkiem, by usiąść, i opierając się drżącymi rękami o ziemię, zlustrowałem pobojuwisko. Komendant leżał na brzuchu na jezdni po stronie kierowcy, miał wykręcone ramiona i obie ręce najprawdopodobniej zwichnięte, sądząc po ich nienaturalnym ułożeniu jak u szmacianej lalki. Jego zastępca znajdował się po drugiej stronie wraku, też leżąc na brzuchu. Miał na twarzy długą krwawiącą ranę, która biegła od czoła przez zamknięte prawe oko, policzek i kończyła się gdzieś pod brodą. *Ależ będzie miał paskudną bliznę*, pomyślałem. Kapelusz, którym tak się przejmował, kołysał się na denku półtora metra od jego lewej nogi, skrzywionej w kostce i przekręconej

w niewłaściwą stronę. Szum dobiegający z walkie-talkie komendanta powiedział mi, że Sammy, miłośnik pączków i dyżurny posterunku, przepadł Bóg wie gdzie. Byliśmy sami.

Komendant i jego zastępca zostali poważnie ranni, z dyżurnym nie było kontaktu, reszta mizernych sił policyjnych uczestniczyła w pogrzebie dwie i pół godziny drogi stąd, a moje wsparcie, które wezwałem zaraz po opuszczeniu posterunku, podając adres szkoły Appletree, też miało przybyć na miejsce za mniej więcej dwie do trzech godzin, pozostało mi więc tylko zadzwonić pod jeden numer.

– Lola, mój telefon, gdzie mój telefon? – zapytałem. Siedząc na jezdni, wyprostowałem się i przy każdym słowie zamykałem oczy. Krew napływająca do czaszki głośno huczała, każąc mi zamilknąć.

– Lola, telefon, znajdź mój telefon.

Spod przymrużonych powiek zobaczyłem, jak pełźnie przez parking, mocno przyciskając dłonie do żwiru, którym była wysypana asfaltowa nawierzchnia. Jeszcze raz weszła do rozbitego volvo, którego drzwi wciąż kołysały się uchylone po jej akcji ewakuacyjnej. Pomyślałem przez chwilę, że zaraz wyjdzie na czworakach, trzymając w zębach antenę mojego telefonu jak pies aportujący kaczkę.

Kątem oka zacząłem dostrzegać niewyraźne cienie innych. Wewnątrz wraku rozległ się jakiś stukot, który kazał mi przyjrzeć się uważniej. Spod parującej maski wypełzły płomienie, które ogarnęły silnik. Pomarańczowe języki ognia przeżyły się i kurczyły, przeżyły się i kurczyły, niecierpliwie szukając skóry, by wypalić na niej swoje piętno. Spod bagażnika wypływał strumyczek benzyny i skradał się coraz bliżej do moich stóp.

– Lola, uciekaj z wozu! Pali się!

Chyba mnie nie usłyszała, bo chyba w rzeczywistości nie krzyknąłem. Czułem się jak uwięziony w jednym z tych snów, w których próbuje się wrzasnąć na całe gardło, ale nie można wydobyć z siebie nawet najłżejszego gulgotu.

Spróbowałem jeszcze raz.

– Lola! Pali się! – Udało mi się stanąć na chwiejnych nogach i w tym samym momencie wysunęła się tyłem z samochodu, wyprostowała się, rzuciła telefon w moją stronę, po czym skoczyła w stronę komendanta i jego zastępcy, którzy nadal nieprzytomni, znajdowali się za blisko silnika.

Pozwoliłem, by telefon wylądował na ziemi, i sam na drżących nogach ruszyłem w kierunku dwóch policjantów. Biorąc na siebie część zadania, pociągnąłem zastępcę w przeciwną stronę, niż Lola pociągnęła komendanta, na tyle szybko i daleko, aby ich ochronić przed ognistym deszczem, który zaczął padać, gdy samochód wybuchł.

Usiadłem na ziemi, odchyliłem się do tyłu i jak zahipnotyzowany przyglądałem się pożodze. Ogień szalał, najwidoczniej wściekły po wypuszczeniu

na wolność, jak gdyby przez stulecia dusił się uwięziony pod maską volvo Sammy'ego.

Zawsze tak samo reaguję na ogień, przypominając sobie, jak ojciec podpalił naszą szopę, kiedy miałem pięć lat. W dniu pożaru szopy, tydzień po tym, jak staliśmy się właścicielami kurczaków, a matka i mój młodszy brat pojechali na zakupy, ojciec poprosił mnie, żebym pobiegł do domu i przyniósł zimną pepsi. Choćbym nie wiem jak szybko pędził, na ile pozwalały mi moje pięcioletnie nogi, wpadł do środka, błyskawicznie otworzył lodówkę, chwycił dwie butelki i biegiem wrócił do ojca, to właśnie tyle czasu potrzebowała zeschnięta trawa, zagrabiona przez ojca na ognisko, aby, uniesiona podmuchem wiatru znad Wielkich Jezior, utkwic w szparach między suchymi deskami stodoły. Stałem bezradnie, ściskając szyjki butelek pepsi, jakbym dusił dwie gęsi. Przedemną srożyła się ściana ognia, zupełnie pionowa, od ziemi do nieba, bez żadnych bocznych płomieni, bez wątpliwości co do kierunku, sięgając coraz wyżej i wyżej, spychając mnie w stronę domu.

– Wracaj do środka! – krzyknął chyba ojciec, gwałtownie machając rękami.
– Wracaj! – musiał powtórzyć, ale ja słyszałem tylko huk i syk pomarańczowoczerwonych płomieni, które domagały się, żebym nie robił nic, tylko się gapił. Wiele lat później w środkowej Indianie, gdy robiłem to samo, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w płonące volvo, pojawił się nade mną jakiś cień. Jedna z kobiet z wózkami na zakupy, które minęliśmy przed chwilą, próbowała osłonić mnie parasolem przed nieregularnymi kroplami deszczu.

– Jest pan ranny? Słyszysz mnie pan? – odczytałem z jej warg. Nie słyszałem ani słowa.

– Mój telefon. – Pokazałem miejsce, gdzie upuściłem aparat trzy metry dalej.

– Kto?

– Telefon. Mój telefon. Proszę, tam mój telefon.

Pięćdziesięciokilkuletnia kobieta, ze zmierzwioną ciemnoblonde trwałą, w podomce i zabrudzonych pantoflach, poczłapała we wskazanym kierunku, pochyliła się jak staruszka, po czym wróciła i podała mi telefon, bezwiednie otwierając usta.

Rozległy się krzyki z pasażu handlowego – ale jako jedna skłębiona masa dźwięków, na którą nie zwracałem uwagi, ponieważ albo pękły mi bębenki, albo musiałem się skupić na jedynym numerze, pod który musiałem zadzwonić. Lola, dysząc ciężko, siedziała obok komendanta i trzymając go za nadgarstek, mierzyła mu puls, patrząc na swój zegarek Sanyo. Z widoku jej rozszerzonych nozdrzy i spłaszczzonego nosa domyśliłem się, że martwi ją cisza między jednym a drugim uderzeniem serca.

Jestem prawie pewien, że kiedy zadzwoniłem, miałem zaburzoną zdolność oceny sytuacji. Jestem prawie pewien, że świadomie zламаłem wszystkie służbowe

procedury. Ale w tym momencie uznałem, że nie mam innego wyjścia.

– Boyd – powiedziałem, gdy odebrał telefon. – Jednak będę potrzebował twojej pomocy.

ROZDZIAŁ 16

CIĄG DALSZY DNIA TRZYDZIESTEGO TRZECIEGO, IDŹ

I choć wiem, że to chyba bez sensu,

Wiem, jak to zawsze się kończy

Georgia, skoro wszystko możliwe,

To pójdziemy, pójdziemy

Go, The Innocence Mission

Dorothy, taki jej obraz przechowuję jak cenną starą fotografię polaroidową w torebce, która być może nieco się przebarwiła od upływu czasu, ale wciąż wywołuje taką samą ściskającą serce nostalgię. Dorothy pogrążona w słodkim śnie, zmęczona szokiem, zmęczona chorobą, jej jasne loki unosiły się i opadały przy każdym wdechu i wydechu. Chciałam zharmonizować z nimi swój oddech, żebym mogła zostać śpiącą królową tak jak ona. Żeby ktoś pełnił przy mnie straż, bronił mnie przed wilkami i smokami – jednak takiej troski była warta tylko śliczna Dorothy, moja nowa przyjaciółka, jedyna przyjaciółka, najbliższa mojemu pragnieniu, by zaopiekować się dzieckiem. Tylko Dorothy zasługiwała na chwilę ciszy przed burzą. Ja – ja byłam tylko bronią.

Jak jej się udało zasnąć? Rozumiem, naprawdę rozumiem. W chwili, gdy położyłam dłoń na jej poduszce, prawdopodobnie uznała, że może się poddać w walce z bezsennością i gorączką, przed którymi się dotąd broniła. Miałam ją uratować. Powierzyła mi swój los.

Miałam coś do zrobienia. I choć dla Dorothy włączyłam Miłość, żaden inny przełącznik nie został zwolniony. Nawet złości. Porzuciłam wszelką nadzieję na

przyjazd policji, dlatego przestałam w ogóle brać pod uwagę jej przyjazd.

Jęki Bradzia-z-Dziurą-w-Buźce dobiegały teraz z zewnątrz, przemieszczając się w stronę mojego skrzydła, kuchni i miejsca, gdzie leżał jego martwy, przypalony brat. Pomyślałam, że pewnie niedługo wróci. I prawdopodobnie weźmie ze sobą jakieś znalezione przy zwłokach brata narzędzie, urządzenie albo przedmiot o wartości sentymentalnej, wszystko jedno, co mu każe zabrać obłąkany umysł, a potem wejdzie do kuchni. Tam, widząc kopertę z adresem zostawioną pod przewodem słuchawki, zaraz się zorientuje, że korzystałam z telefonu. Rąbnie się dłonią w czoło z miną matołka, który dopiero teraz zrozumiał, że zadzwoniłam na policję. Nie zamierzałam lekceważyć bardziej rozgarniętego z bliźniaków. Śpiąca Dorothy i ja miałyśmy zaledwie cztery minuty, by uciec i dostać się do furgonetki.

Zebrałam i ukryłam w swoim czarnym kołczanie atut nr 40 – druty do robótek – równocześnie trącając Dorothy nogą, żeby się obudziła. Wyjęłam z jej włosów atut nr 41, wsuwkę, i włożyłam do zamka w drzwiach. Zaledwie dwa miesiące wcześniej manipulując mikroskopijną igiełką, zakładałam precyzyjny szew na ogolonej skórze Jackson Browne, która skaleczyła łapę o ostrą krawędź dachu, goniąc gruchającego gołębia. Ponieważ w głębi duszy naprawdę byłam chirurgiem, otwarcie prostego zamka pokoju Dorothy było równie łatwe jak podważenie trzonkiem widelca wieczka pojemnika z cynamonowymi bułeczkami Pillsbury. Trach i gotowe.

Kiedy drzwi były już otwarte, obudzenie Dorothy stało się koniecznością i obowiązkiem. Przysunęłam się z powrotem do łóżka i pochyliłam nad jej głową, którą zaczęłam podnosić. Mocno przyłożyłam do jej suchych i spękanych ust dłoń, tę poplamioną krwią z mojego oka, i spojrzałam w jej zdumione oczy.

– Dorothy, nie odzywaj się. Bądź cicho, naprawdę ani pary z ust, jeżeli chcesz żyć. Wstawaj i chodź za mną, już.

Nie cofałam ręki, bo nie byłam pewna, czy rozumiała.

– Rozumiesz mnie? Jeżeli wydasz choć jeden dźwięk, już po nas. Musisz być cicho i iść za mną. Rozumiesz? – Kołczan uderzył mnie w uniesione ramię, zagrzechotały druty, strzały z elementów łóżka i klucze.

Dorothy skinęła głową na znak, że rozumie.

Powoli zdjęłam dłoń z jej ust; starła z warg moją krew.

Teraz jesteśmy siostrami krwi? Tak to wygląda, kiedy się ma najlepszą przyjaciółkę?

Przestań.

Daj spokój tym idiotyzmom. Trzeba się dostać do vana.

Naprawdę można by pomyśleć, że porwałam tę dziewczynę. Musiałam ją popychać, dźgając ją w plecy wskazującym i środkowym palcem, jakbym trzymała pistolet. Z wycieńczenia i osłabienia po erupcji emocji słaśniała się na nogach, jednej chudej i jednej spuchniętej, i nieustannie odwracała się do mnie, mierząc

mnie pytającym spojrzeniem zdziwionego psiaka.

– Odwróć się i idź. Bądź cicho – powtarzałam.

Krok po kroku wyszliśmy za próg. Bardzo niepewnie pokonała schody na piętro niżej, bez przerwy popatrując na mnie z miną, która mówiła: „Na pewno? Na pewno?”. Popchnęłam ją mocniej pistoletem ze złożonych palców. Jej plecy wydawały się twarde i gruzłowate, nie pełne i miękkie, jak powinny w tak zaawansowanej ciąży.

Przy panującej na zewnątrz wilgoci gęsty zaduch stęchlizny na klatce schodowej uderzył nas w nozdrza o wiele mocniej niż w słoneczne dni. Woń pleśni musiał pobudzić Dorothy jak sole trzeźwiące, bo podskoczyła i zamarła w bezruchu. Znów ją popchnęłam.

Nie byłam na nią zła. Emocji było we mnie niewiele. Chciałam tylko, żeby się skupiła i przyspieszyła kroku. Sama Dorothy na pewno nie była atutem. Błyskawicznie została jednak moją przyjaciółką, a teraz była moją podopieczną, i wytworzyła się między nami więź, której nikt inny nie potrafiłby zrozumieć, nawet ja. Dlatego chociaż rzucałam jej ostrym tonem rozkazy, dwa razy przystanąłam, żeby lekko poklepać ją po plecach i powiedzieć: „Bądź silna. Poradzisz sobie”, bo tak matka powiedziała do ojca w dniu, w którym musiał wrzucić pierwszą łopatę ziemi na grób cioci Lindy.

Byliśmy mniej więcej w połowie schodów, tuż przed ostatnią kondygnacją. Chwyciłam Dorothy za tłuste włosy, żeby ją zatrzymać. Obawiając się powrotu Brada, wyteżyłam słuch, żeby wyłowić chrzęst kroków na żwirze i asfalcie na zewnątrz. Klatkę schodową wypełniał pogłos chrapliwego, płytkiego oddechu Dorothy jak u staruszki z zapaleniem płuc, przerywany świst tamowany flegmą przypominający cykanie świerszczy. Łapiąc jej nadgarstek, wyczułam za szybkie tętno; kładąc zakrwawioną dłoń na jej czole, omal się nie oparzyłam. Nasze spojrzenia znowu się skrzyżowały i za tym drugim razem, gdy zacieśniała się więź między nami, choć nie odezwała się ani słowem, odpowiedziałam:

– Wiem.

Według mojej oceny miałyśmy około półtorej minuty na to, by dotrzeć na parter, wyjść z budynku, przeciąć niewielki parking i skręcić na leśną ścieżkę, zanim z mojego skrzydła wyłoni się Brad. Od pierwszego dnia w tym koszmarnym miejscu wyobrażałam sobie świat na zewnątrz i ścieżkę prowadzącą do furgonetki, mimo że w chwili przyjazdu miałam na oczach opaskę i torbę. Liczyłam kroki, zapamiętałam sprężystość podłoża, dotykiem sprawdzałam warunki klimatyczne, a potem z tych szczegółów w wizualnej pamięci odtworzyłam obraz terenu, topografii i temperatury. W myślach sto tysięcy razy przemierzałam drogę z furgonetki do budynku i z powrotem. Oprócz faktu, że biały budynek był dawną szkołą z internatem, a nie wiejskim domem mieszkalnym, we wszystkie pozostałe szczegóły trafiłam w dziesiątkę. Świadczy to o tym, ile mogą ci dać zmysły,

pamięć, dotychczasowa wiedza i pewność siebie, jeżeli potrafisz pozbyć się zbędnego strachu i niecierpliwości, które tylko odwracają uwagę. Słuchaj. Wąchaj. Smakuj. Patrz. Oceniaj. W czasie rzeczywiście.

Większość ludzi zauważa jedynie jeden procent kolorów w ogromnej palecie barw. Ta garstka osób, która wyobraża sobie więcej niż jeden procent, albo mówi o swoim rozczarowaniu ograniczonym postrzeganiem świata przez innych, albo twierdzi, że we śnie odwiedziła raj. Ci szczęściarze są obdarzeni rodzajem superzmysłu.

Artykuł, który ukazał się niedawno w „Scientific American”, przypomniał mi o moich doświadczeniach z superzmysłem, które miałam w więzieniu Appletree. Streszczając wyniki badań nad neuroplastycznością krosmodalną u niesłyszących i niewidomych opublikowane w „Journal of Neuroscience”, artykuł oznajmiał: „Badania te... przypominają nam, że nasze mózgi kryją w sobie jakieś supermożliwości”. Jeżeli nie słyszeliście o neuroplastyczności krosmodalnej, to w skrócie zdolność mózgu do reorganizowania się w obszarach, gdzie mogły zostać upośledzone zmysły. Na przykład „niesłyszący odbierają bodźce sensoryczne, wskutek czego ulegają percepcyjnej iluzji, której nie doświadczają osoby słyszące”. Naprawdę podobał mi się pierwszy akapit artykułu w „Journalu”, który moim zdaniem zwięźle stwierdzał: „Doświadczenie kształtuje rozwój mózgu przez całe życie, lecz neuroplastyczność jest zróżnicowana w zależności od danego systemu nerwowego”.

Oto więc ja, osoba niesłysząca, osoba niewidoma, osoba z upośledzeniem różnych zmysłów, dzięki ćwiczeniom zbudowałam modele rzeczywistości, oddzielny wymiar zmysłów, który bardzo wiernie pokrywał się ze światem realnym. Być może uczucia to po prostu inny zestaw zmysłów, których brak jest rekompensowany precyzyjnym słuchem, wzrokiem, dotykiem, powonieniem i wyobraźnią.

Być może.

Kto wie.

Nie usłyszawszy najłżejszego szelestu stąpania, zbieg-łyśmy na parter i ostrożnie wyszłyśmy z budynku. Rozglądając się na prawo i lewo, nie dostrzegłam śladu Brada, więc popchnęłam Dorothy na ukos przez wyasfaltowany kawałek w stronę początku ścieżki prowadzącej do vana. Szłyśmy tak blisko siebie, jak gdybyśmy stopiły się w jedno ciało. Rzuciłyśmy cień dwóch gór połączonych brzuchami i przyglądałam się temu z podziwem, dopóki nie dotarłyśmy do wylotu szlaku.

Jesteśmy jedną dziewczyną? Tą samą dziewczyną? Wszystkie w wieku szesnastu lat jesteście takie same? Pragniemy życia, chociaż jesteście jeszcze takie młode. Muszę uratować nas obie. Nas czworo.

Nachyliłam się, by szepnąć Dorothy do ucha, równocześnie wyjmując

z kołczana na plecach pęk kluczy. Od jej ciała było takie ciepło, jakby miała za chwilę zapłonąć; twarz mi się zarumieniła. Nie zauważyłam drobnych kropli deszczu, dopóki mnie nie ochłodziły.

– Dorothy, idź prosto przed siebie dokładnie przez minutę. Byłoby szybciej, gdybyś pobiegła, jeżeli dasz radę. Zaufaj mi, wiem, że las wygląda strasznie, będzie tam ciemno, ale po drugiej stronie jest duże pastwisko z krowami i duża wierzba. Pod drzewem stoi furgonetka. Weźmiemy ją. Mam kluczyk. Chodźmy.

Dorothy wolno skinęła głową z taką miną, jakby dostała mdłości, po czym zrobiła krok w kierunku lasu. Ruszyłam za nią, przyklejona do jej ciała. Nasze kroki zsynchronizowały się ze sobą tak doskonale, jak gdybyśmy miały związane nogi, a ich zdwojony tupot stłumił nieco odgłos zamykania drzwi za nami.

– Cholera, nie! Dziewczyny, stać, ale już! – dobiegł nas wysoki głos Brada, w którym brzmiał oszalały, piskliwy ton okrucieństwa.

Wcisnęłam do ręki Dorothy pęk kluczy.

– Idź! Zrób, co powiedziałam. Masz minutę. Biegnij! Idź, idź. Kluczyk do vana to ten z napisem „Chevy”. Idź. Idź.

To były ostatnie słowa, jakie wypowiedziałam do Dorothy M. Salucci.

Ruszyłam biegiem prosto na Brada, z drutem do robótek w jednej ręce i strzałą z drewnianego szczelaka w drugiej.

ROZDZIAŁ 17

AGENT SPECJALNY ROGER LIU

– Jasna. Cholera. Lola. Niech to jasny szlag trafi! – powiedziałem, zatrzasnąwszy kłapkę mojego ogromnego telefonu komórkowego i krzywiąc się na dźwięk nieustannego dzwonienia w uszach. Boyd odebrał telefon i chyba zgodził się pojechać do szkoły i zabrać strzelbę, ale w ogóle go nie słyszałem. Oddzwonił po mniej więcej pięciu minutach – zorientowałem się tylko dzięki temu, że przełączyłem dzwonek na wibrację. Słowa Boyda stopiły się w jeden dźwięk, który utonął w izolacji szczelnie zatykającej mi uszy, co musiało się odbić na mojej twarzy, bo Lola podczołgała się obok płonącego samochodu, chwyciła telefon, mimo że nie powiedziałem do niej ani słowa, i przez chwilę słuchała paplaniny Boyda. Następnie przekazała mi wiadomość od niego – znowu szokującą i niemal nieprawdopodobną – skreślając krótkie streszczenie w notesie, który nosiła w kieszeni swoich męskich spodni.

Notatka brzmiała:

B znalazł DSaluc przy swoim vanie?? Las? Nie ma Lisy. B mówi: „nie ma śladu drugiej dziewczyny. Nikogo tu nie ma”. B dzwonił z telefonu w szkolnej kuchni. Donosi: „coś tu okropnie śmierdzi z góry. Normalnie cuchnie śmiercią”.

Po tej fachowej notatce, która miała trafić do akt sprawy, na drugiej stronie Lola skreśliła kilka słów własnego komentarza, wymawiając powoli słowa, żebym mógł je odczytać z ruchu warg:

– A skąd, do cholery, taki cuchnący gnojem hodowca kurczaków jak Boyd może wiedzieć, że coś okropnie śmierdzi?

Zgodnie z procedurami Biura należało włączać do oficjalnej dokumentacji sprawy wszystkie nasze notatki i spostrzeżenia, zwłaszcza te zapisane. Spróbujcie jednak powstrzymać Lolę przed ciągłym wygłaszaniem własnego zdania. Wyrwałem kartkę z drugą notatką, wołałem, żeby się tak nie wywnętrzała.

– Przy tych wszystkich płonących autach i ludziach, których muszę ratować – łącznie z tobą, idioto – oszczędź sobie kazań na temat moich komentarzy, Liu – syknęła, gdy rzuciłem porwaną kartkę na mokrą ziemię.

Domyśliłem się, co powiedziała, przede wszystkim z ruchu jej ust; w uszach wciąż mi dzwoniło, dzwoniło przeokropnie. Byłem wściekłym głuchym człowiekiem, który rozpaczliwie próbował odzyskać słuch. Czuję się jak we śnie, w którym biegłem, zmuszając nogi, żeby poruszały się coraz szybciej i szybciej, dyszałem z wysiłku i stresu, pragnąc posunąć się do przodu, ale mogłem się posunąć najwyżej centymetr na godzinę. Wciąż to dzwonienie, dzwonienie, które

zagłuszało wszystko, zacierało kontury świata. Zasłaniałem uszy stulonymi dłońmi i wpatrywałem się w groźne niebo, próbując zaprząć do pracy inne zmysły, szukając jakiegoś koloru, ale widziałem tylko cętkowaną szarość potężniejącej zasłony chmur – i plamy czerni, które wyglądały jak duchy. Chmury zlały się ze sobą, tworząc skłębione czoło burzy, lecz mimo złowieszczej ciemności zsyłały na ziemię tylko odrobinę wody, jak gdyby chciały nas torturować na tym parkingu przed pasażem handlowym. Ognia to zresztą nic nie obchodziło; żaden płyn nie mógł ugasić jego wściekłości. Volvo Sammy’ego, prawie już zupełnie bez lakieru, zmieniło się w zdeformowane pudło spalonej stali. Pomarańczowe plamy pozostały tylko w miejscach, gdzie nie sięgnęły płomienie.

Jedna z tych irytujących kropli deszczu, dość duża, kapnęła mi na grzbiet nosa i stoczyła się po lewym policzku jak po ścianie jaskini, by wylądować na krawędzi górnej wargi. Łaskocząca drobina wody rozdrażniła mnie nie na żarty, więc gwałtownie otarłem twarz wilgotnym rękawem szarej marynarki. Kiedy skupiłem się na tym doznaniu, wydawało się, jakby dzwonienie w uszach nieco ucichło.

Kiedy przeczytałem pogardliwą opinię Loli na temat uwagi Boyda o zapachu śmierci, posłałem jej poważne spojrzenie, równocześnie zasłaniając uszy, jak gdyby to mogło bardziej stłumić nieznośne dzwonienie. Lola dała spokój.

Na miejscu wypadku zjawiły się wóz strażacki i karetka, która nadjechała ślizgiem na dwóch kołach. Lola i ja staliśmy przy komendancie i zastępcy. Za nami utworzył się wianuszek gapiów, ale srogie rozkazy i krzyki Loli utrzymywały ich w bezpiecznej odległości. Podczas gdy pilnowała naszych granic, rozglądałem się po tłumie, szukając kogoś, kto mógłby mieć samochód terenowy.

Jakaś kobieta w pikowanej kurtce Carhartt wydawała się wyższa i cięższa od reszty swoich towarzyszy. Miała długie i gęste włosy wiejskiej dziewczyny, a spod kurtki było widać zapiętą pod szyję flanelową koszulę oraz sprane dżinsy. Wierzch jej butów na grubej gumowej podeszwie był oblepiony błotem. Na moje oko miała około czterdziestu pięciu lat. Jeśli nie liczyć postury wikinga, wyglądała całkiem atrakcyjnie.

– Proszę pani! – krzyknąłem, kiwając jej głową.

– Ja? – Niesłyszalnie poruszyła ustami. W tym momencie miałem w uszach przytłumione dzwonienie i szum huraganu.

– Ma pani wóz terenowy? – zawołałem.

– Forda F-150 – odpowiedziała. Podszedłem bliżej i obróciłem ucho bezpośrednio w stronę jej ust. Wskazała czarnego lśniącego forda F-150, stojącego tuż za jej plecami. Kropelki deszczu tworzyły strumyczki, które spływały po zaparowanych od wewnątrz szybach.

– Napęd na obie osie?

– No jasne – odparły jej usta i kobieta prychnęła z odrobiną oburzenia. Jakiś

facet o bujnych bokobrodach założył ręce na piersi, wskazał mnie ruchem głowy i krzywiąc się, dotknął palcem nosa, pytając na migi: „Ten gość tak serio?”.

– Proszę pani, będzie nam potrzebny pani samochód – włączyła się Lola, kiedy dostrzegła moje wysiłki i pojęła mój zamiar.

Podszedłem jeszcze bliżej i odciągnąłem kobietę-wikinga na bok, by nie słyszał nas żaden z gapiów.

– Gdyby jeszcze mogła nam pani pokazać, jak dojechać do dawnej szkoły z internatem.

Znowu prychnęła, ale dodała do tego uśmiech niedowierzania.

– O. Hmm – przekazała mi później jej słowa Lola. – Uczyłam tam przez dwadzieścia lat, dopóki nie zajęli budynku za długi. Zastanawiałam się właśnie, co się, u diabła, dzieje w Appletree. Tak, pewnie, mogę wam pokazać.

Wykonałem kilka wymachów ramion, ściągając łopatki, próbując w jakiś sposób uciszyć wiatr gwiżdżący mi w uszkodzonych uszach. Lola wzięła na siebie ciężar rozmowy z kobietą, chociaż widząc, jak marszczy nos, domyśliłem się, że też jest rozstrojona. Jej nieprzeciętny zmysł węchu prawdopodobnie nie mógł znieść smrodu płonącego metalu i skóry siedzeń.

ROZDZIAŁ 18

CIĄG DALSZY DNIA TRZYDZIESTEGO TRZECIEGO

– Spokojnie, ściągnij wodze, odłóż ten kijaszek – powiedział Brad w swoim niezdarnym stylu. Po chwili o wiele mniej niezdarnym, za to zdecydowanym ruchem wycelował we mnie kaliber dziewięć milimetrów.

Zatrzymałam się na podjeździe, wciąż z drutem Dorothy i swoją strzałą w ręce. I tak staliśmy w przedziwnym klinchu: ja w ciąży, zdyszana, uzbrojona w oręż MacGyvera, on w zakrwawionej marynarce i z odbezpieczonym pistoletem. Choć patrząc z perspektywy czasu, trzeba stwierdzić, że nasza wersja znacznie się różniła od konfrontacji w klasycznym westernie, to we wspomnieniach zawsze widzę toczący się po ziemi kulisty kłęb zielska, które wpada w przestrzeń między nami i dalej pędzi donikąd.

Gdzie ci cholerni gliniarze?

Ale odpowiada mi tylko cisza. Nikt nie przyjechał.

Mimo to zamarliśmy w bezruchu.

Z daleka, z miejsca, gdzie stała furgonetka, wybuchła kakofonia krzyków, zupełnie różna od odgłosów, których się spodziewałam, na przykład klekotania uruchamianego silnika. Słyszałam wysoki wrzask Dorothy, a po chwili wyraźniejszy chór męskich głosów. Popełniłam błąd i odwróciłam się, żeby posłuchać hałasów dobiegających zza sosen.

– Boyd! Boyd! Łap ją, bo się wywali! – usłyszałam krzyk jednego z mężczyzn.

Na pewno policja.

Przez chwilę byłam bezbronna i nieświadomie pozwoliłam Bradowi pokonać dzielący nas dystans. Złapał mnie z boku, wytrącając mi z rąk obydwie atuty, a potem przechylił mnie i pociągnął. Moje pięty w butach Nike wryły w warstwie ziemi na podjeździe dwa płytkie rowki.

Dlaczego ci bracia wloką mnie tyłem po ziemi, o co im chodzi?

Brad wstrzymywał oddech z wysiłku, ale nie przystając po drodze, zaciągnął mnie aż do swojego dwudrzwiowego perłowego volkswagena garbusa, starszego modelu. Przystawił mi lufę do skroni i wepchnął mnie do środka. I cały czas z bronią skierowaną na mnie jak krab tyłem i bokiem obszedł garbusa. Deszcz pokrył przednią szybę drobnymi, matowymi kropelkami, zmieniając okrążającego samochód Brada w akwarelowy portret.

Zastanawiałam się, czy otworzyć drzwi i stoczyć się po nasypie, kiedy osiągnęliśmy prędkość czterdziestu kilometrów na godzinę, i spróbowałabym się

zmierzyć z fizyką szybkości i ruchu w dół, by bezpiecznie wyskoczyć z pojazdu, ale nosiłam w sobie ośmiomiesięczne dziecko, a przysięgłam sobie, że nie zostanie zwichrzony ani jeden zawiązek włosa na jego głowce. Moja szarża na Brada kilka minut wcześniej była w rzeczywistości podstępem, żeby odwrócić jego uwagę od ucieczki Dorothy – zamierzałam skręcić w lewo i pobiec gruntowym odcinkiem długiego podjazdu, licząc na to, że niebawem zatrzyma go policja. Ale Brad, gibki i szybki jak pantera Brad, postanowił mnie sprawdzić i wyciągnął broń, którą, jak podejrzewałam, zabrał swojemu bratu, gdy był na górze.

Powinnam wtedy zabrać ten pistolet.

Pojechaliśmy gruntową drogą przez las, w tym samym kierunku, gdzie był kamieniołom, obok krętej i wąskiej ścieżki, którą zaledwie kilka dni wcześniej prowadził mnie mój dozorca.

Apatyczne niebo bez entuzjazmu rosiło ziemię, ale okap drzew skutecznie osłaniał samochód przed deszczem. Patrzyłam prosto przed siebie, licząc mijane dęby, mijane sosny, piękną brzozę i kilka podrostów nieznanego gatunku. Las, choć tonął w mroku, przysłonięty czarnymi chmurami, kwitł nowo rozwijającymi się liśćmi, barwy limonki i szmaragdu. Gdyby tamtego dnia na niebie królowało słońce, na pewno smugi światła podkreśliłyby jasne odcienie zieleni i wyczarowały kalejdoskopowy taniec cieni, zmieniając las w magiczne miejsce – dla tych, którzy potrafili dostrzec takie rzeczy.

Rozgadałam się o pięknie lasu w zimny dzień, a przecież opowiadam o pełnej grozy podróży. Ale naprawdę zastanawiałam się wtedy, jak mogłabym namalować tę scenę i oddać na obrazie grę cieni odcieniami szarości i głębokiej zieleni, równoważąc je jasnymi plamami limonki i słonecznej żółci. Jeżeli więc część tej opowieści ma przedstawić myśli osoby pozbawionej emocji w takiej sytuacji, opisuję tylko fizyczne i psychiczne fakty zgodnie z rzeczywistością.

Kiedy koła przetoczyły się przez głębokie koryto wyschniętego strumienia, spojrzałam na niego. Brad miał rozdęte nozdrza, oczy błyszczały mu od łez, krew z rany na twarzy kapała na aksamitną marynarkę. Wyczuł mój wzrok i warknął:

– Suko. Jeszcze dzisiaj zabiorę ci dziecko.

Popatrzyłam przed siebie, skupiając wzrok na czarnych pierścieniach na białym pniu brzozy, które pasowały do pączkujących żółtozielonych liści. Drzewo przypomniało mi zagajnik za domem, w którym ukryłam Jackson Browne. Dzięki takiemu wspomnieniu w tamtej chwili jeszcze bardziej umocniłam się w swojej determinacji, aby wykrzesać z siebie jeszcze więcej siły. Przystawiłam dźwignie w mózgu tak gwałtownie, że unicestwiłam najmniejsze resztki strachu. Owszem, ćwiczenia w celi przygotowały mnie na to – na nieuniknioną bezwzględną rzeczywistość. Może pomyliłam się co do podróży Brada, ale dobrze przygotowałam się na najgorsze.

Brzoza pozwoliła mi ustawić stały poziom samokontroli i przełączyć się na

tryb wojenny. Wyprostowałam się na siedzeniu, jak gdybym oparła się o mocny pień tego drzewa.

Brad, który najwyraźniej spodziewał się, że będę go błagać o litość, nagle wcisnął hamulec. Zgięłam się, szybko kładąc ręce na desce rozdzielczej, żeby się uchronić przed uderzeniem w głowę. Byłam jednak przypięta pasami, które ściągnęły mnie z powrotem. Otaczał nas las, za nami ciągnęła się gruntowa droga. Przed sobą mieliśmy jeszcze około piętnastu metrów drogi, a dalej piętrzyły się zwalone drzewa, tarasując przejazd. Dalej można było jechać tylko tyłem w przeciwnym kierunku. Koniec trasy.

– Ronny mi mówił, że jesteś zimną suką. Nazywał cię walniętą suką. Pieprzoną walniętą suką. Zabiorę ci dziecko. I zapłacisz za to, co zrobiłaś. Nikt nie wie, gdzie teraz jesteś. I nikt się nie dowie, którądy uciekłem, mała wredna panterza suko.

Cóż za elokwencja. Czyj wiersz cytujesz? Walta Whitmana?

Którędy uciekłeś? Nie ma którądy uciec. Kitujesz. Wpakowałeś się w pułapkę. Nie wiesz, co teraz zrobić. Widzę, jak nerwowo tańczą ci oczy. Idioto. Jesteś głupi, tak samo głupi jak twój brat. Nie pomyślałeś nawet o planie awaryjnym. Jakie to niemądre. Jakie szczeniackie.

– Wiem, co sobie myślisz, wredny panterczaku. Myślisz, że będę potrzebował pomocy lekarza, żeby z ciebie wykroić dziecko. Ha, ha, ha – zarechotał i swoim niskim głosem na szczególne okazje dodał: – Jak sądzisz, kto kroił te dziewczyny, zanim zjawił się tu doktor? Co? Ja, suko! Ja! I mój brat. Wszystkie potrzebne narzędzia mam w bagażniku. Zabiorę ci dziecko, wrzucę cię do kamieniołomu i pójdę sobie przez las, gdzie mnie nikt nie zobaczy.

Zgoda, teraz być może mówi prawdę. Może rzeczywiście ma taki plan.

Zacisnęłam usta i zrobiłam obojętną minę, mimowolnie dając znak, że jego strategia zrobiła na mnie lekkie wrażenie. Omal nie skapitulowałam. Postanowiłam jednak podbić stawkę, rozkręcając naszego Szalonego Pokera na dobre.

– Wiesz, Brad, to całkiem niezły plan. Ale nie sądzę, żebyś dzisiaj mógł znieść więcej krwi. – Puściłam do niego oko, uśmiechając się szelmowsko. – Ta dziura w twarzy wygląda coraz paskudniej, zostawi ci na buźce bliznę, skarbie. – A potem posłałam mu całusa.

Muszę się tu do czegoś przyznać. Naprawdę muszę. Nie chcę, żebyście odnieśli błędne wrażenie. Nie chcę, żebyście uznali moje słowa za dowód odwagi. Szczerze mówiąc, nawet fajnie jest być czasem okrutnym. No dobrze, przyznaję się, fajnie. To prawda, mam w sobie szczyptę zła, której nie mogę do końca wyłączyć, sprawia mi przyjemność świadomość, że w mojej obecności ciarki chodzą komuś po plecach. Tylko proszę, nie mówcie o tym lekarzom, którzy jak dotąd zgodnie twierdzą, że nie można mnie uznać za socjopatkę.

Chyba go zszokowałam – taki właśnie miałam zamiar – bo utkwiał we mnie

nieruchomy wzrok, jak gdybyśmy grali w *Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy*. Z oczu przestały mu cieć świeże łzy, tylko poprzednie spłynęły po policzku i mieszając się z krwią, utworzyły różowawą maź, która zebrała się na krótkim zaroście na brodzie.

Drogi Bradziu, wyglądasz okropnie. Hi, hi, hi.

Patrzył na mnie i patrzył. Na maskę od czasu do czasu padały z cichym pacnięciem krople deszczu, których odgłos prawie całkiem zagłuszał pomruk silnika. Poza tym panowała cisza, nawet skamieniały Brad nie puszczał pary z ust. Pac. Wrr. Cisza. Wrr. Cisza. Pac.

Wyobrażacie go sobie? Wstrętnego, roztrzęsionego człowieka z zakrwawioną twarzą, który zdębiały patrzy na mnie wybałuszonymi oczami. Dziś, po siedemnastu latach, jego widok budzi mnie z najgłębszego snu. Zrywam się na łóżku, a świat spowija ciemność, która przez niego wydaje się jeszcze gęstsza. Kiedy stanęliśmy, spojrzałam na analogowy zegar w samochodzie: pokazywał 13.14. O 13.34 Brad ciągle się we mnie wpatrywał.

No więc też na niego patrzyłam.

Próbowałam nastraszyć go groźnym spojrzeniem, ale jestem pewna, że gdyby ktoś natknął się na nas w tym lesie i gdyby Brad nie miał twarzy poranionej zaostrzonym szczebelkiem z ramy łóżka, mógłby pomyśleć, że widzi zakochaną do szaleństwa parę wpatrzonych w siebie ludzi, którym namiętność rozszerza źrenice i brakuje im tylko róży w zębach.

Podobno nieruchome spojrzenie utkwione w dzikim zwierzęciu jest oznaką agresji i zaproszeniem do ataku. Ale to samo zachowanie wobec kobry to skuteczny sposób jej poskromienia, czego byłam świadkiem zaledwie tydzień przed porwaniem. Tego wieczoru, gdy matka odkryła, że jestem w ciąży, czyli dzień przed wizytą u lekarza, który ocenił mój stan, ukryłam się w jej gabinecie i przyglądałam się, jak ogląda wideo ze swojej kancelarii. Nie miała pojęcia, że jestem w jej pokoju ani że jestem w ciąży. To miał być wieczór mojego całkowitego ujawnienia.

Matka, ojciec i ja właśnie skończyliśmy uroczystą kolację, złożoną z kotletów wieprzowych z sosem jabłkowym, na cześć powrotu matki z czteromiesięcznego procesu w Nowym Jorku – który oczywiście wygrała. Trudno było powiedzieć, kto przy naszym stole w kuchni zajmował honorowe miejsce. W każdym razie wybrałam najmniej oświetlony róg, wbita w spłowiałą wojskową bluzę ojca, która jeszcze cztery miesiące wcześniej, zanim mój stan stał się widoczny, była na mnie za duża. Ponieważ nie miałam już szans ukryć się tylko w workowatych ciuchach, owinęłam się różowo-zieloną narzutą, udając, że pociągam nosem i kaszlę, i skarżąc się na ból mięśni.

Po kolacji poszłam do swojego pokoju, dokończyłam jakieś zaawansowane rachunki różniczkowe i całkowite, po czym obejrzałam swoją zaokrągloną sylwetkę

w lustrze. Następnie zdjęłam bluzę ojca i na palcach zesłam po schodach, żeby bezszelestnie wśliznąć się do ciemnego gabinetu, gdzie pracowała matka. Blask ekranu telewizora oblewał jej tron Drakuli poświatą barwy jasnego cyjanu. Siedziała w kręgu telewizyjnego światła, a ja stałam poza nim, dobrze ukryta w cieniu na tle mahoniowych regałów i takich samych paneli, którymi były wyłożone ściany gabinetu.

Dawniej wciskałam się w ten sam ciemny kąt, żeby obserwować prywatne myśli matki i żeby zbierać dane o tym, jak należy reagować – naprawdę reagować – na pewne sytuacje społeczne, bo właśnie tu matka oglądała czasami filmy, które mój ojciec uważał za „babskie”. Ilekroć Patrick Swayze tonął we wszechogarniającym pocałunku z Demi Moore w *Uwierz w ducha*, matka obejmowała dłonią własną szyję, gładziła skórę i głęboko oddychała. Pomyślałam, że powinnam tak robić, ilekroć całuje mnie Lenny, więc tak robiłam. Ten gest wyraźnie mu się podobał, więc pozwalałam sobie na chwile rozkoszy, kiedy silniejszy uścisk Lenny’ego rozpalał moje fizyczne zmysły.

Tego wieczoru, gdy śledziłam matkę, nie oglądała akurat filmu, ale surowy materiał telewizyjnego programu przyrodniczego – klientem matki był jakiś megakoncern medialny, właściciel praw. Program, stacja telewizyjna, producent, po prostu wszyscy zostali pozwani przez spadkobierców jakiegoś znanego „eksperta” od dzikiej natury. Według pozwu o odszkodowanie za zawnioną śmierć został on „sprowokowany oraz zmuszony presją i groźbą” do bliskiego spotkania z kobrą podczas feralnej wyprawy w głąb dzikich zakątków Indii.

Matka siedziała w gabinecie, oglądając zapis wideo tego zdarzenia. Tak więc na ekranie pojawia się rzeczony znawca dzikiej przyrody w butach wytrawnego przyrodnika, wyprasowanych spodniach i bluzie khaki, z odpowiednią naszywką na piersi, a każdy jego ruch widać na surowym, niezmontowanym filmie. Matka pochyliła się do przodu, przerywając notowanie, kiedy „ekspert” położył się na brzuchu w wysokiej indyjskiej trawie, by jego wzrok znalazł się na poziomie oczu wygiętej w łuk, zahipnotyzowanej kobry. Dzielilo ich półtora metra. Matka zerknęła na staroświecki zegar z kukułką, zapisała godzinę i wróciła do oglądania występu gwiazdy swojego klienta w ostatnich chwilach życia. Uniosła dłoń do ust, stukając palcem o zęby, jak gdyby w zdenerwowaniu, i wiem, po prostu wiem, że jej usta wygięły się w leciutkim uśmiechu wyczekiwania na to, co zaraz miało się wydarzyć. Wydaje mi się, że w tym momencie matka była już pogodzona z najwyższą władzą śmierci. Dlatego i ja przyjąłam do wiadomości, że śmierć jest niezaprzeczalnym faktem. Nie dopuszczałam jednak do siebie przyjemności, jaką najwyraźniej sprawiało jej oglądanie nieuchronnego końca życia. Delikatnie pogładziłam dłonią brzuch, uspokajając dziecko w środku.

Mężczyzna na ekranie wpatrywał się w węża przez dobrą godzinę, choć obliczyłam to na oko, ponieważ znudzona czekaniem matka zaczęła przewijać film

do przodu. Włączyła odtwarzanie. Przewinęła. Zatrzymała. Przewinęła do przodu. Do tyłu. Włączyła start. Kobra drgnęła, na co gwiazdor wśród przyrodników też drgnął, choć nie oderwał wzroku od oczu węża. Kobra dała za wygraną, najpierw powoli opuszczając głowę, ale szybko odskoczyła w tył i z dziwnym sykiem zniknęła pod kamieniem. W tym momencie zza kadru wyskoczył tygrys, wylądował na plecach mężczyzny i zatopił zęby w jego szyi.

Matka zerwała się z fotela, upuszczając notatki i długopis na podłogę.

– Jasny gwint!

Oglądając ją, jak ogląda masakrę, mrugnęłam kilka razy, jak zwykle się robi podczas oglądania telewizji, żeby nawilżyć oczy. Sprawdziłam godzinę, pomyślałam, że mam jeszcze dwadzieścia minut, żeby wybrać ubranie do szkoły i położyć się spać.

Tygrys, niespiesznie delektując się ucztą, wypatroszył naszego bohatera – cała krwawa strona natury została sfilmowana, bo operator rzucił pracującą kamerę i najwyraźniej uciekł z miejsca zdarzenia.

– Ależ piękna bestia – powiedziała matka, opadając ciężko na skórzany fotel.

Wysunęłam się z cienia.

– Co, mamó? – odezwałam się.

Wcisnęła się w fotel, usztywniła łokcie i mocno wpiła się dłońmi w oparcia, chowając się głębiej w bezpiecznej kryjówce.

– Lisa! Cholera jasna, co ty tu robisz?! Ależ mnie przeraziłaś. Cały czas tu stoisz?

– Tak.

– Niech cię szlag, Lisa. Nie możesz się chować przede mną. Niech to ciężka cholera. O mało nie dostałam zawału.

– Hm, no, nie chciałam cię przestraszyć. Chciałam tylko zapytać o to, co powiedziałaś.

– Nie wiem... co?

Zdenerwowana spojrzała na podłogę i pochyliła się, żeby pozbierać papiery i długopis. Podnosząc każdą rzecz po kolei, kręciła głową z konsternacją, zaskoczeniem i złością.

– Powiedziałaś „piękna bestia”?

– Och, Liso, chyba tak – odrzekła zirytowanym, ale i zaskoczonym głosem.

Zdyszana przysiadła na brzegu fotela, mierzając mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Co to ma za znaczenie? – spytała, przyglądając się uważniej mojemu ciału.

– Zastanawiałam się po prostu, kto albo co na wideo jest tą piękną bestią. Człowiek, kobra czy tygrys?

– Tyg... tyg... rys – przeciągała sylaby wyraźnie drżącym głosem. Przymrużyła oczy, skupiając spojrzenie na mojej tali wypełniającej ciasny biały T-shirt. Wyprostowałam się jak balerina czekająca, aż baletmistrz przeprowadzi

przeгляд zespołu. Ściągając ramiona, by przyjąć jeszcze lepszą postawę, uniosłam brodę, jak gdyby duma miała zwyciężyć jej osąd.

– Przecież tygrys zabił tego człowieka. Uważasz, że jest piękny?

– Rzeczywiście zabił, ale dlatego, że człowiek wtargnął na jego terytorium.

Matka utkwiała wzrok w linii mojego tułowia opadającej stromo ku miednicy. Zrobiłam krok naprzód i wstałam do błękitnego kręgu. Z boku jak reflektor punktowy oświetlił mnie promień światła i zapanowała jasność, rozpraszając wszelkie wątpliwości. Opór wobec prawdy stracił rację bytu.

Ponieważ matka niechętnie porzucała swoje wywody, nie doprowadziwszy ich do końca, z wahaniem i niepewnym głosem kontynuowała precyzyjną odpowiedź:

– Jest piękny, bo stosuje przebiegłą strategię i potrafi wzbudzić strach w kobrze.

Wyprężyłam się, gdy dotknęła mojego nabrzmiałego brzucha.

Kiedy osunęła się na kolana, czułam się jak tygrys.

Czy ona była kobrą, a bezpieczny dystans między nami zmasakrowanym człowiekiem?

Być może to za mocno naciągana analogia. Albo zbyt prawdziwa. Mimo to nie chciałam jej poskramiać ani jej ranić. Nie chciałam w żaden sposób skrzywdzić matki. Przypuszczam jednak, że taka po prostu jest moja natura: moje przypadłości wynikają z jej słabych punktów.

Dopóki nie zostałam uwięziona w volkswagenie z Bradem, który gapił się na mnie nieruchomym wzrokiem, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo zraniłam matkę. Jasne, że była oschła – od niej też wiało chłodem. Pewnie byliśmy podobne do siebie. Chociaż, o ile wiem, w odróżnieniu ode mnie matka nigdy nie została uznana za osobliwość psychologiczną, w napadach złości zdarza się jej krzyzczyć i zaciskać pięści. Dlatego nie sądzę, żeby była emocjonalnie upośledzona/utalentowana w sensie medycznym jak ja. O jej przeszłości wiem tylko tyle, że ma jakąś przeszłość, nigdy też nie rozmawiamy o jej rodzicach. Mam tylko jedną babcie: babcie, mojego literackiego tęczowego ducha.

Mimo otaczających ją wysokich murów i skorupy nieczułości matka jednak podejmowała wobec mnie próby.

Ja nie.

Patrząc na Brada, postanowiłam bardziej się starać, zmienić stosunek do matki. Nie ona była powodem dystansu między nami, ale ja. Powinnam jej powiedzieć wcześniej. Powinnam jej wyznać, że jestem w ciąży, nie dlatego, by okazać słabość, ale żeby znaleźć nic porozumienia.

Kiedy dotykając dłonią mojego pulsującego brzucha, matka dopuściła do siebie myśl, że wkrótce zostanie babcie, prawdopodobnie doszła do wniosku, że krzykiem niczego nie wskóra. Kilka razy próbowała, kiedy byłam dzieckiem; nigdy

nie rozumiałam, co oznacza podniesiony głos, więc po prostu wybuchałam śmiechem, bo tak właśnie reagowali ludzie, kiedy robiło się głośno w ulubionych programach telewizyjnych ojca. Tak więc tamtego wieczoru, gdy prawda wyszła na jaw, matka wskazała mi drzwi na znak, żebym zostawiła ją samą. Kiedy zbudziłam się następnego dnia rano i wypoczęta, z włosami sterczącymi we wszystkie strony, poszłam do jej gabinetu, zobaczyłam, że siedzi ubrana tak jak poprzedniego dnia, z nogą przerzuconą przez oparcie skórzanego fotela, i kołysze butem na szpilce zwieszonym na dużym palcu u stopy. Na perskim dywanie leżały puste butelki po najlepszym winie rodziców. Ojciec siedział po turecku naprzeciwko niej, obejmując muskularnymi rękami głowę.

Wpatrując się w kobrę, można ją poskromić, jeśli robi się to we właściwy sposób, więc gapiłam się na wstrętnego Brada siedzącego za kierownicą tego cholernego volkswagena, w środku lasu w Indianie, gdzie zamierzał wykonać swój obłąkany plan, zarznąć mnie i ukraść mi dziecko. Patrzyliśmy na siebie i patrzyliśmy, czas płynął, tykał zegar, raz po raz o przednią szybę i dach bębniły krople deszczu.

Po chwili Brad stał się jeszcze wstrętniejszy.

– Panterzyco.

Znowu to samo.

– Ojej, masz pazurki, dzika pantero. Poddaję się. – Brad zachichotał, przyciskając do kapiącej z podbródka krwi białą chusteczkę, którą wyjął z kieszeni wygniezionej koszuli. Drugą ręką strzepywał kłaczki z marynarki.

– Święci pańscy... to znaczy panterciu, popatrz no tylko na mój strój. Wygląda strasznie – powiedział wysokim głosem panienci z dobrego domu, który obniżył się o kilka oktaw, kiedy szybko nachylił się do mnie, by warknąć: – Ty wredna kurwo. Usyfiłaś mi całą marynarkę. – Wyprostował się z chichotem. – Mhm – chrząknął.

Za to, że nazwałeś mnie k..., nie spędzisz już w życiu ani jednej przyjemnej sekundy.

ROZDZIAŁ 19

AGENT SPECJALNY ROGER LIU

Lola pospiesznie przekazała ratownikom instrukcje w sprawie komendanta i jego zastępcy, mignęła odznaką i dała mi znak, żebym zrobił to samo. W uszach wciąż miałem świst, który skutecznie tłumił wszystkie głosy. Kobieta w podomce i z wózkiem sklepowym, która przyniosła mi telefon, podreptała na przeciwległy koniec pasażu handlowego i pochyliła się nad koszem na śmieci, zupełnie nie zważając na syreny, wrzaski, dym i ogień szalejące tuż obok niej. Jakie to cudowne nie istnieć w tym wymiarze, pomyślałem.

Lola prowadziła mnie do forda F-150 kobiety-wikinga, a ja stawiałem niepewne kroki, jakbym wypił o jednego za dużo. Przyglądałem się, jak wrzucając jedynkę, a potem dwójkę, trójkę i czwórkę, wystawia nos za szybę, jak gdyby wietrzyła trop. Chociaż może się to wydawać dziwne, ten obraz Loli wywołał ogromną pustkę, prawie zupełnie wolną od dźwięków, która zastąpiła szum wiatru w uszach. Nie wpadłem w panikę. Poczułem ulgę i w tym samym momencie uświadomiłem sobie, że mój wzrok odzyskuje ostrość – większą niż wcześniej.

Wspominałem już, że na początku kariery szkolilem się na strzelca wyborowego? Wspominałem o swojej bardziej niż pełnej ostrości widzenia? Nasz tandem, Lola i ja, stanowił odpowiednik superbohatera o doskonałym wzroku i węchu. Prawdopodobnie przede wszystkim dlatego Biuro połączyło nas w parę. Kiedy więc nie rozpraszały mnie bodźce słuchowe, mógłbym zobaczyć Teksas, gdyby na drodze nie znajdowały się wzgórza i budynki.

Lola zgarbiła się i zmarszczyła nos, jak gdyby naprawdę nie chciało się jej żyć. Próbowałem się skupić na czymś innym niż cisza, czytając szyldy na mijanych sklepach i restauracjach stojących samotnie przy prostej drodze. Zimny i dokuczliwy deszcz należał do tych, które nie mogą się zdecydować, czy padać, czy nie. Melancholijny deszcz. Choć niedawno minęło południe, niebo było ciemne jak o zmierzchu.

Skrzynka na listy w kształcie okonia z rozdziawioną paszczą przywiodła mi na myśl dzielnicę z mojego dzieciństwa, ale i tak każda prowadzona przeze mnie sprawa przypominała mi dzieciństwo. Zważywszy na moją domniemaną hipermnezję, nad którą zwykle panuję – w odróżnieniu od osób z prawdziwą hipermnezją – do głosu dochodziła moja „wyjątkowo dobra pamięć” i znowu brała mnie w niewolę przykrych obrazów z przeszłości. W moje myśli wdzierał się zwłaszcza zapis jednego dnia, odtwarzany jak cyklicznie powracająca spirala, w którą często wpadałem. No i proszę, chyba w końcu wygadam wam ten sekret,

dotąd tak skrętnie skrywany. Mówiłem wam wcześniej, że postanowiłem wstąpić do FBI, żeby „sprawić przyjemność rodzicom” albo utrzymać swoją poznaną w college’u dziewczynę-narzeczoną, ale na początku tego podwójnego pamiętnika nie znaleźliśmy się za dobrze.

Kiedy skończyłem trzynaście lat, mój ojciec dostał pracę przy projektowaniu elektrowni w dużym przedsiębiorstwie budowlanym w Chicago. Przeprowadziliśmy się z Buffalo, gdzie opływaliśmy w dostatki, do ceglanego parterowego domu na przedmieściu, około dwudziestu minut drogi od centrum Chicago, Riverside. W Riverside można znaleźć wiele architektonicznych arcydzieł Franka Lloyd Wrighta, strzeliste drzewa i spokojne ptaki, ciche uliczki oraz mocno uzależniającą lodziarnię o wdzięcznej nazwie Grumpies⁴.

Riverside zaprojektował Frederick Law Olmsted, ten sam dżentelmen, który zaprojektował Central Park. Według wizji Olmsteda miało powstać miasteczko, gdzie z każdego domu będzie widok na park. Dlatego ulice Riverside przypominają kolistą bieżnię, przedzielone niewielkimi klinami zieleni i parkami z prawdziwego zdarzenia, takimi jak na przykład Turtle Park – w którym ważne miejsce zajmuje pomalowany na zielono betonowy żółw.

Dawno temu, gdy byłem chłopcem, agenci z biur nieruchomości twierdzili, że dzięki swojej układowi architektonicznemu Riverside szczyci się niskim wskaźnikiem przestępczości: gąszcz poplątanych uliczek znacznie utrudniał ucieczkę złodziejom. Jeżeli ktoś chciał zostać przestępcą w Riverside, powinien znać teren, labirynt zawiniętych jak prele ulic i zdradliwych łukowatych parków. Powinien być kimś stamtąd.

Turtle Park leżał w sercu przedmieścia, opleciony sękatymi pasmami uliczek, jak gdyby był w środku wieńca z winorośli. To właśnie tam wydarzyło się coś ogromnie istotnego, co ujawniło możliwości mojego wzroku. Gdy mówię o wielkiej wadze tego zdarzenia, mam na myśli coś tak doniosłego, że nagle nadaje życiu zupełnie nowy kierunek, przewraca do góry nogami wszystkie wasze dotychczasowe emocje i oswojone lęki i tworzy całkiem nowe, których nie przeczuwaliście nigdy wcześniej; odtąd towarzyszą wam stale, ukryte pod powierzchnią jak podwodny prąd, są motywem przewodnim każdej chwili waszego życia.

To zdarzenie zasiało też w moich rodzicach pragnienie, które ich odtąd dręczyło: żebym wstąpił do organów ścigania. Przez resztę dzieciństwa, okres dojrzewania i czasy college’u usiłowałem jednak zagrzebać tamten dzień, pisząc teksty komediowe, rysując komiksy i grając w dramatach.

Mimo to na ostatnim roku college’u ksiądz jezuita ze Świętego Jana, z którym grywałem w szachy, przekonał mnie, żebym stawił czoło własnym lękom. Biorąc sobie do serca tę pobożną radę, posunąłem się do skrajności i wykonałem najbardziej radykalny krok: postanowiłem zająć się tym, co od tak dawna mnie

prześladowało – porwaniami.

* * *

Poszliśmy tam całą rodziną: ja, trzynastoletni, matka, ojciec i mój ośmioletni brat Reese, którego nigdy nie nazywaliśmy Reese. Nazywaliśmy go Mozi. Był środek lipca, bezchmurny dzień, bezwietrzny i gorący, więc rodzice zabrali nas do Grumpies na lody. Spacer z naszego domu przez jakieś osiem skrzyżowań. W połowie drogi powrotnej zatrzymaliśmy się w Turtle Park.

Mozi i ja ze dwadzieścia razy zdążyliśmy objechać na rowerach i obejść całą dzielnicę, czasem w towarzystwie naszej opiekunki. Moja męcząca autobiograficzna pamięć pozwoliła mi zbudować sobie w głowie modele 3D każdego centymetra kwadratowego naszego przedmieścia. Wiedziałem, że rezydencja zaprojektowana przez Franka Lloyda na rogu Turtle Park, która wyglądała jak kanciasta rozgwiazda, znajduje się w odległości ośmiuset metrów od naszego domu. Wiedziałem, że kamień wielkości piłki do koszykówki leżący przy jej podjeździe ma na szczycie dziesięć karbów. Wiedziałem, że Turtle Park otacza pięć budynków w stylu wiktoriańskim, trzy kamienne rezydencje, dwa nowo wybudowane megapałace i trzy parterowe – jeden w stylu Cape Cod, jeden z dachem mansardowym i jeden zaniedbany w stylu kalifornijskim. Odległość między poszczególnymi budynkami pozwalała Moziemu i mnie urządzać wieloetapowe wyścigi i wszystkie mogłem bez trudu wygrać, ale co pewien czas regularnie postanawiałem ponieść porażkę, żeby mój młodszy, niskiej postury brat okularnik w grubych szklach mógł zachować szczyptę szacunku dla siebie. Kochałem Moziego. Był taki radosny. Matka nazywała go „pajacyk”. Wszystkich potrafił rozśmieszyć. Wszyscy wróżyli mu karierę komika.

Nigdy nie miałem być taki jak Mozi; a on nigdy nie miał być taki jak ja. Ale bardzo starałem się go naśladować, by wskrzesić dla nas wszystkich tego cudownego i roześmianego chłopca, którego już dawno nie było.

Dostaliśmy lody, które kapały nam z rozków na ręce, i jak rodzina kaczek obsiedliśmy jezioro, tyle że naszym jeziorem był betonowy żółw w Turtle Park. Wrzucając pusty i rozmiękły rożek do śmieci, Mozi oznajmił:

– Bawimy się w chowanego, szukasz, tata.

Ruszył biegiem przed siebie, ja też pobiegłem, a matka usiłowała nie stracić równowagi, zrywając się z miejsca, aby przyłączyć się do zabawy. Ojciec też wrzucił rożek po lodach do śmieci.

– Liczę – powiedział i rękawami zasłonił oczy.

Między Turtle Park a sąsiednim dużym zielonym terenem z boiskiem bejsbolowym biegła droga w kształcie litery U, wzdłuż której rosły sosny i dęby. Mozi jak huragan przebiegł przez tę granicę i skierował się na przeciwległy koniec drugiego parku, natomiast ja zostałem w Turtle Park i wdrapałem się na drzewo,

żeby się ukryć w bujnej koronie. Doskonale widziałem stamtąd Moziego, który wcisnął się pod krzak w odległości około dwustu metrów ode mnie.

Na skraju drugiego parku wiała się inna kręta droga, jak cienka czarna wstążka przyszyta do płachty zielonego materiału. Mozi schował się jakieś pół metra od wstęgi drogi, widoczny dla kierowców, ale niewidoczny dla ojca, który liczył z zasłoniętymi oczami, a także dla matki, która schowała się na placu zabaw pod zjeżdżalnią i była odwrócona w drugą stronę. Zresztą gdyby nawet spojrzeli w kierunku Moziego, wątpię, by ich wzrok sięgnął tak daleko. Mój jednak sięgał. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że pod tym względem różnię się od innych. Myślałem, że widzę to, co wszyscy.

Zaparkowany przy drodze dziesięć metrów od Moziego brązowy datsun wolno ruszył wzdłuż parku w stronę jego kryjówki. Nietypowy dla tej okolicy numer rejestracyjny, który doskonale widziałem, od razu przyciągnął mój wzrok, choć natychmiast wydał się dziwnie znajomy: Idaho, XXY56790. Okulista, którego wezwano do sądu, by potwierdził moje zeznanie, powiedział, że większość osób potrafi odczytać numery z tablicy rejestracyjnej z odległości „trzech do czterech długości samochodu”. A ponieważ drzewo, na którym się schowałem, było oddalone o „czterdzieści długości samochodu” od datsuna, moja ostrość widzenia była „lepsza od najlepszego odnotowanego wyniku, niemal niezmierną”. Wyjaśnienie zostało złożone w ramach repliki na zarzut obrony, która twierdziła, że to niemożliwe, abym potrafił odczytać numer rejestracyjny z tak daleka. „Na pewno został przygotowany i pouczony, co powiedzieć” – utrzymywali adwokaci. Wnieśli też sprzeciw, gdy zeznałem, że zobaczyłem, co powiedział kierowca datsuna.

Kiedy samochód stanął obok kryjówki Moziego, otworzyły się drzwi kierowcy i pasażera. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni w dresach, czerwonym i czarnym. Kierowca stał przy otwartych drzwiach, rozglądając się w poszukiwaniu świadków, których nie było – oprócz mnie na drzewie. Drugi, ten w czarnym dresie, podszedł do Moziego, wyciągnął go spod krzaka i biegiem wrócił do datsuna, trzymając go pod pachą i zatykając mu ręką usta. Wrzucił go na tylne siedzenie, usiadł obok niego i dalej tłumił jego krzyki. Kierowca powiedział – odczytałem to z jego ust: „O północy”. I odjechali.

Zeskoczyłem z drzewa i wylądowałem z takim impetem, że kolana się pode mną ugięły. Potykając się, pobiegłem sprintem, krzycząc do niczego nieświadomych rodziców za mną:

– Mozi! Porwali Moziego! Porwali Moziego! Porwali Moziego!

Nie czekałem, aby mnie dogonili i zrozumieli. Biegłem i wrzeszczałem:

– Porwali Moziego! Porwali Moziego!

Nie miałem czasu przystanąć i wyjaśnić, że już wcześ-niej namierzyłem datsuna, do którego go wpakowali, że mogłem podać liczbę okien i drzwi domu,

przy którym stał niewinnie zaparkowany.

Jestem prawie pewien, że nie oddychałem, wracając pędem do domu przez cztery skrzyżowania. Otworzyłem boczne drzwi kluczem, który rodzice chowali pod wycieraczką, wpadłem do środka, zbiegłem do piwnicy, złapałem wiatrówkę i pudełko śrutu, wyskoczyłem na zewnątrz i przerzuciłem broń i amunicję, a potem sam przeskoczyłem przez ogrodzenie boiska szkolnego niedaleko domu. Usłyszałem z daleka wołanie rodziców, ale nie mieli szans zobaczyć, jak uciekam przez ogrodzenie, zresztą nie przystanąłem ani na sekundę, żeby mnie dogonili.

Okrzyżłem szkołę, przeciąłem dziedziniec i biegłem dalej łukami i serpentynami kilku krętych zadrzewionych uliczek, aż znalazłem się na obrzeżach dzielnicy, gdzie ładne bungalowy, wiktoriańskie domy i kosmiczne budowle Lloyda Wrighta ustępowały miejsca mniejszym, parterowym i kilkupoziomowym. Nasza opiekunka prowadziła nas tędy trzy razy, ponieważ właśnie w tym kwadrancie przedmieścia mieszkał jej chłopak.

Dotarłem do ślepej uliczki, przy której były trzy kilkupoziomowe domy ustawione półksiężycowato wokół sierpa trawiastego rogalika pośrodku. Samochody i dzieci na rowerkach objeżdżały zaułek równą kolistą pętlą. Urządzone w garażu mieszkanie chłopaka naszej opiekunki znajdowało się dwie ulice dalej i gdybym chciał się tam dostać, straciłbym z pola widzenia dom, który musiałem obserwować, ponieważ zanurzylibym się w kręte uliczki, osłonięte koronami dębów i platanów. Droga do ślepego zaułka, co dziwne, była zupełnie pusta. Nie było z niej widać żadnych nieodsłoniętych domów, przy prowadzącym do pętli prostym odcinku ani na jego końcu nie stały żadne budynki. Próby szukania pomocy dodatkowo utrudniał mi pusty plac przerwanej budowy. Miejsce, do którego przybiegłem, było naprawdę rzadkim w dzielnicy wysuniętym posterunkiem na uboczu, zupełnie innym niż gęste skupiska budynków w całym przedmieściu. Trzy domy przy ślepej uliczce były architektonicznymi trojaczkami, najwyraźniej zbudował je ten sam deweloper. Przed jednym z nich, białym i wielopoziomym, piętrzyła się sarta gazet, wskazująca na to, że prawdopodobnie dom jest pusty. Drugi, biały z ciemnym dachem, na pewno nie miał żadnych lokatorów, sądząc po pustym salonie widocznym przez odsłonięte okna i wysokiej nieskoszonej trawie przed wejściem. Żółta taśma ostrzegawcza otaczająca brakujące schody potwierdzała, że nikt tu nie mieszka. Trzeci dom po lewej, pomalowany szafirową łuszczącą się farbą i z białymi okiennicami, wyglądałby na niezajęty, gdyby nie brązowy datsun zaparkowany na podjeździe. Dokładnie tam, gdzie odnotowałem w pamięci podczas jednego ze spacerów. Ta sama tablica: Idaho XXY56790. Zewnętrzne drzwi szafirowego domu wolno się zamykały, co oznaczało, że kilka sekund wcześniej ktoś je otworzył i wszedł do środka.

Według statystyk większość ofiar porwania jest ukrywana albo ich zwłoki

zostają porzucone w promieniu kilku kilometrów od miejsca uprowadzenia.

Dylemat. Z jednej strony wiedziałem, że nie mogę tam wtargnąć, bo się bałem, że ci dwaj dorośli mężczyźni obezwładnią mnie i uwiężą. Z drugiej strony wiedziałem, że nie wolno mi spuścić domu z oczu, na wypadek gdyby postanowili uciec z moim ukochanym Mozim. Zbolały trzymałem się nadziei, że zgodnie z tym, o czym wspomniał jeden z nich, zamierzają wyjechać o północy, a wtedy będę gotów zaatakować ich z zasadzki. Miałem tylko jedno wyjście: czekać i ukryć się na płatanie naprzeciwko domu, trzymać na muszce boczne i frontowe drzwi i strzelać, gdy tylko wybije północ i wyjdą, żeby ruszyć w drogę.

Było dopiero południe.

Bóg jeden wie, jakie tortury Mozi musiał znosić w tym domu.

Tamten dzień na drzewie. Och, tamten dzień na drzewie.

Jeżeli czytając te słowa, krzyczycie do kartki, że przecież był inny sposób wyjścia z tej opresji, o wiele prostszy i oczywisty, gratuluję. Ja miałem trzynaście lat, brakowało mi jeszcze waszego doświadczenia życiowego.

Szybko wspiąłem się po pniu z wiatrówką zawieszoną na plecach i śrutem w kieszeni. Około trzech metrów nad ziemią zobaczyłem idealną prostą gałąź, którą Bóg przeznaczył na zawieszenie huśtawki, i zahaczyłem o nią najpierw jedną, a potem drugą nogę. Usiadłem na tej pocziwej grubej gałęzi, przyciskając się bokiem do pnia i przytrzymując się drugiej, cieńszej i krzywej, by nie stracić równowagi. I czekałem. Czekałem.

Co pewien czas musiałem się poprawiać na tyłku, lewy pośladek, prawy pośladek, lewy, prawy, żeby pobudzić krew w cierpnącym ciele. Potem takim samym ćwiczeniom poddawałem stopy, nogi, ręce i dłonie. Największą walkę tamtego dnia stoczyłem o to, żeby mięśnie mi nie zdrętwiały w tak ciasnej kryjówce. Choć właśnie odkryłem w sobie snajpera, szybko się uczyłem i domyśliłem się, jak skutecznie pobudzić krążenie za pomocą najprostszych manewrów, ćwiczyłem celowanie i strzelanie bez konieczności przytrzymywania się gałęzi. O zmierzchu awansowałem na Specjalistę Strzelca na Drzewie. Zostałem też ornitologiem, świadomym i uważnym obserwatorem krzątający samiczki kardynała, która karmiła młode w gnieździe na osłoniętej liśćmi gałęzi półtora metra ode mnie. W pewnym momencie zacząłem zazdrościć tej rodzinie siedzącej bezpiecznie pod zielonym daszkiem, zajadającej robaki i przechwalającej się swiergotliwie, że nie zagraża im żadne zło. Pisklaki wystawiały z maleńkiego przytulnego gniazodka z gałązek łebki przypominające gumy kulki, jak gdyby chciały mnie namówić, żebym się przyłączył do ich radosnego gaworzenia. Mogłem wycelować w nie wiatrówkę, wściekły z powodu ich szczęścia. Po namyśle zrezygnowałem jednak z tak bezsensownego czynu i skierowałem nienawiść na człowieka w czarnym dresie i człowieka w czerwonym dresie.

W porze kolacji dostrzegłem jakieś ożywienie przy mieszkaniu chłopaka

mojej opiekunki. Podjechali tam moi rodzice i w wielkim zamieszaniu, wśród uścisków i płaczu, spotkali się z moją opiekunką i jej chłopakiem przy świetle świeczek i latarek. Nie słyszałem ani słowa z tego, co mówili, tylko trzask zamykanych i otwieranych drzwi. Dlatego nie zawołałem o pomoc i nie miałem zamiaru zostawiać Moziego nawet na moment. Na wszelki wypadek. A gdyby odjechali? *A jeżeli odjadą i już nigdy go nie znajdziemy?* Pomyślałem, że nie wolno mi się stamtąd ruszyć.

Patrząc na to z perspektywy czasu i chłodniejszym okiem, można dojść do wniosku, że mogłem zrobić milion innych rzeczy. Nie ma dnia, żebym sobie nie wyrzucał kiepskich decyzji, jakie wtedy podjąłem.

Jakiś czas potem zza zakrętu nadpłynął jakiś metaliczno-zielony samochód. Prowadzący go starszy człowiek powoli skręcił kierownicę, wyraźnie śpiewając jakąś piosenkę, zupełnie nieświadomy obecności siedzącego na drzewie chłopaka. Odpędziłem wiewiórkę, która za bardzo się do mnie zbliżyła.

Nastała jeszcze ciemniejsza ciemność i zapaliły się gazowe latarnie. Na ślepej uliczce stała tylko jedna, po prawej stronie pętli, i jarzyła się jak na londyńskiej ulicy w dawnych czasach, gdy na świecie królowały świece. Księżyc, cienki jak skrawek paznokcia, dawał ledwie tyle światła, żeby zawiązać sznurowadła. Nogi zdrętwiały mi po raz dziesiąty, więc zacząłem nimi ostrożnie poruszać, trzymając się gałęzi nade mną. Już kilka godzin wcześniej porzuciłem próby odzyskania czucia w tyłku.

Około dziesiątej wieczorem za zasuniętymi do połowy zasłonami w oknie salonu, które obserwowałem, zaczęły mi migać obydwie dresy. Czarny Dres wychodził do korytarza za ścianą salonu, a Czerwony szedł za nim, niosąc plecak. Obaj kursowali tam i z powrotem, wynosząc bagaże, papiery i rzeczy. Pakowali się i przygotowywali do wyjścia. Gorączkowo szukałem Moziego, ale nigdzie go nie widziałem. Przy zapalonych światłach wszystko w domu i wokół niego było doskonale widoczne, jak gdyby na czarnym niebie rozbłysła samotna gwiazda. Ten kontrast ułatwiał namierzenie celu.

Chociaż czekałem dobre dwanaście godzin i czuwałem skupiony na tym okropnym niebieskim domu, stężałem w szoku, gdy w końcu otworzyły się boczne drzwi i ukazał się w nich Czarny Dres z plecakiem niedbale zarzuconym na ramieniu i torbą w prawej ręce. Rozejrzał się po trawniku przed wejściem w poszukiwaniu wrogów chowających się za krzakami. Mój zegarek elektroniczny G.I. Joe pokazywał dwie minuty po dwunastej. Nagle zasłoniłem sobie usta dłonią, żeby się powstrzymać od gwałtownej reakcji na widok osoby, która wyszła w drugiej kolejności.

Z bocznego wyjścia wyłonił się Mozi, ledwie powłócząc nogami, zdecydowanie zbyt potulnie drepcząc w milczeniu za Czarnym Dresem, podczas gdy Czerwony szturchał go z tyłu. Po bezwładnie opuszczonych ramionach

Moziego poznałem, że nafaszerowali go jakimiś prochami. Maszerowali gęsiego w stronę datsuna, wyglądając jak trzej bracia, dziwna wypaczona rodzina uchodźców, która zamierza przekraść się w nocy przez granicę.

Wycelowałem z wiatrówki w prawe oko Czarnego i strzeliłem. Trafiłem w dziesiątkę. Bez pudła. Z wrzaskiem runął na kolana na podjeździe. Czerwony złapał Moziego, jakby chciał się nim zasłonić jak tarczą, ale Mozi był tak niski, że głowę i tułów kierowcy miałem jak na dłoni, chociaż się pochylał. Znowu strzeliłem, tym razem w lewe oko Czerwonego. W dziesiątkę. Jego też trafiłem bez pudła.

– Mozi, Mozi, wiej, stary! Biegnij do mnie! Biegiem, Mozi! – wrzasnąłem, zeskakując z drzewa. Mój drugi zeskok z drzewa tego dnia. Tym razem zdrętwiałe nogi zawiadły mnie przy lądowaniu i wiatrówka wyleciała mi z rąk. Ale z pomocą przyszła adrenalina – adrenalina, co za cudowna przyjaciółka. Walcząc z instynktem, który kazał mi skapitulować przed paraliżującym, palącym jak ogień bólem, wstałem na rozchwianych nogach, chwyciłem wiatrówkę i jeszcze raz wymierzyłem z niej do dwóch mężczyzn, którzy wyli na podjeździe.

– Mozi, Mozi, biegiem!

Mozi wyglądał jednak na zbyt zamroczonego i rozkojarzonego. Zatoczył się, zrobił krok naprzód, chyba mnie zobaczył i znowu się zatoczył. Był tylko o ćwierć metra od Czarnego i Czerwonego. Musiałem podejść bliżej.

Krocząc w ich stronę jak gotowy na wszystko żołnierz zbliżający się do nieuzbrojonego nieprzyjaciela, odbezpieczyłem wiatrówkę i uniosłem, nie bawiąc się w żadne ostrzeżenia. Znow zacząłem strzelać, w ramię, w nogę, w każdą część ciała wrażliwą na moje pociski. Wili się z bólu rażeni moim ogniem. Jeden z nich zwrócił w moją stronę ucho, więc wycelowałem w ten mały otwór i posłałem śrut prosto do kanału słuchowego. Jestem prawie pewien, że zabolalo jeszcze bardziej niż przy strzale w oko. A może nie. Ale co za różnica.

– Mozi, chodź do mnie! – krzyknąłem.

Wreszcie ktoś za moimi plecami zauważył zamieszanie.

– Co tu się dzieje, do cholery? – zawołała jakaś kobieta.

– Proszę wezwać policję! – krzyknąłem do niej. – Policję!

Potem dowiedziałem się, że kobieta wyszła na spacer z pudlem i owczarkiem collie.

Obaj mężczyźni pospiesznie pokuśtykali do datsuna i nie zamykając nawet drzwi, wycofali wóz i ruszyli z kopyta, odjeżdżając sprzed domu, ze ślepej uliczki i z przedmieścia. Policja dopadła tych idiotów po strzelaninie w McDonalddie w pobliskim Cicero.

Mozi padł na trawę, a ja podbiegłem do niego, żeby go wziąć w objęcia. Nie miał pojęcia, co się dzieje. Tamtej nocy. Tamtej nocy Mozi spał na szczęście nieświadomy niczego dzięki tabletkom, które dali mu lekarze.

Mozi nigdy nie mówił o dniu spędzonym z tamtymi kreaturami. Nigdy nie powiedział, co się zdarzyło w tym domu. Ale Mozi już nigdy nie nałożył swojej śmiesznej czerwonej pelerynki. Nigdy nie zaśpiewał zabawnej piosenki. Na pewno nie widziałem, żeby chociaż raz się uśmiechnął przez te wszystkie lata. Po drugiej próbie samobójczej i rozpadzie trzeciego małżeństwa Mozi wprowadził się do domu rodziców i nigdy nie chciał wchodzić do piwnicy, zresztą w ogóle nie wszedł już do żadnej piwnicy.

Raz zabrałem Moziego na ryby do Montany – w nadziei, że pozbędzie się trucizny krążącej w jego żyłach. Nie robił nic innego, tylko łowił ryby. A raz w nocy płakał w namiocie. Nie chciałem go krępować, więc stałem bezradnie na zewnątrz, chodziłem dookoła ogniska, gapiąc się w płomienie, jak mam w zwyczaju, gryząc paznokcie i nie bardzo wiedząc, co począć. Modliłem się, żeby zgrzytnął zamek namiotu, żeby Mozi się wyczołgał i pogadał ze mną. Tak bardzo chciałem wejść do namiotu i wziąć go w ramiona, wycisnąć z niego wszystkie złe wspomnienia. Ale nie wszedł.

Do dziś serce mi się kraje, ilekroć Mozi wchodzi w rozczłapanych kapciach do pokoju; snuje się za nim bezkres-na pustka, wysysając z niego resztki energii, jakie mógł w sobie mieć. Czarne cienie pod oczami i opadające powieki świadczą o bezsennych nocach.

Dlatego poluję. Poluję na te nędzne, żałosne zera, te puste manekiny z mięsa, które są nic niewarte, te demony, które uciekają z cudzymi dziećmi i zasługują na mniej, niż rzucilibyśmy wściekłemu szczurowi.

Moi rodzice wyznaczyli sobie nowy cel w niezłomnej nadziei, że ich dzieci nigdy więcej nie zostaną porwane, a odpowiedzialność za to przelali na mnie. Zaciągnęli mnie na strzelnicę, domagali się, żebym zaczął ćwiczyć łucznictwo. Szeptali do mnie we śnie, że powinienem się kształcić na policjanta. Chcieli spełnić to pragnienie za moim pośrednictwem, w ten sposób radzili sobie z własnym przerażeniem. Wyszło na jaw, że mam niepospolity wzrok, i zostałem lokalnym rekordzistą w strzelaniu w środek tarczy i przebijaniu drugą strzałą tej, którą umieściłem w dziesiątce.

Zresztą nieważne.

Chodzi o to, że umiem trafić we wszystko. Dosłownie we wszystko.

Federalni chcieli mnie skierować na szkolenie dla strzelców wyborowych, ale uparłem się, że chcę się zajmować porwaniami. Albo ustąpili przed moim uporem, albo zmówili się, że przymkną oczy na testy psychologiczne, które na pewno przestrzegaly ich przed taką decyzją. W końcu wyznaczyli Lolę jako moją partnerkę albo mój problem, w zależności od punktu widzenia. Przy naszym pierwszym spotkaniu byłem przekonany, że raczej problem, ale wkrótce potem okazała się partnerką w najlepszym znaczeniu tego słowa.

* * *

Kiedy więc jechaliśmy z Lolą przez sam środek płaskiej Indiany pożyczonym fordem F-150, gdy mój wzrok odzyskiwał ostrość, a słuch się przytępił, postawiłem sobie za cel, by tego dnia kogoś zastrzelić. Każdy, kto porywał dziecko i szydził ze mnie, porywał też Moziego, przerażał Moziego, kradł jego radość i robił to bez końca. Uważałem, że każdy z nich powinien doznać straszliwych cierpień i najgłębszego upokorzenia.

Skręciliśmy tam, gdzie kazała nam skrócić właścicielka samochodu. Spod wielosezonowych opon tryskały kamienie na gruntowej drodze, częściowo utwardzonej, częściowo nie. Jechaliśmy wzdłuż szpalerów nieprzyciętych jabłoni, sękatych i powykręcanych ze starości, a za nimi rozciągało się najdłuższe pastwisko dla krów, jakie kiedykolwiek widziałem. Jak niezwykle musiał się wydawać uczniom jesienny przyjazd do tej wiejskiej szkoły w czasach jej świetności, pomyślałem. Dzisiaj stała smętna, cierpiąc chłód i tortury ospałego deszczu, któremu prawie nie chciało się padać na ten zapomniany zakątek. Wszystko spowijała czerń nieba i wypełniało zło.

4 *Grumpy* (ang.) – zrzędlivy, opryskliwy; także imię jednego z siedmiu krasnoludków w filmie Disneya o Królownie Śnieżce – w wersji polskiej Gburek.

ROZDZIAŁ 20

CIĄG DALSZY DNIA TRZYDZIESTEGO TRZECIEGO

W volkswagenie Brada miałam największy atut, jego pistolet, atut nr 42, gdybym tylko mogła go wyrwać z jego zakrwawionych palców. Kiedy nazwał mnie k..., zatrzepotały mi powieki, a oczy uciekły w głąb oczodołów. Zdarza mi się to raz na długi czas. Mój umysł niezależnie od woli osiąga ten stan, gdy ponadwymiarowa kora mózgowa działa na najwyższych obrotach. Wpadam w rodzaj transu, a odczucie lekkości i pulsowania energii w mózgu jest wspaniałe – jak cudowny rausz po najlepszym winie, tylko że myśli stają się wyjątkowo jasne, nie rozmyte jak po alkoholu. Wrażenie jest dość uzależniające, ale nie można go wymusić – trzeba po prostu czekać i poddać się temu mrowieniu w głowie.

Musiałam w jakiś sposób skierować uwagę Brada w lewo. Gdyby odwrócił głowę, jego prawa ręka – ta, która znajdowała się bliżej mnie i w której trzymał pistolet – przesunęłaby się odrobinę do tyłu. Gdybym wykorzystała ułamek sekundy, gdy jego mięśnie nie będą tak napięte, uderzyłabym go prawą ręką w ramię, żeby wbić mu łokieć w oparcie fotela i osłabić przedramię. Rozluźniłby palce, a wtedy drugą ręką, działając z zaskoczenia, mogłabym mu wyrwać pistolet. Gdyby coś odwróciło jego uwagę, miałabym całą sekundę na przeprowadzenie akcji.

Ale co może odwrócić jego uwagę?

Staliśmy w środku lasu. Na końcu drogi, którą kiedyś prawdopodobnie wywożono materiał z kamieniołomu.

Znowu tu i ówdzie padały krople deszczu. Kapanie wody o karoserię nie było na tyle głośne, żeby mogło mi przypomnieć strzelaninę, której byłam świadkiem w pierwszej klasie.

Wiewiórka mogłaby przeskoczyć z drzewa na drzewo. Z konara na konar mógłby przefrunąć ptak. Żaden ruch tego rodzaju nie odwróciłby jego uwagi. Na zewnątrz samochodu nie miałam żadnych atutów. W każdym razie o żadnych wtedy nie wiedziałam.

Mogłabym powiedzieć: „Popatrz, niedźwiedź polarny”. A ponieważ był zdrowo stukniętym psychopata, być może wyciągnąłby szyję w tym kierunku. Najpierw jednak ogarnęłyby go wątpliwości, na przynajmniej nanosekundę, a wtedy mocniej zacisnąłby palce na rękojeści pistoletu. Potrzebowałam naprawdę mocnego wstrząsu, żeby się odwrócił, bo tylko to przygotowałoby go fizycznie i psychicznie do udziału w moim planie. Szok i mięśnie jak z galarety. Tego potrzebowałam.

Ponieważ nie potrafiłam znaleźć w lesie za oknami volkswagena niczego, czym odwróciłabym jego uwagę ode mnie, ciągle trzepotałam rzęsami, analizując możliwości, wykonując obliczenia, wyciągając wnioski, kreśląc scenariusze, opracowując nowy plan. W samochodzie roilo się od atutów. I kiedy sporządzałam ich listę, rozglądając się po wnętrzu wozu, drwił ze mnie:

– Stuknięta suko, wariatko. Wiesz, jak wyglądasz? – Twarz wykrzywił mu grymas obrzydzenia.

Śrubokręt na podłodze z tyłu, pół metra od mojej lewej dłoni, w dole po lewej, atut nr 43.

– Kurwa, przestań mrugać!

Rolka taśmy izolacyjnej na dźwigni zmiany biegów, atut nr 44.

Długopis na podłodze obok mojej prawej stopy, który trącam butem od strony małego palca, atut nr 45...

Krawat na jego szyi, atut nr 46.

Jego telefon w schowku, atut nr 47.

– Przerażasz mnie, pantero. W każdym razie próbujesz, ha, ha.

Dalej trzepotałam powiekami, chociaż mruganie stawało się coraz mniej naturalne i coraz bardziej wymuszone. Pomyślałam, że jeżeli będę udawać wariatkę, zdołam uspić jego czujność. Zaczynał sprawiać wrażenie rozkojarzonego. Rozluźnił dłoń, w której ścisnął pistolet, zauważyłam to po lekkich zmarszczkach, które pojawiły się na zbiegających kostkach palców.

I nagle...

Właśnie gdy miałam dogłębnie przeanalizować możliwość użycia śrubokrętu, ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu jak cudowny dar nastąpiło coś, co skutecznie przykuło jego uwagę. Gdybym nie była tak chłodna i doświadczona, prawdopodobnie bym osłupiała.

– Ręce do góry, skurwielu! – wrzasnął jakiś mężczyzna za oknami samochodu.

Nawet nie uniosłam wzroku. Brad obrócił się gwałtownie w stronę głosu dobiegającego z zewnątrz, właśnie tak, jak chciałam zaledwie kilka sekund wcześniej, a ja w tym samym momencie wcisnęłam mu prawe ramię w oparcie siedzenia. Łokieć uderzył w fotel, dłoń się rozwarła i złapałam ten cholerny pistolet.

Uniosłam głowę i zobaczyłam mężczyznę rasy mieszanej, azjatyckiej i europejskiej, na szeroko rozstawionych nogach i z uniesioną bronią. Szary garnitur nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że to agent federalny.

Za samochodem stała mocno zbudowana kobieta o krótkich włosach i męskim nosie. Jej szare spodnie i biała bluzka też nie pozostawiały wątpliwości, że mamy do czynienia z agentką federalną. Ona również trzymała Brada na muszce. Starszy mężczyzna obok niej, który nie wyglądał na agenta, ale na

farmera, celował do niego z odbezpieczonej strzelby.

– Wypierdalaj z samochodu, cholerny bydlaku – rozkazała kobieta.

– Lola, kryj się, mam go. Boyd, nie ruszaj się. Tak, nie ruszaj się, stary – powiedział agent, trochę zbyt spokojnie. Przymrużył oko, żeby wycelować, i chyba mrugnął do mnie, jak gdyby się cieszył, że może w moim imieniu dokonać morderstwa.

Widziałam, że nie żartuje i naprawdę zamierza strzelić do Brada.

Natychmiast go polubiłam.

Przesunęłam się do tyłu, żeby wysiąść z samochodu, ale ponieważ nie zorientowałam się, że ciągle jestem przypięta pasami. A po chwili Brad wybrał szalone wyjście, które brałam pod uwagę, ale wykluczyłam, uznając, że to zbyt wariacki krok nawet dla niego. Zanim zdążyłam wyskoczyć z samochodu, wcisnął gaz do dechy, ruszając o wiele za szybko pozostałym odcinkiem drogi. Niemal otarliśmy się o mijane drzewa, a potem szarpnął kierownicę w lewo i zjechał w bok. Nisko wiszące gałęzie drapały boki samochodu, a my wspięliśmy się po granitowej pochyłości na niższym końcu kamieniołomu.

I runęliśmy do wody.

Pistolet upadł daleko poza zasięgiem moich rąk.

ROZDZIAŁ 21

AGENT SPECJALNY ROGER LIU

Ledwie dotarliśmy do szkoły Appletree, z jednego ze skrzydeł budynku wynurzył się Boyd. „Szkoła i internat Appletree”, głośił szyld na bocznej ścianie. Boyd zarzucił strzelbę na ramię. Dał nam znak, żebyśmy wysiedli z forda i podbiegli do niego. Słuch wracał mi na raty, denerwującymi falami hałasu, który zamierał, by po chwili znowu wypełnić uszy. Świst, trzask, parę bezładnych słów, coraz głośniej i głośniej, a potem szybkie wyciszenie.

Słowa Boyda dotarły do mnie szerokim potokiem.

– Chodźcie. Bobby jest prawie pewien, że pojechali leśną drogą, co prowadzi do kamieniołomu. A tam są w pułapce, jak nic. Pewnie się chowają. Bobby przyleciał tu, żeby mi to powiedzieć, a potem pojechał do szpitala z tą drugą dziewczyną. Druga dziewczyna mówi, że jest jeszcze jedna. Ta z Bobbym to jest Dorothy. Zgadzałoby się, panie Liu?

– Tak, Boyd. Dokąd mamy iść?

– Chodźcie. Pokażę.

Zgodnie z procedurą powinienem skonfiskować broń Boyda i polecić mu, żeby wskazał nam drogę, a sam został w pobliżu budynku szkoły. Powinienem też wezwać siły porządkowe z okolicznych miejscowości.

Pieprzyć procedury. Lola i ja potrzebowaliśmy wsparcia. Poza tym nie miałem czasu czekać, aż inni się zorganizują i ruszą nam z pomocą.

Boyd, jak się okazało, to utytułowany myśliwy. Polował przez całe życie. Wtedy miał na koncie największego rogacza położonego strzałem z pojedynki w całym stanie Indiana. Dlatego Boyd wiedział, jak bezszelestnie chodzić po opadłych liściach. Wyglądał niemal uroczo, skradając się przez las jak drobiący na paluszkach Fred Astaire. Lola i ja uczyliśmy się, jak chodzić po śladach i tłumić odgłos własnych kroków, więc robiliśmy to samo co on. Szczerze mówiąc, i tak niewiele słyszałem, nie mnie więc oceniać, czy naprawdę zachowywaliśmy się cicho. W uszach znów miałem stłumiony gwizd wiatru. Udało mi się pochwycić tylko fragmenty szeptu Loli.

– Liu... czuć... zynę... mochód... cującym silnikiem.

Nie czułem zapachu żadnego samochodu. Niczego oprócz lasu, mokrych liści, omszałej kory, wilgotnej ziemi. Sądzę, że większość ludzi na całej planecie, spacerując po lesie, poczułaby dokładnie tę samą mieszaninę woni. Ponieważ jednak Lola była koneserem zapachów, ruszyłem za jej nosem.

Boyd potakująco skinął głową, bo i tak kierował się w tę stronę.

I rzeczywiście, ujrzelśmy tył stojącego na drodze volkswagena. Z rury wydechowej unosił się obłok spalin, wyraźnie widoczny w zimnym powietrzu.

Powoli podkradłem się bliżej, podchodząc od strony kierowcy. I zobaczyłem Lisę tak wyraźnie, jakby siedziała pół metra ode mnie. Mrugała szybko oczami jak w transie. Wyglądała dokładnie tak jak na szkolnym zdjęciu zeskanowanym do akt – akt, które trafiły do niewłaściwego zespołu agentów. Ten, który, jak podejrzewałem, był Ding-Dongiem, siedział odwrócony w jej stronę, nie w moją. Wydawało się, że krzyczy jej prosto w twarz. Sprawiali naprawdę dziwne wrażenie, ofiara i jej prześladowca siedzący w samochodzie w środku lasu i wpatrzeni w siebie nawzajem.

Krzyknąłem do niego, żeby skurwiel podniósł ręce.

Zawtórowała mi Lola, wydając mu jakieś polecenie. Usłyszałem tylko: „cholerny bydlaku”.

Patrzyłem, jak Lisa przestaje mrugać, kiedy mężczyzna odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Patrzyłem, jak uderza go w ramię i wrywa mu z ręki pistolet.

Naprawdę to zrobiła? Zdębiałem, widząc taki numer w wykonaniu dziecka. Ale wzrok mnie nie mylił. Stałem w odległości zaledwie dziesięciu metrów. Zobaczyłem wyraźnie to, co zobaczyłem, jak gdybym siedział z nimi w samochodzie i obserwował akcję w zwolnionym tempie. *Dziewczyna wyrwała mu pistolet.*

Mimo to cały czas trzymałem go na muszce.

Coś musiało we mnie wstąpić. Ogarnął mnie spokój, jakiego dotąd nie znałem. Chyba nie czułem nic, co było całkiem błogim doznaniem. Może czułem tylko ulgę, że znowu mogę podrapać swędzące od dawna miejsce, znowu mogę zmasakrować odrażającą ludzką istotę. Miałem do pomocy wielu współników: Lolę, Boyda, a nawet samą ofiarę. Czytałem akta, wiedziałem, że jest wyjątkowo uzdolniona, przypominałem sobie jej zmagania z emocjami. Kiedy wyrwała mu broń w samochodzie, wydawała się zupełnie spokojna.

Dostrzegłem nawet cień uśmiešku, gdy złapała rękojęść pistoletu. Błysk dumy.

Pukam i pukam, i w końcu mi otwierasz.

Rzeczywiście diabeł nie jest płci męskiej. To ona.

Dlaczego nie strzeliłem, kiedy mogłem? Dlaczego nie rozwaliłem mu czaszki? Oczywiście, że mogłem. O wiele szybciej byłoby po wszystkim. Ale z miejsca, w którym stałem, mogłem oddać tylko śmiertelny strzał. Facet zapadł się tak głęboko w niskim fotelu volkswagena, a drzwi były takie wysokie, że za szybą wystawała tylko głowa. Strzał w głowę na pewno oznaczałby koniec. Nie miałem skrupułów, żeby go zabić. Nie o to chodziło. Chodziło o to, że naprawdę chciałem, by cierpiał przez resztę życia. Żeby okaleczony wił się z bólu w więziennej izolatce albo jeszcze lepiej – wśród reszty osadzonych w jakimś więzieniu stanowym.

Mimo że byłem agentem federalnym prowadzącym sprawę przestępstwa federalnego, miałem zamiar zakulisowo pociągnąć za różne sznurki, żeby podać sprawcę na tacy sądowi stanowemu. Dla tej gnidy o wiele lepsze byłoby niedofinansowane więzienie w Indianie, zwłaszcza gdybym – a tak zamierzałem – mógł szepnąć słówko współwięźniom o jego zbrodniach przeciwko dzieciom. Och, zrobię to z radością, podobnie jak Lola, ale najpierw rozprawi się z nim sama. W cztery oczy. Na co ja naturalnie przymknę oko.

Dlaczego Lola taka jest? Kryje się za tym jej historia, a spróbujcie wycisnąć z niej cokolwiek na temat jej przeszłości. Wiem tylko, że życie w rodzinach zastępczych odcisnęło na niej mocne piętno, ale nic więcej, nawet po tylu latach. Ale jeżeli chcecie drażnić i macie w sobie zacięcie Barbary Walters, proszę bardzo.

Wiem teraz, że mogłem strzelić, posłuchałbym głosu rozsądku i nacisnąłbym spust, gdybym tylko miał jeszcze dwie sekundy, żeby się zastanowić nad tym, co robię. Po dwóch sekundach namysłu usłyszałbym szept mojej cudownej Sandry. Nie zdążyłem jednak sięgnąć do pamięci i szukać u niej rady, bo w następnej chwili samochód z impetem ruszył naprzód. Siła rozpędu zachwiała Lisą i wcisnęła ją w fotel, uniemożliwiając jej przeprowadzenie planu, który na pewno miała. I choć odetchnąłem z ulgą, widząc, że żyje, to gdy zniknęli między drzewami i za wzniesieniem, ogarnął mnie potworny lęk.

Boyd skierował nas w lewo na krętą leśną ścieżkę. Nie odezwał się ani słowem, prowadząc posłuszny pochód pod wilgotnym okapem liści. Niebo było ciemnoszare, poznaczone czarnymi cętkami, jak plamy raka w miejscach, gdzie kiedyś jaśniał dziarski błękit.

Dotarliśmy do półkolistej góry granitowych płyt. Ukazał się kamieniołom i nagle doświadczenie zmusiło mnie do przyjęcia do wiadomości faktu, że to, co Boyd zamierzał nam pokazać, zburzy we mnie spokój, który odzyskałem, widząc, że Lisa żyje. Lola, popędzając nas gorączkowymi gestami, pędziła sprintem do krawędzi kamieniołomu. Po chwili odwróciła się i zaczęła krzyczeć na całe gardło, sądząc po nabrzmiałych żyłach na szyi. Ale jej głos zagłuszył niezwykle gwizd, potem szum i nagle wróciłem do świata dźwięków, a uszy wypełnił mi bulgot wody. Podbiegłem do Loli i Boyda stojących na brzegu kamieniołomu i zdążyłem tylko zobaczyć tylne światła garbusa znikające pod ciemną powierzchnią. Fale wzburzonej wody uderzyły o granitowe ściany, lecz dziwnie wolno i niemrawo, jak gdyby woda była gęsta jak syrop i z trudem się poruszała.

Lola i ja zrzuciliśmy buty i truchtem pobiegliśmy do niżej położonego miejsca, skąd łatwiej było wejść do wody.

– Stójcie, nie skaczcie tam – odezwał się Boyd, powstrzymując nas w biegu.

– Co ty wygadujesz, specu od kur? – krzyknęła Lola ze zmarszczonym czołem. Wycelowała do Boyda z pistoletu. Ja też. Ani Lola, ani ja zwykle nikomu nie ufaliśmy. Wystarczył byle powód.

Boyd położył strzelbę na ziemi i podniósł rękę. Opuściłem broń i odetchnąłem z ulgą, ciesząc się, że mój hodowca drobiu jest jednak dobrym człowiekiem i że mam nieuszkodzone wszystkie zmysły.

– Spokojnie, chciałem tylko powiedzieć, że trzeba uważać – tłumaczył pospiesznie. – Kamieniołom zamknęli ze czterdzieści lat temu. Zanim tu zbudowali szkołę i w ogóle. Mój tato i tato Bobby’ego kiedyś polowali w tej okolicy. Mówili, że do wyrobiska ludzie wrzucali stare samochody. Złom. Różne graty. Skoczycie, zaczepicie o coś nogą i pójdziecie na dno.

Widzicie, że przestrzeganie procedur biura mogło doprowadzić do mojej śmierci albo Loli? Czasem naprawdę warto zaufać miejscowym. Jasne, powiedzcie bonzom kierującym Biurem, żeby odstąpili od swojej strategii. Żeby dali sobie spokój z cholernymi danymi i statystykami. Proszę bardzo, powiedzcie im, że naprawdę powinni dopuścić do głosu instynkt i wyczulone zmysły. Przekonajcie się, co uda się wam wskórać. A potem pogadajcie ze mną i z Lolą.

Sandra prawdopodobnie powstrzymałaby mnie łagodnym spojrzeniem, ostrzegawczym zmrużeniem powiek i subtelnym ruchem głowy. Uspokoiłaby mnie po swoim, w milczeniu kładąc mi na ramieniu dłoń pachnącą różaną emulsją. Powiedziałyby, że kiedy wracam pamięcią do tamtych wydarzeń i o nich opowiadam, trochę mnie ponosi, co nie do końca leży w mojej naturze. I miałyby rację, jak zwykle. Wtedy, przed wejściem do kamieniołomu, naprawdę starałem się znaleźć jedną zabawną stronę sytuacji, w której się znalazłem. Pomyślałem jednak, dlaczego w ogóle zastanawiam się nad jej komizmem. Być może wysilałem się po prostu po to, żeby Sandra mnie uratowała, bo tak daleko od niej czułem się osamotniony, w chłodzie, zanurzając się w ciemność i próbując ocalić tonącą dziewczynę i jej dziecko. Chciałem łańcucha ratunkowego: żeby Lisa ocaliła swoje dziecko, żebym ja ocalił Lisę, a Sandra mnie. Ale Sandry tam nie było. Sandry nigdy przy mnie nie było, kiedy wkraczałem do piekła.

Ostrożnie i rozważnie, badając grunt stopami, ale najszybciej, jak mogłem, wszedłem do wody. I właśnie wtedy zauważyłem sznur uwiązany do ściany skalnej studni.

ROZDZIAŁ 22

CIĄG DALSZY DNIA TRZYDZIESTEGO TRZECIEGO

Byłam przypięta pasami. Brad nie. Kiedy nurkowaliśmy w kamieniołomie, obliczyłam, że samochód opada pod kątem mniej więcej dziesięciu stopni. Na szczęście spadliśmy z niższego brzegu. Po drugiej stronie ściana wznosiła się około dziesięciu metrów nad powierzchnią; trudniej byłoby się zmierzyć z upadkiem z tamtego brzegu. Volkswagen spadł z wysokości zaledwie metra, więc bardziej przypominało to zjazd po pochylni dla łodzi. Mimo że zejście do wody trwało krótko, było dość szybkie, dlatego wpadliśmy z impetem.

Ledwie kilka dni wcześniej mój nieżyjący już strażnik poinformował mnie, że w niektórych miejscach kamieniołom ma głębokość piętnastu metrów, przygotowałam się więc na bardzo długie opadanie. Samochód zatrzymał się jednak prawie natychmiast, zaraz po zanurzeniu się przodem maski. Byliśmy na głębokości może trzech metrów. Moim zdaniem nic wielkiego. Chociaż nie bagatelizujemy sytuacji. Ludzie mogą utonąć nawet w pięciu centymetrach wody. Dowód rzeczowy A, człowiek w mojej celi.

Tył volkswagena pogrążył się w wodzie i przyjęliśmy pozycję poziomą. Wylądowaliśmy na występie klifu w kamieniołomie; wiedziałam, że to klif, bo chociaż wzbiliśmy tonę osadów i woda zrobiła się mętna, to przed nami była jaśniejsza, a niżej ciemniejsza, dużo ciemniejsza. Co oznaczało, że kawałek dalej otwierała się mroczna otchłań.

Zobaczyłam też, że przed nami coś się unosi w wodzie przywiązane do sznura, który sięgał dalej w głąb od miejsca, gdzie zatrzymał się samochód. Świetnie wiedziałam, co jest uwiązane do sznura, mimo że widok utrudniała zawiesina pyłów.

Brad obok mnie leżał bezwładnie na kierownicy; zemdlął od uderzenia w głowę albo po prostu z szoku wywołanego własną głupotą, nie mam pojęcia. W każdym razie cieszyłam się, że nie miota się jak krety. Atut nr 48, nieprzytomny Brad.

W samochodzie zaczął się podnosić poziom wody, która wciskała się do wewnątrz przez szpary w drzwiach i zakręconych oknach. Przykryła już moje duże nike, potem łydki. Wspinała się coraz wyżej i wyżej, sięgając bioder. Woda wokół nas stawała się coraz bardziej przezroczysta; dziwiłam się, jak szybko kamieniołom wraca do równowagi, jak gdyby jego jedynym zajęciem było połykanie kolejnych ofiar, kolejnych kup metalu, które znikają w jego przepastnym, ciemnym żołądku. Miałam wrażenie, że z jego płynnego cielska

wyrywa się znudzone westchnienie.

Dno kamieniołomu było prawdziwym złomowiskiem: wygięty pręt zbrojeniowy, dziecięcy metalowy traktor wywrócony do góry kołami, wiadra, cegły, łańcuchy, a nawet ogrodzenie z drucianej siatki, które wypełzło z głębi przed maską samochodu na występ klifu, jak długi i kręty jęzor wysuwający się z diabelskiej paszczy.

Woda nieustannie wlewała się do środka jak płyn włączany przez zaciśnięte zęby. Po chwili przykryła mi biodra, mój szeroki brzuch, moje dziecko. Siedziałam w bezruchu.

Obraz był zmacony, ale widziałam ją dryfującą na desce, widziałam przywiązany sznurem rozcięty tułów. Trzymana po śmierci na uwięzi i na pływaku, które nie pozwalały jej opaść na dno, poruszyła się lekko w podwodnym grobie, jej włosy wolno falowały wraz z leniwym ruchem wody. Razem z konstrukcją, do której została uwiązana, wyglądała jak skurczony balon, z niewiadomego powodu unoszący się nad opuszczonym salonem samochodowym gdzieś w głębi Zachodu, tam, gdzie nikt już się nie zapuszcza, chyba że zabłądzi albo szuka benzyny. Czekala na sępy.

Z prawej zobaczyłam tamtego agenta, który zaczął łomotać otwartymi dłońmi w szybę po mojej stronie. Walił i walił, łup, łup, łup, a z łomotem powróciło wspomnienie tamtego bandziora strzelającego w szkole. Huk, wrzaski, brzęk kul śmigających po klasie.

Powstrzymałam się przed zwolnieniem przełącznika złości. Wytrzymałam; nadal siedziałam bez ruchu. Zacisnęłam dłoń w dłoń. Odwróciłam się do agenta, który wciąż szalał za szybą, walił w nią i szarpał za klamkę drzwi – woda tłumiała łomot, a jej opór spowalniał jego ruchy.

Uniosłam rękę i pomachałam przez okno, żeby go powstrzymać. Ponieważ głowę miałam jeszcze nad powierzchnią i mogłam oddychać, choć woda sięgała mi już szyi, powiedziałam:

– Najpierw po obu stronach musi być taki sam poziom wody. Wtedy ciśnienie się wyrówna i drzwi się otworzą. Spokojnie!

Czy ludzie pamiętają jeszcze cokolwiek z fizyki w szkole średniej?

Woda przykryła korzonki moich włosów. Odpięłam pas bezpieczeństwa. Sięgnęłam po kluczyki Brada i wyjęłam je ze stacyjki, po czym odwróciłam się do agenta, który ciągle bezsensownie łomotał w okno jak obłąkany bandyta strzelający w szkole.

Czy ten hałas zawsze będzie mnie prześladował? Czy do końca życia będzie mi przypominał tamten dzień? Kogo mam dopaść, żeby przerwać ten piekielny loskot? Kogo mogę torturować tym dźwiękiem?

Popatrzyłam na agenta i uniosłam ręce w geście „No na co czekasz?”.

Pociągnął klamkę i otworzył drzwi.

Przeplęłam trzy metry dzielące mnie od powierzchni.

ROZDZIAŁ 23

AGENT SPECJALNY ROGER LIU

Popłynąłem za Lisą, chciałem dopilnować, żeby bezpiecznie wynurzyła się na powierzchnię i trafiła w ramiona Loli. Kiedy byłem pewien, że już nic jej nie grozi, wróciłem pod wodę i choć z wielkimi oporami, ale uwolniłem kierowcę z volkswagena, który powinien się stać jego wodnym grobem. Wypchnąłem go na powierzchnię, a Wielki Boyd chwycił go pod pachy i wyciągnął. Tylko on był w stanie zrobić mu usta-usta, a jako farmer dobrze się na tym znał. Nie wiem, jak się tego nauczył. I naprawdę mnie to nie obchodzi. Ja nie tknąłbym wargami tej zimnej ryby.

Kierowca kaszlnął i ożył, po czym zaczął wrzeszczeć, wyć i miotać się na granitowych skałach, jak gdyby razem z życiem wstąpił w niego duch bojowy. Lola podeszła do niego zdecydowanym krokiem i kopnęła go w udo. Stałem blisko niej pochylony, z trudem łapiąc oddech.

– Będiesz jeszcze żałował, że nie zostawiliśmy cię w wodzie, mendo. Gęba na kłódkę. Gęba na kłódkę, bo powyrywam ci wszystkie zęby po kolei. – Odwracając głowę w stronę Boyda, dodała: – Specu od kur, przytrzymaj mu ręce za plecami.

– Nazywa się Brad – krzyknęła Lisa spokojnie, ale z wyraźnym niesmakiem, jak gdyby Brad był żalonym i śmiesznym imieniem.

– Masz prawo nic nie mówić... – Wygłosiłem urzędową formułkę szybko, monotonnym głosem, dając mu do zrozumienia, jak bardzo oburza mnie konieczność odczytania mu praw, na które nie zasługuje. To ja musiałem go o nich poinformować, bo Lola nigdy by tego nie zrobiła. Brutalnie skuła mu rękę, a ponieważ nie przestawał lamentować i rzeźzić, łapiąc powietrze, zerwała z szyi apaszkę i mocno zawiązała mu usta. Słyszeć było tylko stłumione jęki.

Boyd cofnął się i wycelował strzelbę w Brada.

– Cholera, nie strzelaj, specu od kur. Podoba mi się takie nastawienie, ale nie możemy go teraz zastrzelić – uprzedziła Lola, odnosząc się do Boyda bardziej życzliwie niż dotąd.

– Nie chcę strzelać do sukinsyna, proszę pani, chyba że będzie próbował nawiać. A jak będzie, to przyda mi się nowy łeb do kolekcji na ścianie – odparł Boyd, nie odrywając wzroku od Brada. – Słuchaj no, gościu, lubisz dzieci, nie? A wiesz, że jestem mistrzem stanu w strzelaniu z pojedynki? Mhm. No to weź i spróbuj zwiać, stary. Dawaj. Śmiało. Śmigaj jak króliczek.

Lola uśmiechnęła się do Boyda. Ja też. Został już pełnoprawnym członkiem

naszej bandy.

Lisa, która z rękami założonymi na piersi stała obok kamieniołomu, przechylona w stronę sznura uwiązanego do skalnej ściany, uniosła kącik ust, co – jak się niebawem przekonałem – oznaczało, że też się uśmiecha. I tak zostaliśmy w czwórkę oddziałem straży obywatelskiej. Pozorów legalności naszym działaniom nadawały przynajmniej odznaki, moja i Loli. Zastanawiałem się nad przedziwnym zbiegiem okoliczności: Boyd sprzedał samochód akurat naszemu porywaczowi, który zaparkował go na ziemi należącej do krewnego Boyda, w odległości wielu kilometrów od miejsca kupna pojazdu. Niektórym mogłoby się to z pewnością wydać podejrzane albo wręcz niemożliwe, w zależności od umiejscowienia w spektrum wiarygodności. Pamiętałem też jednak słowa kobiety, która widziała napis „Hoosier State” na tablicy rejestracyjnej, a poprzedniego wieczoru oglądała z mężem film *Hoosiers*. „Boski przypadek”, powiedziała. Rzeczywiście boski przypadek. Jak gdyby podsunęła nam wskazówkę albo podzieliła się z nami swoim przeczuciem, które być może stało się podtekstem całego śledztwa.

Podszedłem bliżej do Lisy, która dygotała z zimna. Powstrzymując własne dreszcze po wyjściu z wody, wsunąłem głowę w ramiona jak żółw do pancerza i potrząsałem jedną, a potem drugą nogą. Woda kapała ze mnie jak z wyżymanej gąbki. Przemoczona szara marynarka wypchała się na łokciach. Pomyślałem, że przydałby się termos gorącej kawy, ale wtedy przy kamieniołomie tak zwykła przyjemność awansowała do rangi nierealnego luksusu. Równie dobrze mógłbym marzyć, żeby z drzewa sfrunął jednorożec i zaniósł nas do krainy słodyczy na żelki i lukrecję.

Lisa obejmowała i głaskała wyduęty brzuch, najwyraźniej starając się ogrzać dziecko. Nie sprawiała wrażenia, że najchętniej by stamtąd uciekła, czego spodziewałbym się po każdej innej ofierze. Nie histeryzowała, nie płakała, nie krzyczała, żeby zawiadomić rodziców. Nie stawiała typowych w takiej sytuacji żądań, nie domagała się lekarza ani niczego innego. Patrzyła na mnie w milczeniu, kiedy do niej podchodziłem, jakby analizowała mój chód, może liczyła kroki. Lola i Boyd przyciskali skutego Brada do drzewa, więc chciałem zabrać Lisę, żebyśmy mogli opuścić las.

– Jestem Lisa Yyland. Nie wzywajcie żadnej pieprzonej karetki i nie mówcie o tym ani słowa przez radio. Chcę złapać resztę sukinsynów, którzy to zrobili.

Jej beznamietne, nieruchome spojrzenie przeniknęło mnie do szpiku kości. Wstrząsnęło mną jej opanowanie, jej determinacja, jej siła, cała jej postawa. Osłupiałem. Byłem w szoku. Uniosłem za plecami rękę, dając ostrzegawczy znak pozostałym i odwracając tylko głowę, jak gdyby Lisa rzuciła na mnie czar, powtórzyłem za nią słowo w słowo:

– Nie wzywajcie żadnej pieprzonej karetki i nie mówcie o tym ani słowa przez radio.

– Dzisiaj wyłapiemy resztę i proszę nie zawiadamiać jeszcze moich rodziców. Nikt nie może wiedzieć, że mnie znaleźliście. Jeżeli potrzebuje pan jakiegoś przekonującego dowodu, jeżeli pan myśli, że najpierw trzeba zadzwonić do moich rodziców albo poinformować swoich szefów, coś panu pokażę. Niech pan odczepi ten sznur, usiądzie za tamtym kamieniem i pociągnie.

Sznur. Gdy byłem pod wodą, starałem się nie patrzeć w tamtą stronę. Wiedziałem, że na końcu sznura jest coś okropnego. Zrobiłem dokładnie to, co powiedziała Lisa: odczepiłem sznur, usiadłem za dużym kamieniem i pociągnąłem.

W pracy widziałem wiele strasznych i makabrycznych rzeczy. Oszczędzę wam szczegółów. Powiem tylko, że w tamtym momencie życia powinienem być niewrażliwy na widok tułowi bez głów, głów bez twarzy i zmiądzonych, spalonych, zmasakrowanych ciał, w których trudno rozpoznać ludzi. Ale czarna głębia kamieniołomu, drżące drzewa, odwrócone do nas tyłem, stalowoszare niebo, jałowe, wyprane z wyrazu powietrze i szydery uśmiech na twarzy Lisy, nieruchomo wpatrzonych w bulgoczącą wodę, sprawiły, że ogarnęły mnie mdłości, gdy na powierzchnię wynurzyły się zwłoki dziewczyny z rozprutym brzuchem. Wyobraziłem sobie, jak Lola przy jakimś posiłku, który będziemy w milczeniu kiedyś jeść po tym strasznym dniu, powie:

– Liu, przy tym, co muszę oglądać w piwnicach, na stryszkach i w starych kamieniołomach, oszczędź sobie kazań na temat „mojego jedzenia”, „mojego tytoniu”, „mojego picia”, „mojego bekania” – albo innej przyjemności, której będzie się oddawała, żeby zagłuszyć ból trudnych wspomnień.

Lisa wpatrywała się w martwą dziewczynę chłodnym, hipnotycznym wzrokiem. Jedną rękę trzymała na wydatnym brzuchu, a drugą podpierała brodę, jak gdyby wygłaszała z pasją wykład filozoficzny. Mokre włosy lepiły się do jej czaszki i twarzy.

Kiedy Lisa odwróciła się od wody, puściłem sznur. Przywiązane do deski zwłoki z pluskiem pogrążyły się w kamieniołomie. Lisa ruszyła wzdłuż brzegu kamieniołomu drugą stroną, w kierunku Boyda, Loli i Brada. Kiedy mijając Brada, puściła do niego oko i strzeliła do niego z wyimaginowanego pistoletu, zdmuchując niewidzialny dym z palca, żałowałem, że nie jest moją córką. Skręciła w ścieżkę, którą przyprowadził nas tu Boyd, ale choć nie zachęciła nas ani słowem, żebyśmy poszli za nią, oczywiście ruszyliśmy śladem jej przemoczonych butów, dźgając lufami pojękującego Brada, żeby się nie ociągał.

Lola i ja dobrze wiedzieliśmy, że trzeba po prostu iść. Kładąc palec na ustach, daliśmy znak Boydowi, żeby też się nie odzywał. Maszerowaliśmy w ciszy całą drogę aż do budynku szkoły, przez niewielki parking i leśną ścieżkę, na której końcu było puste miejsce pod wierzbą. Ciężarna Lisa szła krokiem rozgniewanego kota, a gdy Boyd chciał coś powiedzieć, szybko go uciszyłem.

Idąc za naszą nastoletnią królową, leśną ścieżką dotarliśmy przed szkołę.

Stanęliśmy przed jednym ze skrzydeł budynku, patrząc na Lisę w oczekiwaniu na instrukcje. Lola umieściła na pace forda F-150 Brada ze skutymi rękami i nogami przywiązanymi do jakiegoś zaczepu.

– Nie wiem, gdzie pracuje Doktor. Gdzie jest Dorothy? Na pewno odjechała furgonetką – zwróciła się do mnie Lisa.

– O czym mówisz? Kto to jest Doktor? – spytałem.

– To ten, który odbiera porody – wyjaśniła Lisa.

– Dorothy, tamta druga dziewczyna? Mój kuzyn odwiózł ją do szpitala.

Lisa, trochę zdezorientowana, skinęła głową.

Zamierzałem zadać jej jeszcze kilka pytań, gdy kątem oka dostrzegłem, że Lola pochwyliła jakiś zapach dolatujący zza innych drzwi innego skrzydła budynku. Wyglądała jak w transie, urzeczona czymś za tymi drzwiami. Weszła tam, nie dając znaku mnie i nikomu innemu, żeby jej towarzyszyć.

– Pewnie wyczuła zapach tego gnoja, którego upiekłam w swojej celi. Proszę jej powiedzieć, żeby nie dotykała wody. Może być jeszcze pod napięciem.

Boyd odezwał się zza moich pleców:

– Aha. To właśnie ten zapach, co panu mówiłem. Drzwi są zamknięte na klucz.

Lisa podała mi klucze, które trzymała w zaciśniętej ręce.

Pobiegłem za Lolą.

To, co znaleźliśmy na trzecim piętrze, bije na głowę wszystkie opowieści o cyrkowych niedźwiedziach ubranych w różowe spódniczki.

* * *

Kiedy Lola i ja zobaczyliśmy to, co zobaczyliśmy w pokoju, który wcześniej był celą Lisy, dziewczyna nie powiedziała nic na swoją obronę. Oznajmiła tylko:

– Agencie, po południu urządzimy zasadzkę. Ja ich zwabię, a wy złapiecie.

Lola, już przekonana do pomysłu, kiwała głową, zgadzając się na wszystko, czego zażądała nasza młoda matka. Lola poczuła krew i chciała się jej opić po samo gardło.

– Dzisiaj miałam dołączyć do tamtej dziewczyny w kamieniołomie. – Pomasowała spęczniały brzuch, tuląc dziecko. – Nie potrafię opowiedzieć, jak głęboko nienawidzę tych ludzi. Widzieliście, do czego jestem zdolna, co zrobiłam ich bandziorowi na górze. Chcę ich zniszczyć. I zniszczę. Wytropię ich i powoli wszystkich wytruję, jeżeli nie zgodzicie się zastawić pułapki i aresztować wszystkich jeszcze dzisiaj. Ja muszę zostać przynętą. To jedyny sposób. Przemyślałam to już milion razy.

Nie wątpiłem, że przemyślała.

– Powiedz nam, jaki masz plan, Liso – odezwała się Lola.

Z miną, która, jak się później dowiedziałem, u tej beznamietnej dziewczyny

oznacza promienny uśmiech, Lisa ściągnęła brwi i lekko uniosła brodę w stronę Loli. Oznaka szacunku. I podziękowanie.

Lisa przedstawiła szczegóły planu. Był naprawdę prosty. Powiedziała, że musimy przystawić Bradowi pistolet do skroni, kazać mu zadzwonić do Doktora i zawiadomić go, że zaczęła rodzić.

– Doktor chyba podróżuje razem z Banalarzami, więc przywiezie ich ze sobą, bo bardzo im zależy na moim dziecku. Zgarniemy ich wszystkich razem. Rozumiecie? – Uzgodniliśmy, że moi agenci, którzy niebawem mieli się zjawić na miejscu, będą obserwować hotel Banalarzy i gabinet Doktora – które najpierw mieliśmy namierzyć, zanim pozwolimy Bradowi zadzwonić – na wypadek gdyby jego wspólnicy zostali w jakiś sposób uprzedzeni. Chciałem, żeby plan Lisy się powiódł, żebyśmy złapali ich wszystkich w Appletree, z kilku powodów.

Szkoła Appletree znajdowała się w ustronnym miejscu i żadne osoby postronne nie zostałyby ranne w ewentualnej strzelaninie.

Gdyby tu przyjechali na sygnał Brada, byłby to mocny dowód na ich współudział.

Lisa poprosiła, a ja uznałem, że jej się to należy, aby spotkać się z nimi oko w oko bez ograniczeń sali rozpraw czy więzienia. I bez świadków.

Później poznałem więcej szczegółów, by zrozumieć, kogo Lisa miała na myśli, mówiąc o Doktorze i Banalarzach. Wyjaśniła mi też, że Brad nie był „Ronem Smithem” – Ding-Dongiem – za którego go uważałem, ale jego bratem bliźniakiem. Ta wiadomość mnie zdumiała, więc miałem do niej mnóstwo pytań, ale wtedy powiedziałem tylko:

– W porządku. Omówmy jeszcze raz twój plan.

Nie było mowy, żebym podsuwał jej własne pomysły. To była wojna Lisy, a ja nagle stałem się jej żołnierzem. Lola ochoczo wdrapała się z bronią na jabłoń w sąsiednim sadzie, zajmując stanowisko snajperskie. Niechętnie przypominałem jej, żeby nie strzelała, gdyby grupa, na którą czekaliśmy, była nieuzbrojona. Nozdrza jej drgnęły, jak gdyby chciała mi odwarknąć, i mocniej zacisnęła palec na spuście. Zostawiłem ją na drzewie w nadziei, że mnie posłucha, a jeśli nie, zamierzałem udzielić jej wsparcia.

Zadzwoniłem do zmierzających do nas ludzi z Biura i umówiłem się z nimi u kuzyna Bobby’ego, żeby przekazać Brada jednemu zespołowi, a drugi poinstruować, gdzie ma się ukryć i rozmieścić gniazda snajperów. Nie wspominałem im o nieudanej próbie „ucieczki” Brada z platformy pikapa, gdzie go przywiązaliśmy z rękami w kajdankach; nie wspominałem o umowie, jaką zawarliśmy z nim bez świadków. Umowie między mną, Bradem i Lisą. Kiedy zdjąłem Bradowi kaganiec z apaszki przed oddaniem go w ręce agentów – którzy przestrzegali procedur i nie kneblowali by więźnia – i musiałem wysłuchiwać jego melodramatycznych lamentów o dziurze w policzku, żałowałem, że nie zostawiłem

go na dnie kamieniołomu. Ależ był z niego kawał wariata; kiedy pchałem go przed sobą przez pastwisko w drodze do domu kuzyna Bobby'ego, mówił na zmianę wysokim dziewczęcym głosem albo basem jakiegoś obłąkanego demona. Gdy mijaliśmy ryczącą krowę, spojrzał na jej pysk i powiedział:

– No, Bessie, wspaniała krasula z ciebie. – A po chwili przeszedł do gardłowego ryku: – Pokroję twoje dzieci na cielęcinę, suko!

Zacząłem się niepokoić, że zostanie uznany za niepoczytalnego i uniknie wyroku.

Wszystko przebiegło zgodnie z przewidywaniami Lisy. Doktor przyjechał brązowo-karmelowym cadillakiem eldorado, którego pasażerami byli państwo Banalarze. Banalarz i jego małżonka zaszyli się w miejscowym motelu o nazwie, *nomen omen*, „The Stork & Arms”⁵, gdzie czekali, aż na świat przyjdą ich kradzione pociechy. Zamierzali zbiec z nimi do Chile, do swojej stylowej, osłoniętej drzewami kryjówki, otoczonej pięcioma winnicami i zatopionej w błogiej atmosferze półkuli południowej. Jasnowłose dzieci miały być jedynym w swoim rodzaju dziełem sztuki w istnym zamku obrazów i rzeźb. Lola i ja mieliśmy okazję odwiedzić tę posiadłość, kiedy inwentaryzowano ich kolekcję. Znaleźliśmy tyle dokumentów dowodzących ich związku z naszym przestępstwem i kilkoma innymi, na przykład kradzieżami cennych dzieł, że straciliśmy rachubę zarzutów, jakie im postawiono.

W dniu, w którym ich zgarnęliśmy, Lola zeskoczyła z drzewa i sypnęła im piachem w oczy za to, że nie mogła do nich strzelić, ponieważ pojawili się bez broni i dali się nabrać.

– Szach – powiedziała Lisa, gdy nakładałem kajdanki Doktorowi.

Sam grałem w szachy, więc zaciekało mnie, dlaczego nie powiedziała „szach i mat”, oznajmiając koniec gry, wkrótce jednak miałem się przekonać, że Lisa ma dla Doktora coś jeszcze w zanadrzu.

5 „Bocian i broń”.

ROZDZIAŁ 24

CZWARTA GODZINA PO ZDARZENIU

Liu lubi dramatyzować. Wiem, że opowiedział wam o swoim lęku z dzieciństwa. Dlaczego został tym, kim jest. Uważam, że to, co zrobił dla swojego brata, było absolutnie wspaniałe. Genialne. Kiedy mi o tym opowiedział, postanowiłam, że musi zostać moim dozgonnym przyjacielem.

Oczywiście rozwiązałabym sytuację z jego bratem Mozim w zupełnie inny sposób. Ale wytykanie mu błędów byłoby niegrzeczne. Poza tym należy bronić Liu, bo ma nadzwyczajne źrenice, czopki i pręciki, a także, jak podejrzewam, imponujące ciało migdałowate i hipokamp, z wyjątkowo rozwiniętym systemem połączeń. Obwód między tymi częściami mózgu u Liu to prawdopodobnie wielopasmowa autostrada, którą stale kursują wielkie neuronowe ciężarówki, przewożąc ogromne ładunki bodźców i doznań empirycznych. Przypuszczam, że jego wysoka ostrość widzenia w połączeniu z nieprzeciętnie dużym ciałem migdałowatym i hipokampem odpowiada za niesamowitą pamięć do szczegółów. Aby się upewnić, musiałabym mu rozłupać czaszkę i rozkroić oczy – nie wierzę w precyzję obrazu tomograficznego – ale nie zamierzam przeprowadzać sekcji. Przecież to mój przyjaciel.

Niemniej jednak, ratując Moziego, Liu wykazał się wielką wytrwałością, przebiegłością i heroizmem. No i wielkim opanowaniem. Kiedy opowiedział mi tę historię, uruchomiłam dla niego Miłość, Podziw i Przywiązanie. Ale na początku, gdy mnie uratował czy raczej pomógł mi się uratować, niczego nie uruchomiłam. Wykorzystałam go jako kolejny atut: agent Liu, atut nr 49.

Liu odwrócił uwagę Brada, otworzył drzwi zatopionego samochodu i pomógł mi schwytać pozostałych. Tak więc tamtego dnia okazał się dość pożyteczny. Kiedy nałożył kajdanki Doktorowi i Banalarzom, razem z Lolą – poproszono mnie, żebym tak nazywała partnerkę Liu – zawieźli mnie fordem pikapem do szpitala. Lola wcisnęła się pośrodku, bo mój brzuch nie mieścił się za dźwignią zmiany biegów. Siedzieliśmy przytuleni do siebie w ciasnej kabinie jak rodzina farmerska, która wybrała się po ziarno. Być może ze względu na okoliczności lepszym środkiem transportu byłaby karetka, ale agenci nie chcieli mnie powierzać nikomu innemu, zresztą ja też nie wsiadłabym do ambulansu.

Inni agenci zatrzymali tamtego farmera, Boyda, w domu „kuzyna Bobby’ego”, żeby go przesłuchać. Naprawdę podobało mi się to, co Boyd powiedział do Brada, kiedy wycelował mu w twarz przy kamieniołomie. Poprosiłam później babcię, żeby wyhaftowała mi jego monolog na poduszce,

i wyobraźcie sobie, że zważywszy na ponury obraz świata, jaki miała ze względu na swoje kryminały, i na niepohamowaną radość z powodu mojego ocalenia, poważnie zastanawiała się nad moją prośbą. zaproponowała żartem, że wyszyje to kursywą, fioletową nicią i ozdobi aplikacjami puszystych królików baraszkujących wśród kamieni w lesie, które miały ilustrować radę Boyda „śmigaj jak króliczek”. Ostatecznie jednak, tak jak się spodziewałam, babcia przy okazji naszej rozmowy próbowała mnie uczyć, jakie powinny być emocjonalne reakcje w bardzo stresowych sytuacjach. Skończyło się na tym, że ozdobiła poduszkę tylko królikami, a na odwrocie wyhaftowała napis „Kocham Cię”. Kocham babcię. Miłości do babci nie wyłączam nigdy.

Najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam na własne oczy – w każdym razie dotychczas – zdarzyła się zaledwie cztery godziny po tym, jak usmażyłam swojego dozorcę i złapałam w pułapkę jego współników. Krwawy widok Czwartej Godziny po Zdarzeniu umocnił mnie w postanowieniu, by dokonać jeszcze okrutniejszej zemsty. Potrójnej zemsty.

Gdy tylko przymknięto Doktora i Banalarzy, zostałam przyjęta do szpitala na obserwację. Agent Liu i Lola nie odstępowali mnie na krok. Teraz wiem, że Liu nie wyobrażał sobie, że mógłby być gdziekolwiek indziej. Niestety, byłam wtedy zaledwie jednym z czworga zaginionych dzieci, które odnalazł żywe – nie licząc Dorothy, ale wliczając jego brata. Wchodząc do mojej sali z colą i chipsami Fritos kupionymi w automacie, uśmiechnął się przepaszająco. Lola chodziła tam i z powrotem przy wejściu jak żądny krwi tygrys, broniąc mnie przed każdym, komu przyszłoby do głowy próbować ze mną rozmawiać. Naprawdę ją polubiłam. Bardzo spodobałaby się mojej matce.

– Cześć, policjantko – powiedział do mnie agent Liu. – Mówią, że masz się zupełnie dobrze.

– Tak, całkiem dobrze. Ale co z Dorothy? Mogę ją już zobaczyć?

– Z Dorothy jest gorzej. Gdybym miał cię do niej zaprowadzić, powinnaś być przygotowana. Rokowanie nie jest dobre.

– Przeżyje?

– Szczerze mówiąc, ma bardzo wysokie ciśnienie. Jest źle. Gdybym tylko znalazł was wcześniej.

– Tylko pan jej szukał?

– Niestety tak. Tylko ja i oczywiście moja partnerka. – Odwrócił głowę w stronę Loli, która coś burknęła.

– To smutne, agencie Liu.

– Kurwa, przecież to przestępstwo. – Umilkł, nadął policzki i głośno uwolnił sprężone powietrze. – Przepraszam. Nie powinienem przy tobie przeklinać.

– Niech się pan nie przejmuje. Właśnie zgrillowałam człowieka. Chyba jakoś zniosę kilka brzydkich słów.

Lola zachichotała, powtarzając bezgłośnie „zgrillowała”, jak gdyby zapisywała słowo w swoim wewnętrznym żargonie, żeby je później wykorzystać.

– Mogłabym pożyczyć trochę pieniędzy, dopóki nie przyjadą moi rodzice? Bardzo bym chciała coś kupić Dorothy.

– Co tylko sobie życzysz. – Wyjął portfel i podał mi dwie dwudziestodolarówki.

Liu i pielęgniarka pomogli mi usiąść na wózku, co uznałam za przykry i upokarzający pomysł. Nie pozwolono mi jednak chodzić po szpitalu, mimo że właśnie uciekłam z niewoli i uratowałam inną dziewczynę. Patrząc z perspektywy czasu, przypuszczam, że mieli rację. Byłam w dziewiątym miesiącu ciąży, poważnie odwodniona i wyczerpana, miałam ranę na twarzy i chyba rzeczywiście mogłam być osłabiona. Zgoda.

W sklepiku z pamiątkami kupiłam Dorothy puszysty bukietek w delikatnym różowym wazoniku, zestaw, który szalenie spodobałby się babci.

Kiedy Liu i ja wysiedliśmy z windy na drugim piętrze i ruszyliśmy korytarzem do sali Dorothy, zauważyłam kilku funkcjonariuszy policji stojących na straży przed drzwiami oraz, jak już teraz wiem, rodziców Dorothy i jej przybitego chłopaka – podobno wystąpił w wiadomościach razem z jej rodzicami, błagając świat, żeby pomógł odnaleźć ich ukochaną Dorothy. Dorothy porwano w jakiejś miejscowości w Illinois odległej o trzy godziny drogi od szpitala, mogli więc błyskawicznie pojawić się przy jej łóżku. Moi rodzice czekali jeszcze na samolot na lotnisku Logana w Bostonie. Lenny nie wybierał się z nimi w tę podróż; nie znosi samolotów. Zamierzałam zadzwonić do niego po odwiedzinach u Dorothy – nie znaczyło to, że go nie kocham. Wiedziałam, że zawsze mogę na niego liczyć. Żadne przyspieszone i łzawe spotkanie niczego by nie zmieniło.

Rodzice Dorothy podbiegli do mnie i zaczęli mnie ścis-kać, ze szlochom wyrażając mi swoją wdzięczność i ból. Chyba do dzisiaj czuję słony smak łez pani Salucci, które spłynęły mi po policzku do kącika suchych ust.

Ściskali mnie w korytarzu mocno i długo, uniemożliwiając mi zajrzenie do pokoju Dorothy.

Właśnie mieliśmy się rozdzielić, gdy krzyk Dorothy sprawił, że zamarliśmy spleceni ramionami, jednocześnie zagładając do sali jak trójgłowy smok.

W tym momencie oszczędzę wam szczegółów. To, co zobaczyłam, wyglądało zbyt makabrycznie i smutno, żeby to opisać. Odmalowując to szerokimi pociągnięciami pędzla, jakie można zobaczyć na wyblakłym ze starości i zakurzonym obrazie impresjonistycznym, powiem tylko, że dwadzieścia minut później wylała z siebie niemal całą krew i coś jeszcze, a potem w straszliwych cierpieniach umarła.

Powiedzieli, że miała łagodną postać stanu przedrzucawkowego i nic poważnego by się jej nie stało przy minimum opieki, którą ich zdaniem mógłby

zapewnić nawet ginekolog o niewielkich kwalifikacjach. Powiedzieli też, że w wyniku nieleczonego stanu przedrzucawkowego, ogromnego stresu i infekcji, której nabawiła się w niewoli, jej ciało zmieniło się w buzujący kocioł, który spalał ją od środka, powodując implozję skóry, organów, naczyń krwionośnych i życia, jej i dziecka.

Nie, żadne słowa nie mogą opisać tamtej chwili, ponieważ nie zobaczyłam krwi, ale samą istotę śmierci. Śmierci, której nie może oglądać żaden śmiertelnik, chyba że zostanie skazany i w swoich ostatnich chwilach znajdzie się w labiryncie luster. A tam będzie szalała śmierć zerwana z uwięzi, nieproszona i dumna, połykająca każde życie, które napotka w środku. Stojąc w korytarzu i zaglądając do sali, straciłam panowanie nad sobą na widok szalejącej śmierci. Sala Dorothy była obramowana pulsującą czernią. W tle bulgotała skóra. Na pierwszym planie płynęła rzeka czerwieni – rzeka, prawdziwa rzeka czerwieni – a scena wypełniała cały pokój. Nie było ani odrobiny światła, żadnej plamki bieli, żaden anioł ani żadna miłosierna ręka nie uniosła nawet rąbka tej czarnej ramy. Być może ktoś mnie odciągnął. Być może ktoś odskoczył, gdy roztrzaskałam wazon z piwoniami.

Być może ktoś mnie pociągnął, popchnął, powłókł przez korytarz, kiedy płakałam, miotałam się, broniłam, wymachiwałam pięściami i wrzeszczałam. Może ktoś chciał mnie uspokoić zastrzykiem w udo. Ktoś, ktokolwiek, każdy mógł to zrobić. Nie jestem pewna.

Ocknęłam się osiem godzin później posiniaczona i ochrypła, ze szwami na kostce po ranie od odłamka szkła, który podobno odbił się od podłogi podczas mojego wybuchu na widok śmierci. Przy łóżku stała moja matka i trzymała mnie za rękę; za nią stał ojciec, zaglądając jej przez ramię ze śladami łez na policzkach. Agent Liu i Lola chodzili tam i z powrotem przed drzwiami pokoju, odstraszać każdego, komu przyszłoby do głowy zbliżyć się do mojej sali.

Może tylko wyobrażam sobie ostatnie drgawki przedśmiertne Dorothy, nie wiem. Wiem tylko, że pierwszy obraz i jej krzyk to dla mnie wieczność.

Właśnie dlatego nie należy zwalniać przełącznika miłości, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

ROZDZIAŁ 25

PROCES

Wiedziałam o *mens rea* tyle, że mogłam być niebezpieczna. Mimo że matka uczestniczy w postępowaniach cywilnych i administracyjnych, zachowała podręcznik prawa karnego do egzaminu adwokackiego. Zafascynował mnie w nim rozdział o intencji przestępczej, czyli *mens rea*, świadomości popełnienia zabronionego czynu. Czytałam go, gdy miałam czternaście lat, potem znowu, gdy miałam piętnaście, a po tej całej gehennie jeszcze raz w wieku szesnastu lat. Obsesyjnie oglądałam *Prawo i porządek* i dokumentalne filmy o zbrodniach. Żeby zyskać gwarancję kary śmierci albo awaryjnie dożywocia bez możliwości zwolnienia warunkowego, musiałam się postarać, by w głowach przysięgłych nie było absolutnie żadnych wątpliwości, że Doktor – który jako jedyny stanął przed sądem – miał *mens rea*. Podobnie jak na moim dozorczy, plan zemsty na tym łajdaku miał potrójną asekurację. Rejestratorka przyjęła warunki ugody z oskarżeniem. Banalarze – też poszli na ugodę. A Brad? Brad to zupełnie inna historia, więc nie sprzedajmy faktów.

Jeżeli jesteś znawcą prawa, czytelniku, zapewne nie do końca rozumiesz, dlaczego władze federalne nie sądziły Doktora w procesie federalnym i dlaczego łupy wojenne trafiły do stanu Indiana. Naprawdę nie znam szczegółów, ale doszło do jakiejś wymiany między Liu, federalnymi a Indianą i w konsekwencji Indiana, która naszym zdaniem z największym zapałem gnębiła przestępców, dostała złoty klucz do potępienia.

W miarę jak upływały miesiące dzielące nas od procesu, Doktor stawał się jeszcze bardziej nikczemny; tylko on nie chciał przyjąć uciążliwych warunków ugody z oskarżeniem ani spróbować wejść na drogę Brada prowadzącą do nieustannego osądu, tak więc jako jedyny domagał się sądenia przez równych sobie. *Równych sobie?*, zastanawiałam się. *Jak może mieć kogoś równego sobie? Zabił Dorothy. Mógł ją uratować. Nie jest człowiekiem. Trudno go nawet porównać ze zwierzęciem. Jest niższą formą życia. Niczym. Ma znaleźć równych sobie?*

Nie pozwolono by mi wejść do aresztu Doktora z maczetą, więc pracowałam nad wyrokiem skazującym. Łatwo było udowodnić współdziałanie w porwaniu i usiłowanie zabójstwa – jedno i drugie to poważne przestępstwa – a ponieważ przy ich popełnieniu zginęli ludzie, za te czyny groziła mu kara śmierci. Na razie w porządku. Śmierć podczas popełnienia przestępstwa nastąpiła w wyniku zabójstwa, które można przypisać wszystkim współsprawcom, nawet jeżeli to nie

oni pociągnęli za spust, jak to się mówi, albo – w moim szczególnym przypadku – nie wpełchnęli denata do basenu w skrzyni łóżka, żeby się utopił i uległ porażeniu prądem, lub celowo nie zostawili samej sobie ciężarnej nastolatki i płodu, narażając ich na nieuniknioną śmierć.

Zgodnie z przewidywaniami Doktor utrzymywał, że do śmierci Dorothy i tak by doszło, niezależnie od przestępstwa, z którym „nie zachodził związek przyczynowy”. Tonący szczur chwyta się każdej drzazgi pływającej na powierzchni oceanu. Nie mogłam dopuścić do tego, by twierdzenie Doktora pozostało bez kontry, dlatego przygotowałam się do zeznania.

Sale rozpraw naprawdę wyglądają tak, jak pokazują je w telewizji. W tej, w której zeznawałam, ściany bez okien były wyłożone ciemnymi drewnianymi panelami do wysokości dwóch i pół metra. Wypełniało ją dziesięć rzędów ław dla publiczności, zainteresowanych sprawą krewnych, fanatyków sądowych, dziennikarzy i rysowników. Za nimi i wysoką do pasa bramką w balustradzie stały dwa duże stoły, lewy dla oskarżenia, prawy dla żalostnego dupka oskarżonego i jego obrony. Pośrodku na podwyższeniu znajdował się stół sędziowski, obok miejsce dla świadka, a przed nim stanowisko stenografa.

Proces Doktora odbył się pół roku po moim uwolnieniu, w naprawdę przyspieszonym trybie, kiedy już wróciłam do swojej sylwetki sprzed ciąży. W dniu, w którym wezwano mnie na głównego świadka, siedziałam w korytarzu na drewnianym krześle, takim z wycięciami na pośladki, i machałam nogami obutymi w eleganckie skórzane czółenka z paskami. Matka nie pozwoliła prokuratorom ubrać mnie jak jakieś biedne bezguście tylko po to, żeby wzbudzić współczucie przysięgłych. Powiedziała, że taki pokaz mógłby spowodować „odwrotne uprzedzenie” albo „odwrotną dyskryminację” i był przejawem „prawnego lenistwa”. Och, nie martwcie się, matka mocno trzymała w garści strategię oskarżenia i doskonale wiedziała, co robi. Nikt na sali rozpraw nie mógłby sobie wymarzyć lepszego prawnika.

Czarne buty ładnie pasowały do prostej czarnej sukienki z krótkimi kimonowymi rękawami, która miała dwie proste plisy biegnące od szwu w pasie. Oczywiście, że była na podszewce. Oczywiście, że była z Włoch. Oczywiście, że kosztowała fortunę. Matka pożyczyła mi parę najlepszych kolczyków z ogromnymi brylantami, stanowiącymi jedyną biżuterię, w jakiej pozwoliła mi wystąpić przed sądem, ku wielkiemu niezadowoleniu jednej z kiepsko odzianych prokuraterek, która chciała, żebym się pokazała ze sznurem niewinnych pereł.

– Perły? Perły? Wielkie nieba, kobieto, perły są dla nudnych studentek i niedocenianych żon. Perły nie są dla mojej córki. Zasługuje na coś lepszego. – Później matka powiedziała mi, że perły nadają się jeszcze dla puszczałskich idiotek, które nie znają się na stylu i uważają, że perły są w dobrym stylu, bo „Audrey Hepburn nosiła je w *Śniadaniu u Tiffany’ego*”. Sapnęła przez nos i dodała:

– Ale film to film, poza tym to Audrey Hepburn i jedyny taki przypadek w historii, kiedy perły były w porządku.

Tak więc gdy siedziałam na drewnianym sądowym krzeselku, ubrana w drogą czarną sukienkę, wyglądając trochę pogrzebowo, ale zamożnie, bez żadnych pereł na szyi, wywołano moje nazwisko i wezwano na salę rozpraw. Po drodze minęłam żonę Banalarza, która właśnie zeszła z miejsca dla świadków, eskortowana przez szeryfa. Oskarżenie zaproponowało jej ugodę w zamian za zeznanie przeciwko Doktorowi i też chciało ją stosownie ubrać, nalegało również, żeby nie wchodziła i nie wychodziła z sali rozpraw w kajdankach, chociaż odsiadywała wynegocjowany wyrok w areszcie stanowym. Prokuratorzy i matka nie chcieli, by jakikolwiek widoczny szczegół przypominał przysięgłym, że żona Banalarza jest przestępcą. „Równi Doktorowi” wiedzieli swoje.

Żona Banalarza minęła mnie i w tej zgrzebnej sali rozpraw wyglądała olśniewająco. Miała na sobie różową jedwabną bluzkę, czarną kaszmirową spódnicę, pończochy, czarne lakierowane czółenka i oczywiście perły. Duże, okrągłe, kosztowne perły. Miała starannie ułożoną fryzurę i makijaż, jak gdyby wybrała się na jakąś galę. Nie skończyła jeszcze czterdziestki, więc była młoda, a chociaż kryła w sobie demona, wyglądała na całkiem urodziwą z długimi kasztanowymi włosami, które upięła, żeby uwydatnić wysokie kości policzkowe. Nieskazitelne paznokcie zdobił ciemnowiśniowy lakier, obrączka miała co najmniej dwanaście karatów. Paradując przez salę z obojętną miną, wyprostowana jak struna, zadzierając nosa, kiedy przechodziła obok mnie, uśmiechnęła się drwiąco, jakby strzepywała mnie z wywatowanego ramienia.

Powstrzymałam się, żeby nie puścić oka do matki, która siedziała za prokuratorem stanowym, bo to ona przewidziała, że żona Banalarza to zrobi, i to ona nalegała, żebym weszła do sali dokładnie w tym momencie. Matka i ja spojrzaliśmy na przysięgłych. Zauważyłam, że też dostrzegli tę demonstrację wyższości. Jakiś schludny mężczyzna w włososowym swetrze powiedział bezgłośnie „cholera” i zapisał coś w notesie.

Manipulowanie takimi detalami, przewidywanie posunięć innych i rozpoznawanie osobowości, lepienie z tych szczegółów strategii sądowej – to właśnie żywioł prawników, którzy są po prostu mistrzami teatralnych chwytów. Reżyserami i odtwórcami głównych ról jednocześnie. Niewiele brakowało, żebym po tym doświadczeniu połknęła bakcyła i poszła na prawo, ale to okropne spędzać życie w tych pozbawionych okien trumnach, które nazywają salami rozpraw.

Znacie już całość moich kontaktów z Doktorem. Mówiłam wam, że pojawił się trzy razy w różne dni: raz sam, kiedy miał zimne palce i w ogóle się nie odzywał; raz z Banalarzem, gdy spędzili u mnie całą minutę i znowu prawie nic nie mówił; i ostatni raz, gdy bezceremonialnie wpakował we mnie głowicę USG, żeby pokazać Banalarzom moje dziecko, a do mojego dozorca zwracał się „Ronald”. To

wszystko. Nic o nim nie wiedziałam prócz tego, że doprowadził do śmierci Dorothy, nie chcąc jej leczyć. Nie wiedziałam nawet, jak wygląda, aż do dnia, w którym złapaliśmy go w potrzask przy szkole Appletree. Miał nadwagę, a wtedy przyjechał pijany, wymięty i rozczochrany. Miał na sobie mocno znoszoną kamizelkę i beżową koszulę z plamami potu pod pachami. Jednobarwny uniform dopełniały brązowe sztruksy. Wyglądał jak kłoda drewna. Kiedy Lola nakładała mu kajdanki, zauważyłam, że ma rozpięty rozporek. Gdy powiedziałam do niego „szach”, odchylił głowę, żebym mogła mu spojrzeć prosto w przekrwione oczy, a potem czknął.

Ale sześć miesięcy później, kiedy przez wahadłowe drzwi weszłam do sali rozpraw 2A i zdecydowanym krokiem skierowałam się do miejsca dla świadków, ujrzałam kompletnie odmienionego człowieka. Obrona ubrała go w prążkowany garnitur, białą koszulę i gustowny czerwony krawat. Można by go wziąć za bankiera albo polityka. Twarz miał gładko wygoloną, a włosy ułożone w fale i przygładzone żelam jak Superman. Szczerze mówiąc, gdybym nie wiedziała, że jest potworem, i gdybym wzięła poprawkę na wahania poziomu szalejących hormonów żeńskich, mogłabym się w nim nawet zadurzyć. Ale mając po lewej ławę przysięgłych, którzy nie widzieli mojej odwróconej twarzy, subtelnie puściłam do niego oko i poruszyłam brwiami, dając mu do zrozumienia, że kurtyna poszła w górę.

Zeszywniał, zrobił głęboki wdech i zgarbił się, chowając głowę w ramionach po same uszy; wyglądał jak kot przerażony pełnią księżyca.

Przypominam, że według linii obrony Doktora śmierć Dorothy i tak by nastąpiła, niezależnie od przestępstwa, z którym „nie zachodził związek przyczynowy”. Wiedziałam o tym wszystkim, ponieważ matka nie pozwoliła, by cokolwiek mi umknęło.

Zająłam miejsce dla świadków, skinęłam głową na powitanie życzliwej, ale stanowczej sędzi Rosen, która siedziała wyżej ode mnie na sędziowskim fotelu. Złożyłam przysięgę na Biblię, odpowiedziałam na pytania, kim jestem i gdzie mieszkam, udzieliłam kilku innych podstawowych informacji biograficznych, zidentyfikowałam Doktora jako człowieka, który mnie badał, a następnie dodałam brakujące składniki, których potrzebowało oskarżenie.

Spuściłam wzrok i pociągnęłam nosem w sposób, który, jak odkryłam, wywołuje łyzy. Kiedy miałam już wystarczająco wilgotne oczy, spojrzałam na życzliwą starszą panią na ławie przysięgłych i opowiedziałam, że Doktor dwukrotnie mówił do mojego strażnika: „Dorothy lepiej by było w szpitalu, ale gównu to kogo obchodzi. Przecież jak tylko urodzi, wrzucimy ją do kamieniołomu”. Okrasiałam to kłamstwo, zaznaczając, że za każdym razem, gdy to mówił, chichotał jak czarny charakter z kreskówki. I dorzuciłam jeszcze wisienkę, mówiąc, że powiedział też: „Przeczekajmy. Może się jej polepszy i z dzieckiem nic

się nie stanie, a będziemy mogli sprzedać dwoje dzieci. Jak nie, wrzucimy ich do kamieniołomu zgodnie z planem. Na pewno nie wyślemy jej do szpitala. Jeżeli będzie z nią coraz gorzej, przestań ją karmić”.

Doktor wrzasnął, przerywając mi zeznanie:

– To nieprawda. Całkowita nieprawda!

Skuliłam się na krześle i udałam strach, przygryzając wargę i wybałuszonymi oczami błagając dobrą sędzię, żeby mnie obroniła. Kap, kap, płynęły krokodyle łzy.

– Wysoki sędzie, to prawda. To prawda – chlipnęłam.

– Proszę usiąść i panować nad językiem na sali rozpraw! – zagrzmiała sędzia. – Jeszcze jeden taki wybuch, a uznam pana za winnego obrazy sądu. Rozumie pan?

Cisza.

– Rozumie pan?!

– Tak, wysoki sędzie – odparł Doktor, pochylił głowę i usiadł.

Po chwili jednak z krzesła poderwał się członek zespołu obrony i stół zaczął przypominać grę, w której wali się młotkiem w stworki wyskakujące z norki. Doktor poderwał się i usiadł, a zaraz potem poderwał się adwokat. Musiałam przygryźć policzek i utkwic wzrok w plamie wody na suficie, żeby nie wybuchnąć śmiechem na widok tego slapstickowego numeru. Powtórzyłam sztuczkę z oczami, żeby łzy mogły wciąż ściekać po mojej uroczej twarzą.

– Proszę o wybaczenie, wysoki sędzie, nie będziemy więcej przeszkadzać – obiecał obrońca.

Matka uprzedzała mnie, że tak będzie. Powiedziała, że w zeznaniu mogę mówić cokolwiek, bo obrona nie będzie miała ochoty zarzucić mi kłamstwa w obecności przysięgłych. Najwyżej wyrażą wątpliwość, czy dobrze zapamiętałam zdarzenia i szczegóły, ale nie oskarżą mnie o kłamstwo. Matka nie wiedziała wcześniej, że rzeczywiście będę kłamać. Nie chciałam zrzucić na jej barki tego ciężaru. Sama nie miałam kłopotów z jego udźwignięciem.

Mimo to pochwyciłam jej sceptyczne spojrzenie, które przerodziło się w lekki uśmiech dumy, gdy ze łzami zapewniałam sędzię, że zeznam prawdę. Matka wie, że nie płaczę, i już tysiąc razy słyszała opowieść o mojej niewoli, w której wspominałam niejasno, że słyszałam, jak Doktor coś mówił – ani razu nie wdawałam się jednak w szczegóły. Chciałam zostawić sobie możliwość poprowadzenia historii w stronę, w jaką będzie życzyło sobie oskarżenie. Tak więc matka wiedziała na tyle dużo, by sceptycznie odnieść się do mojej wersji.

Wszyscy się uspokoiли, a sędzia Rosen huknęła na prokuratora:

– Wobec tego proszę kontynuować. Słuchamy. Chcę, żebyśmy do czegoś doszli jeszcze przed przerwą. – Zwracając się do mnie, spytała: – Możemy kontynuować?

– Tak, wysoki sędzie – odrzekłam nieśmiało, choć z przekonaniem w głosie. Prokurator obrócił się na pięcie, wziął talerz i oznajmił:
– Dowód rzeczowy numer 77. – Talerz Wedgwood Dorothy.
– Tak, to ten talerz. Człowiek, który przynosił mi jedzenie, początkowo miał też jej talerz. Od razu zobaczyłam naklejoną na nim literę D. – Kłamstwo. Prokurator pokazał karteczkę z literą D, którą znalazłam w kuchni.
– Dowód rzeczowy numer 78.
– Tak, to ta karteczka. Pewnie najpierw przychodził z posiłkiem do mnie. Ale mniej więcej tydzień przed moją ucieczką już nie przynosił jej talerza, kiedy wchodził do mojego pokoju. Wcześniej obserwowałam go przez dziurkę od klucza, jak jadł właśnie z tego talerza. W śmieciach w łazience były kartki z literą D. Zjadał jej posiłki. – Kłamałam jak najęta. – Prawdopodobnie stosował się do zaleceń Doktora, żeby głodzić Dorothy. – To najprawdopodobniej też było kłamstwo.

Adwokat omal nie dostał ataku apopleksji, miotając jak przekleństwa sprzeciw wobec „domysłów” i „braku podstaw” i tak dalej, i tak dalej, ale zerkając kątem oka na zdumionych przysięgłych, wiedziałam, że już się stało. *Dzwon już bije*, powiedziało moje subtelne spojrzenie posłane Doktorowi, który robił notatki i głośno szeptał coś do swojego bezbronnego obrońcy.

Szach i mat, szmato.

Kłamałam bez litości i szlochałam na zawołanie. Troje przysięgłych, w tym jeden mężczyzna, płakało. To był fatalny dzień dla El Doctora. *Buu. Zgnij w piekle.* Nie mam wyrzutów sumienia z powodu fałszywego zeznania. Cała reszta była zgodna z prawdą, no i uważałam, że moje zeznanie jest prawdziwe. Jeżeli ubarwiając rzeczywistość, można doprowadzić do najsurowszego wyroku i uniknąć nikczemnej ugody, niech tak będzie. Sprawiedliwości stało się zadość. Oto głowa zbrodniarza, na porcelanie Wedgwood ozdobionej scenką rodzajową.

Przeszukano kamieniołom i wydobyto z niego zwłoki trzech dziewczyn i dwa płody. Ocalałe dziecko odnaleziono w Montanie, mieszkało u ludzi, którzy je kupili. Ich losy to zupełnie inna zawiła historia prawna. Doktor najgłośniej protestował przeciwko łączeniu go ze znaleziskiem w kamieniołomie i zaprzeczył, by miał związek z „dawnymi zabójstwami”. Twierdził, że poznał rejestratorkę w trakcie trwającego tydzień ciągu narkotycznego, podczas jednego z częstych imprezowych wyjazdów do Las Vegas, przez swojego bukmachera, któremu był winien okrągłe siedemdziesiąt tysięcy – z powodu uzależnienia od hazardu i kokainy. Z resztą szajki skontaktowała go właśnie rejestratorka – która sfalszowała swoje CV, żeby pracować w wiejskich przychodniach w całym kraju. Kobieta miała na oku Dorothy wiele miesięcy przed jej uprowadzeniem, biorąc pod uwagę fakt, że Dorothy wzorowo zgłosiła się do poradni, gdy tylko przestała miesiaćkować. Przestępcy pozwolili jej przesiedzieć w domu przez dużą część

cięży, a potem ją porwali, natomiast rejestratorka niestety przeniosła się wtedy do mojego miasteczka.

Doktor twierdził jednak, że „nie był zamieszany” w nic, co działo się przed przetrzymywaniem ani w trakcie przetrzymywania Dorothy w budynku szkoły.

– Sprowadzili mnie, bo spartaczyli kilka wcześniejszych cesarek. Być może sami przeprowadzali te operacje, nie wiem, a może mieli innego lekarza – wyjaśnił agentowi Liu.

Jak można się było spodziewać, na rozprawie powołał się na Piątą Poprawkę. Oskarżenie po przeprowadzeniu analizy jego poprzednich działań i zachowań przedstawiło nieprzekonujące dowody zaangażowania w działalność przestępczą w przeszłości. W związku z tym sędzia Rosen wyłączyła z materiału dowodowego informacje o zwłokach w kamieniołomie, ale nie o istnieniu kamieniołomu, ponieważ wspomniałam w zeznaniu o groźbach, że zostanę tam wrzucona. Poczciwa sędzia Rosen burknęła do prokuratora:

– Proszę mi to powiązać w logiczną całość i przedstawić nowy akt oskarżenia w sprawie pozostałych zabójstw.

Miałam pewne opory wobec budowy swojej misjonarskiej fikcji na tym poziomie, więc odmówiłam powiązania wszystkiego w logiczną całość. Mogłabym wprawdzie zeznać, że Doktor wspominał o „tamtych w kamieniołomie” i radził, by „wrzucić je tak jak tamte”. Miałam jednak wątpliwości co do jego związków z pozostałymi ofiarami, musiałam więc zaufać sprawiedliwości, że w końcu znajdzie sposób na wyjaśnienie tamtych spraw.

Jak się okazało, „D”, Dorothy, trzymano w niewoli tydzień dłużej niż mnie. Gdy detektywi przeszukali budynek szkoły, którą Brad kupił na licytacji po przejęciu nieruchomości w ramach egzekucji długów dwa lata wcześniej, znaleźli pojemnik na rzeczy znalezione oraz pokój nauczycielski. Domyślili się, że z pojemnika pochodził mój różowy piórnik, a druty i książki Dorothy z pokoju nauczycielskiego. Mieli też hipotezę, że zanim mnie przywieziono, Dorothy zrobiła na drutach czerwony koc, a mój dozorca go ukradł. Wolę wierzyć, że zrobiła go płonącymi palcami, z wściekłością nabierając kolejne oczka, by stworzyć broń do naszego arsenału.

Po co dozorca dawałby swojej ofierze druty? Przecież są ostre. Przecież można nimi zrobić krzywdę. Trzymałam w ramionach Dorothy i mogę was zapewnić, że była słaba; miała szczuplejsze ręce niż ja. Była też niska, miała najwyżej metr pięćdziesiąt pięć wzrostu. Co gorsza, paraliżował ją ból, przez który nie mogła zejść po schodach bez mojej pomocy. Można by sądzić, że myśl o ratunku wywoła przyływ adrenaliny, która pozwoli ci wykrzesać z siebie resztki sił. Nic podobnego. Dlatego nie, nasz strażnik na pewno się nie obawiał, że może użyć drutów przeciwko niemu. Poza tym był głupi.

Z przesłuchania Banalarzy poznaliśmy chory plan, zgodnie z którym

zostałam porwana jako zabezpieczenie, na wypadek gdyby Dorothy i jej dziecko nie przeżyli, a gdyby ocaleli, Banalarze mieli wychować oboje dzieci jako bliźnięta. W identycznie brzmiącym, przygotowanym przez prawników zeznaniu, podczas osobnych przesłuchań z uporem twierdzili:

– Przysięgamy, nie chcieliśmy śmierci tych dziewczyn. Powiedzieli nam, że zostaną odesłane z powrotem do domu.

Czy to umniejsza ich winę? Szef zespołu oskarżenia powiedział, że wyrok będzie łagodniejszy. Pokazał mi kodeks i próbował mnie przekonać, że zamiast kary śmierci może co najwyżej wnioskować o długie więzienie. Wylałam mu kawę do zlewu i poradziłam, żeby bardziej się postarał. Matka namawiała mnie, żebym mu dała spokój.

Wylałam do zlewu swoją czekoladę.

Mówiłam wam, że matka jest miękka. Nawet jeżeli miała rację.

Wydaje mi się, że z biegiem lat moje wybuchy łagodnieją. Mimo to czasami, ale tylko czasami, łapię się na tym, że czekam, żeby znowu się pojawiły. Muszę przyznać, że noszę w głowie dość ogólny plan, *czyli opracowałam go w formie harmonogramu działań, przygotowując naostrzoną broń i szczegółowy katalog atutów.*

Jeżeli chodzi o Doktora, byłam opętana żądzą zemsty, nieugięta i nienasycona. Spisek w imię sprawiedliwości nie narusza praw Matki Natury, choć może naruszać zbyt ogólne i haniebne prawa ustanowione przez ustawodawców.

Matka wzięła urlop. Wykorzystała wszystkie wpływy i zaciągnięte przez innych długi wdzięczności, żeby wyznaczono ją na zastępcę oskarżyciela. Prezesi, których uratowała przed więzieniem i którzy mieli synów senatorów, usunęli wszystkie wskazane przez nią przeszkody, jakie stały jej na drodze.

– Nie zamierzam pozwolić, żeby w tej sprawie zastępcą oskarżyciela był jakiś żółtodziób na państwowej pensji – oświadczyła. Miała diabła za skórą, tak jak ja.

Ćwiczyłam z nią, tuż przed rozpoczęciem procesu. Znowu znalazłyśmy się razem w jej domowym gabinecie; siedziała na swoim tronie, pochłonięta zamaszystym redagowaniem wniosków przedprocesowych złożonych przez prokuratora – wysuwają je obie strony, starając się wyłączyć z postępowania pewne dowody i argumenty. Ponieważ był początek grudnia i nasz dom w New Hampshire wyglądał jak z obrazka, od obficie nawoskowanej podłogi odbijała się tęcza barw rzucanych przez lampki bożonarodzeniowe, zawieszona na świeżo ściętej choince w korytarzu. W blasku reflektora za oknem pokoju widać było gęsto padający śnieg. Grzałam się przy ogniu trzaskającym w kominku, czekając, aż matka oderwie wzrok od masakrowanych projektów wniosków. Mój synek smacznie spał na górze, w mięciutkim body, które otulało jego jedwabistą skórę, z brzuszkiem wyдутym od mleka, i pomyślałam, że mógłby tak przespać całą

wieczność z uśmiechem najedzonego bobasa na pyzatyh policzkach.

Przyglądałam się matce. Bezlitośnie zaznaczała, kreśliła, zamasyście przewracała strony, wygłaszając pod nosem uwagi na temat twórczości prokuratora w rodzaju „brednie”, „na litość boską, co to ma być, do cholery?”, „kretynizm”, „Matko Przenajświętsza, co?”, „w ogóle wiesz, co to są przecinki?”, „serio?” i „będę chyba musiała napisać wszystko sama od początku”.

Kontynuowała swoją morderczą redakcję, a ja tymczasem wróciłam pamięcią do chwili, gdy siedziałam z Bradem w volkswagenie. Przypomniałam sobie przysięgę, że spróbuję zbliżyć się do matki. Odwracając się do ognia i wyciągając ręce bliżej ku płomieniom, kontynuowałam swoje macierzyńskie obserwacje. Patrząc, jak wodzi piórem Cross po tekście, przygryza wargę, rozpoczynając akapity, wykreśla je w całości, i zastanawiałam się: *czy mogę ją kochać? Otwarcie?*

Zwolniłam przełącznik Miłości do matki. I równocześnie przypominałam sobie, jak spróbowałam to zrobić dawno temu. Eksperyment nie zakończył się pomyślnie, nie przypuszczałam też, by tym razem było inaczej. Uczucie do niej było zbyt bolesne. Na szyi poczułam strużki potu, żołądek ścisnęła fala mdłości. Wydawało się, jak gdyby czyjaś ręka zaciskała się na moim sercu. Próbowałam dalej, ale w trakcie tych prób mięśnie stężały mi z niepokoju. *Kiedy znowu wyjedzie na następny proces i na jak długo? Czy w ogóle podniesie wzrok i zobaczy, że jestem w jej gabinecie? Oderwie się od pracy i poświęci mi trochę czasu? Może w coś ze mną zagra? Porozmawia ze mną o czymś ważnym? Opowie mi dowcip?*

Próbowałam dalej. I martwiłam się jeszcze bardziej. Mój niepokój objawił się głębokim wdechem, a potem zaczęłam płakać. W jej gabinecie. W jej obecności. Mojej miłości towarzyszył wstyd.

– Lisa, Lisa. Och, moja Liso. Co się stało?

Zerwała się z krzesła i podbiegła do mnie szybciej, niż gdybym rzuciła się w czeluść kominka, żeby się żywcem spalić. Obejmując mnie i całując w policzek, powtarzała:

– Lisa, Lisa, Lisa.

Nie wiem, czy sobie przypomniła tamten raz, gdy miałam osiem lat i podejmując taką samą próbę, zareagowałam w taki sam sposób – ale ja sobie przypominałam. Pamiętałam też, że wtedy zablokowałam przełącznik, a teraz obiecałam sobie zrobić to samo.

Chcąc jej przekazać, co naprawdę czuję, postanowiłam zostawić włączoną Miłość jeszcze przez chwilę, bojąc się, że wypuści mnie z objęć i wróci do pracy.

– Mamo, kocham cię – powiedziałam przez łzy. – Mam nadzieję, że o tym wiesz. To po prostu za bardzo bolesne, żeby...

– Lisa. – Uciszyła mnie, przytulając moją twarz do swojego ramienia w kaszmirowym swetrze. – Lisa, Lisa, Lisa. Jestem twoją matką. I chociaż serce mi

się kraje, że pozwalałam ci się traktować tak obojętnie, byłabym o wiele bardziej samolubna, gdybym cię prosiła, żebyś mnie otwarcie kochała. Rozumiem. Właśnie tego się nauczyłam, wychowując cię i dojrzewając przy tym. Rozumiem. Jesteś silniejsza, niż mogłabym sobie życzyć, i taka mi się podobasz. Staram się być taka jak ty, jesteś moim błyskiem nadziei, moją miłością. Jeżeli chcesz być silna, rób wszystko, co trzeba, żeby być jak najsilniejszą. Uratowałam mnie, uratowałaś siebie i chcę, żebyś zawsze była tym, kim jesteś. Jesteś doskonała. Doskonała. Jesteś dla mnie wszystkim. Niektórzy z nas muszą uciekać przed swoją przeszłością w papiery, skarbie. Niektórych z nas, a właściwie tylko ciebie, spotyka tyle szczęścia, że mają wyłączniki. Myślę, że to błogosławieństwo. Błogosławieństwo, skarbie. Kocham cię. Już cicho.

Pozwoliłam Miłości zamknąć słowa matki w tytanowym pancerzu, razem z jej czułym uściskiem, a potem ukryłam całą tę chwilę głęboko w sejfie pamięci i jeszcze przez kilka sekund kołysałam się z nią w blasku ognia. A kiedy się odsunęła, kładąc mi ręce na ramionach, żeby mi zajrzeć w oczy, wyłączyłam Miłość, ale pozostawiłam mocny głos – Wdzięczność.

Jeśli chodzi o moje działania w niewoli i zeznanie podczas rozprawy, byłam wtedy jeszcze dziewczyną, ale dzisiaj rozumiem, jak funkcjonował mój umysł, nawet jeżeli nie pojęłam racjonalnej podstawy swoich działań. Porywacz groził, że zabije albo odbierze mi dziecko, i zamierzał spełnić obie groźby. Dlatego zasłużył sobie na to, żeby zginąć z mojej ręki. Pozostali współwinni też zasłużyli na to, żeby zginąć albo zgnieć w więzieniu, poddani straszliwym torturom. Nie wstydzę się tego, że szukałam zemsty ani że musiałam w tym celu kłamać. Wstydzę się jednak, że nie dokonałam zemsty w bardziej skuteczny sposób, likwidując wszystkich za jednym zamachem. Chociaż miałam wspaniałe atuty, nie pozwoliły mi na taki luksus.

Najbardziej wstydzę się swojego żalnego braku poszanowania czasu. Zdarza się, że nie mogę spojrzeć na siebie w lustrze, wyrzucając sobie, że tak długo ćwiczyłam, by osiągnąć perfekcję, a powinnam zacząć działać wcześniej i uratować Dorothy.

ROZDZIAŁ 26

ADAPTOWANE WIĘZIENIA

Dziś, gdy mam trzydzieści trzy lata, siedzę w swoim laboratorium i podczas przerwy w badaniu odcisków palców piszę tę opowieść. Na biurku z surowego drewna stoi zdjęcie mojego syna, którego oznaczyłam... nie, żartuję, któremu dałam na imię Vantaggio, co, jeśli chcecie wiedzieć, po włosku oznacza „atut”. Pieszczotliwie nazywamy go Vanty. Ma siedemnaście lat. Jest piękny. Też jest naukowcem, dzięki Bogu (i jego czarnemu aniołowi-motyłowi).

Vanty niebawem powinien wrócić ze szkoły. Wpadnie z rykiem silnika na podjazd czarnym używanym audi, na które sam zaoszczędził. Wspaniale się prezentuje, gdy kroczy przez kampus szkoły średniej. Jestem pewna, że wszystkie dziewczyny w jego klasie i we wszystkich młodszych, nie wyłączając pierwszoklasistek, marzą o tym, by wtulić się w jego szyję i zanurzyć twarz w jasnych włosach. Nie obchodzi mnie jednak, jak bardzo podoba się reszcie świata; po lekcjach pracuje ze mną w laboratorium, więc lepiej niech szybko wraca do domu i nie zapomni wyjąć poczty ze skrzynki na początku długiego podjazdu. Zresztą nikt nie jest wart Vanty'ego. Wcale nie jestem stronnica. Staram się zachować obiektywizm. Jestem jego mamą. Dla niego byłabym gotowa zabić jeszcze nie raz, zawsze.

Nad czerwonym fotelem w rogu, obok komory dekontaminacyjnej, wisi oprawiony w ramki odłamek porcelany, który udało mi się ukraść, zanim ekipa kryminalistyki zebrała wszystkie do analizy. Na ocalonym fragmencie kostnej masy wciąż jest plama jego zbrązowiałej krwi, wolę myśleć, że zmieszana z krwią tego cholernego talerza, z którą połączyły się w piekle. Kiedy wyszłam za męża, zaledwie trzy lata temu, dokładnie zgodnie z planem sprzed siedemnastu lat, zapytano mnie, czy Lenny i ja chcielibyśmy w prezencie ślubnym dostać porcelanę. Tak się śmiałam, że nie mogłam oddychać. Lenny, wiedząc, że przelałam nienawiść do naczyń ze scenkami rodzajowymi na całą porcelanę wszelkiego rodzaju, odpowiedział ze śmiechem:

– Nie będziemy potrzebowali żadnej porcelany, dziękujemy.

Patrzę dziś na to oprawione dzieło zbrodni, myśląc o tym, co chcę jutro włożyć do kieszeni, jadąc z Liu na widzenie z Bradem w więzieniu.

Po tamtej gehennie moi rodzice ponownie zatrudnili moją nianię, obrończynię przed klątwą złego oka, niezawodną Gilme. Vanty urodził się w czerwcu, więc skończyłam ostatnią klasę szkoły średniej – z prywatnym nauczycielem, który przychodził do domu – a potem miałam całe lato, żeby go

tulić. Wiem, że mam wielkie szczęście. Naprawdę. Tylu innym dziewczynom losy ułożyły się gorzej. Na ich cześć zwalniam przełączniki uczucia wdzięczności i ulgi; te, które odpowiadają za strach, wyrzuty sumienia i niepewność, konsekwentnie blokuję. I chociaż na pewno cięża u nastolatki może wywołać różne oceny i komentarze, w tej opowieści nie chodzi o przeprosiny ani o morały w tym sensie.

Rodzice wydali mnóstwo pieniędzy na terapeutów rodzinnych i indywidualnych, dla mnie i dla siebie, i wspierali mnie we wszystkim. Miałam to szczęście, że darzyli mnie bezgraniczną miłością. Miałam też szczęście z innych powodów. Od samego początku zapewniali mi atuty nr 34 i 35, czyli ścisły umysł i wzgardę. Gdybym nie potrafiła oddzielić myśli od ciężkiego położenia, w jakim się znalazłam, i potraktować całego zdarzenia jako problemu naukowego, załamałabym się pod brzemieniem strachu. Gdybym nie uważała się za kogoś lepszego od tych nędznych kreatur, może nie poświęciłabym tylu godzin na przygotowanie im końca. Tych z was, którzy z powodu mojego niewzruszonego opanowania uważają mnie za socjopatkę, zapytam, co byście zrobili, gdyby jakiś człowiek przystawił lufę pistoletu do waszego dziecka i zagroził, że naciśnie spust. Być może chętnie przyjęlibyście moją postawę i determinację. Być może żałowałibyście, że nie macie mojego hartu i naukowego zacięcia. Na pewno wykorzystalibyście atuty na swój własny sposób i nie oceniam was za to, mam też nadzieję, że wy nie będziecie mnie oceniać. Przecież wszyscy szukamy sprawiedliwości na swój własny sposób. Ja robię to bez wyrzutów sumienia.

Moja pamiętna udręka zakończyła się już dawno temu, ale nigdy nie zatrze się w moich myślach. Będę trzymać ten rękopis pod kluczem, ponieważ obawiam się, że jego odnalezienie mogłoby doprowadzić do odwołania wyroków dożywocia, które udało się uzyskać. Banalarze zostaną zwolnieni w przyszłym roku i... powiedzmy, że jeśli chodzi o nich, zostały przygotowane pewne środki bezpieczeństwa.

Trzeba jeszcze wspomnieć o trzech sprawach. Po pierwsze, o moim mężu Lennym. Lenny jest moim najlepszym przyjacielem, odkąd skończyliśmy cztery lata. Dręczył się moim zniknięciem i błagał policję, żeby nie przerywała poszukiwań. „Ona wcale nie uciekła!”, krzyczał na nich. Organizował grupy poszukiwawcze i obserwacje, spędził wiele bezsennych nocy z moimi rodzicami, planując strategię akcji ratunkowej. Dzięki Lenny’emu miałam najlepszy ze wszystkich atutów: swój stan, który, jak na ironię, ściągnął na mnie całe nieszczęście. Lenny jest busolą naszej małej rodziny: mnie, Lenny’ego i Vanty’ego. Kojarzy mi się z nim kilka świetnych wersów ze świetnej piosenki. Właściwie to gitarowe partie Santany, a pomiędzy nimi słowa śpiewane przez Everlasta: „Anioł kładzie mi na głowie dłoń... w głębi duszy mojej mieszka mrok...”⁶.

Wciąż jest we mnie mrok. Co dzień, co chwila walczę z tą ciemnością,

zmagam się z przełącznikami. Aniołem, który kładzie mi dłoń na głowie, jest Lenny – czeka, aż ostygnę i porzucę nikczemne zamiary. Vanty być może też jest busolą, ale przy moim dojrzewającym Vantym trzeba pamiętać o innych rzeczach. Jeśli chodzi o zasady moralne, najbardziej polegamy – polegamy – na Lennym. To on pamięta, kiedy należy zadzwonić do krewnych z życzeniami urodzinowymi; to on zajmuje się rachunkami, naprawami w domu i obowiązkami życiowymi. Przed Vantym i mną stoją natomiast inne wymagania.

Po drugie, moja firma. Jestem właścicielem, prezesem, dyrektorem, najwyższą cesarżową i władczynią swojej własnej konsultingowej firmy badań kryminalistycznych. Mamy zlecenia od kancelarii prawnych, wydziałów policji, korporacji, zamożnych potentatów i miliarderów oraz kilku agencji federalnych, których nazw nie wolno mi ujawniać. Jedna z takich agencji odziedziczyła po FBI Lolę i właśnie w ten sposób dostaję dobre sprawy. Jak wspomniał Liu, ze względu na niekonwencjonalne metody Loli, jej oczywisty konflikt interesów spowodowany zlecaniem usług mojej firmie oraz status osoby zaangażowanej w „tajną i podziemną” działalność musimy w tej opowieści ukryć jej tożsamość. Czasem sprowadza tu nieoficjalnie podejrzanym, żeby przesłuchać ich w piwnicy. Wtedy zwykle włączam na bardzo wysokie obroty zielony mikser w firmowej kuchni, nie chcąc słuchać, jak uzyskuje od nich zeznania. Potem przynoszę jej świeżo upieczone ulubione ciastka z cukrowo-cynamonową skórką i przyglądam się, jak pochłania je w całości. Jedno po drugim.

Badam miejsca zdarzenia, analizuję próbki krwi, bawię się w metalurga, igrzm z chemikaliami, analizuję, znajduję rozwiązania, a czasem, tak jak dziś, porównuję odciski linii papilarnych, kiedy mój technik zachoruje. Zeznawałam w charakterze biegłego dla niezliczonych stron procesów w niezliczonych rozprawach. Cały budynek jest pełen iMaców z płaskimi ekranami, tych dużych. Zatrudniam absolwentów MIT i Berkeley, wyłącznie tych, którzy skończyli studia z wyróżnieniem, i kradnę najlepszych naukowców megakorporacjom i instytucjom rządowym, kusząc ich wysokim wynagrodzeniem i tanim rynkiem nieruchomości. Przyjęłam też do pracy bardzo dobrego konsultanta kadrowego, byłego agenta FBI, Rogera Liu. Jest o dwadzieścia pięć lat starszy ode mnie i oprócz mojego męża jest moim najlepszym przyjacielem pod słońcem. Przy zdrowych zmysłach utrzymuje nas jego żona Sandra, czytając nam scenariusze sitcomów, które pisze w biurze Rogera.

Mam w firmie tak zaawansowane urządzenia, że NASA mogłaby nabrać podejrzeń, iż producentami są kosmici, a opracowuję jeszcze lepsze, na które uzyskałam kilka patentów. Pobieram za nie horrendalne opłaty licencyjne od tych samych megakorporacji, którym kradnę uznanych naukowców. Jestem właścicielką siedziby przedsiębiorstwa, którą kupiłam za środki z funduszu powierniczego, założonego dla mnie przez babcię zaraz po moich narodzinach, do których

uzyskałam pełne prawo, gdy skończyłam dwadzieścia jeden lat. Wtedy od dobrych pięciu lat miałam już na oku właśnie ten budynek. Poprosiłam matkę o interwencję w bankach oraz u władz stanowych i federalnych, które wysuwały roszczenia do przejęcia tej wieloskrzydłowej budowli na rozległym terenie, obok sadu jabłoni. I obok kamieniołomu. Matka świetnie się spisała, skutecznie przekonując moich konkurentów, żeby się wstrzymali.

Wyremontowałam i wyposażałam od zera szkielet dawnej szkoły z internatem, która wznosi się nad zalatującym krowami pastwiskiem, a kiedyś miała kuchnię z długimi stalowymi stołami i czarną kuchenką. W Indianie. Tak jest, tej samej. W dwóch pokojach na trzecim piętrze w skrzydle numer jeden i skrzydle numer dwa urządziłam bliźniacze wiwaria, dodam, że niemalym kosztem. Hoduję tam egzotyczne trujące rośliny, w terrariach grzechotniki, drzewołazy i wszelkie występujące w naturze stworzenia, które mogą „zostawić ślad”. Nazwałam te atuty „Dorothy” i nadałam obydwu pomieszczeniom imię Dorothy M. Salucci.

Trujące i jadowite atuty mogą się kiedyś okazać konieczne, nigdy nie wiadomo. Gdybym kiedyś miała wyjaśnić przestępstwo z użyciem ich jadu na przykład. Albo gdyby ktoś jeszcze oprócz Doktora pomógł zabić trzy dziewczyny i dwoje nienarodzonych dzieci, a potem wrzucił do kamieniołomu. Kto wie...

W wiwariach imienia Dorothy M. Salucci drzemie niebezpieczna siła, tętni egzotyczne życie i tylko idiota wszedłby tam nieprzygotowany.

Kamieniołom dawno został wyczyszczony i osuszony. Zespół architektów krajobrazu zasypał pustą jamę kamieniami, a górne dwa i pół metra bogatym w witaminy, żyznym podłożem uprawowym. Od lat doglądam niezwykłego ogrodu różanego pośrodku lasu. Wśród kuszącej czerwieni, słonecznej żółci, delikatnego różu i specjalnych odmian czerni czai się mnóstwo kolców.

Gdybyście wyszli przed mój budynek, który już nie jest biały – został pomalowany na niebiesko – tuż poniżej trójkątnego okna zobaczylibyście szyld mojej firmy. Jest na nim napis „Spółka 15/33”.

Właśnie stoję na zewnątrz i patrzę na niego, gdy gruntową drogą nadjeżdża audi Vanty’ego, moim zdaniem o wiele za szybko. Nigdy, ani na milisekundę, nie wyłączam Miłości do Vanty’ego i dlatego wiecznie zadreżam się prawie wszystkim, co robi. Czy nie dostanie wstrząśnienia mózgu od faulu, kiedy będzie grał w koszykówkę? Czy gdyby jego najlepszy przyjaciel przeniósł się do innej szkoły, Vanty zaprzyjaźniłby się z kimś innym? Czy gdy wychodzi gdzieś beze mnie i miałby ochotę zjeść hot doga, winogrona, garść popcornu czy inny śmiercionośny przysmak, ktoś będzie potrafił założyć mu chwyt Heimlicha, gdyby się udławił? W naszym domu kurs tej techniki jest obowiązkowy i prowadzi go wykwalifikowany ratownik, któremu płacę, by przychodził raz na kwartał. Ćwiczeń nigdy za wiele.

Vanty wysiada z samochodu, łapie plecak i uśmiecha się do mnie zaciśniętymi ustami. W moich oczach wygląda jak dziesięciolatek, mimo że ma skończone siedemnaście lat. Pragnę tylko ucałować go w kremowe policzki, znów dotknąć brzoskwiniowej cery niemowlaka, którą zawsze wyczują moje matczyne wargi, bez względu na upływ lat i liczbę zmarszczek na jego twarzy.

– Vanty, mój słodki syneczku – mówię.

– Mamo, mam siedemnaście lat.

– No i co z tego? – odpowiadam, wracając do swojego typowego beznamiętnego wcielenia, żeby, mijając mnie, przystanął i przestał się ode mnie oddalać. – Słuchaj, dzwonił Hal, jest chory, więc mamy górę odcisków palców do zbadania. Przygotujesz mi preparaty z tej sprawy na uniwersytecie. Zajmę się tym dopiero późnym wieczorem.

– Dobrze, mamo – mówi, poklepując mnie lekko po ramieniu i cmokając w policzek, jak gdyby analiza śladów kryminalistycznych z miejsc poważnych przestępstw była najmniej istotnym zadaniem w jego radosnym i beztroskim życiu chłopca z okładki.

Gdyby którykolwiek z moich pracowników tak nonszalancko potraktował próbki ziemi pochodzące z miejsca zabójstwa, które popełniono w kampusie jednego z najznamienitszych uniwersytetów – podpowiem, że znajduje się w Cambridge w Massachusetts, a jego nazwa zaczyna się na H – prawdopodobnie zmroziłabym go wzrokiem, by zadrżał i wykrztusił przeprosiny. Ale to Vanty. A Vanty ma pewną wyjątkową cechę, swój własny atut. Taki, który działa nie tylko na mnie, jego wiecznie udręczoną matkę. Działa na wszystkich, których spotyka. Każdego potrafi omotać niczym charyzmatyczny megaloman. Kiedyś poszliśmy na zakupy i towarzyszył nam jego mały kolega Franky. Chłopcy mieli po dziesięć lat. Franky wsunął do kieszeni baton 3 Musketeers, czego ani ja, ani Vanty nie zauważyliśmy. Gdy rozdzwonił się alarm i ochroniarz zatrzymał nas na parking, to Vanty opanował sytuację, nie ja. Ochroniarz krzyczał, Franky płakał, batonik upadł na asfalt, a Vanty podszedł do nich, podniósł baton, podał go ochroniarzowi i bez cienia dziecięcego wdzięku, ale i bez cienia protekcyjności, zaczął z nim rozmawiać jak równy z równym, tonem osoby tak samo rozwiniętej pod względem intelektualnym. Pracownik ochrony miał na piersi identyfikator „Todd X”.

– Todd, bardzo przepraszam. Franky to mój kolega, a mama i ja właśnie próbujemy go trochę pocieszyć. Wczoraj umarła jego babcia, a ona najbardziej lubiła Muske-teers, prawda, Franky? Tak mi się wydaje. Mam rację, Franky? Co ty chciałeś zrobić, włożyć jej batonik do trumny?

Gdyby jakiegokolwiek inne dziecko w tym wieku wygłosiło tę samą kwestię, wyszłoby na obrzydliwego nudziarza. Ale Vanty... trudno to wyjaśnić, powiedział to w taki sposób, jakby znał Todda przez całe życie i uważał go za osobę zasługującą na szacunek, taki sam, na jaki on zasługiwał. Wydaje mi się, że Vanty

daje każdemu poczucie równości, i staram się tego uczyć, pilnie przyglądając się stosowanym przez niego technikom. Świadomość równości neutralizuje ludzi, a potem usidla. Przypuszczam, że ten numer działa na ich ego, a gdy już zadziała, ludzie ulegają urodzie Vanty'ego, jeszcze bardziej podbudowując własne ego, ciesząc się, że ktoś tak piękny poświęcił czas, aby z nimi porozmawiać.

Skończyło się na tym, że Todd zapłacił za batonik.

Nigdy nie poradziłabym sobie z tym tak jak on – Vanty jest jak stopiona czekolada na babce, słodka polewa idealnie pokrywająca całe ciasto.

Czy złościłam się na niego za to, że skłamał? Nie. Są problemy. I są rozwiązania. Problemy i rozwiązania. Gdyby był z nami Lenny, być może nasza busola moralna wskazałaby inny kierunek. Ale ponieważ go nie było, przyjęliśmy rozwiązanie Vanty'ego. Zagraliśmy *va banque*.

Czy Vanty jest krętaczem? Nie sądzę, ale go obserwuję. I się martwię. Wprawdzie jest kochającym synem, ale chcę mieć pewność.

Vanty i ja mamy swoje dwa odwieczne prywatne żarty. I miliony żartów, które mają znacznie krótszy żywot. Często się śmiejemy. Od wczesnego dzieciństwa Vanty'ego siadam w jego pokoju i zanim zwinie się do snu, czytam mu albo z nim rozmawiam. Nie mam wątpliwości, że Lenny, przykładając ucho do ściany oddzielającej nasz pokój od pokoju Vanty'ego, słucha naszych rozmów na poważne tematy albo radosnych chichotów. Świadomość, że to sprawia przyjemność mojemu mężowi, sprawia przyjemność mnie. Przecież to anioł, który kładzie mi dłoń na głowie.

Pierwszy z naszych odwiecznych żartów polega na tym, że przed wieczornym czytaniem określam dowolny czas czytania i ustawiam alarm, który po wyznaczonym limicie wibruje mi w kieszeni. Na przykład: „Będę czytać dwadzieścia jeden i pół minuty”. Kiedy włącza się alarm, przestaję czytać, udaję, że traktuję swoją zapowiedź dosłownie, i zamykam książkę, zawsze urywając w środku sceny, w połowie zdania albo przed dokończeniem myśli, nie pozwalając Vanty'emu posłuchać reszty. Pierwszy raz to zrobiłam, gdy miał pięć lat, a on był tak pochłonięty akcją książki, że zaczął płakać, ponieważ myślał, że każe mu czekać do następnego wieczoru. I chociaż tylko żartowałam, że kończę czytać, odetchnęłam z ogromną ulgą, widząc, że mój synek głęboko przeżywa opowieść, która potrafi doprowadzić go do prawdziwych łez. Oznaczało to, że różni się ode mnie. Że nie będzie odizolowany od świata jak ja. Kiedy następnym razem przerwałam czytanie opowiadania, bo odezwał się alarm, Vanty zaśmiał się z mojego kiepskiego żartu, z tego, jak wszystko dosłownie traktuję, co zresztą często naprawdę mi się zarzuca, bo zrozumiał, że kpię sama z siebie. Dlatego wybuchnął śmiechem. Ja też się roześmiałam. Śmiejemy się za każdym razem. Mam nadzieję, że nasz prywatny żart nadal będzie nas bawił, gdy skończę sześćdziesiąt lat i Vanty będzie do mnie przyjeżdżał z moimi wnukami.

Nasz drugi odwieczny żart polega na tym, że w publicznych sytuacjach mówimy udawaną francuszczyzną. Z powodu rozbijającej charyzmy Vanty'ego ludzie jednak wierzą, że chłopak naprawdę mówi po francusku. Do tego stopnia, że jakaś Francuzka spytała go kiedyś łamaną angielszczyzną, z której pochodzi prowincji! Choć uwielbiam odgrywać z Vantym ten numer, bo bardzo nas bawi i wzmacnia więzi w naszym własnym świecie, to niepokój zaczęły we mnie budzić jego nadzwyczaj wysokie umiejętności społeczne; martwiłam się, że z ich powodu stanie się człowiekiem osobnym, odizolowanym od świata jak ja, tyle że w inny sposób. Naprawdę nie wiem, do czego doprowadzi go ten talent, co oznacza, czy jest dobry, czy zły. Jeśli chodzi o Vanty'ego, staram się nie paść ofiarą swojej skłonności do szufladkowania i układania wszystkiego i wszystkich w równiutkich czarnych i białych przegródkach; próbuję wręcz pozwolić mu na naturalny, organiczny rozwój. Zastanawiam się jednak, czy nie należałoby poskromić albo poprawić niektórych aspektów jego osobowości. Czy to dobrze, że odczytuje język ciała z taką swobodą, z jaką oddycha powietrzem? Czy to normalne, że potrafi uciszyć klasę, przechodząc korytarzem i zaglądając do sali? Czy dyrektorka nie mówiła mi wczoraj, że jej „komitet doradczy” składa się z przewodniczącego komitetu rodzicielskiego, kuratora i Vanty'ego?

Mimo wyjątkowych umiejętności interpersonalnych Vanty'ego to Lenny w naszej trójce pamięta o urodzinach członków rodziny, potrafi kupić odpowiednie prezenty na Boże Narodzenie dziadkom i znajomym. Można powiedzieć, że Vanty nie wychodzi naprzeciw ludziom, tylko przyciąga ich do siebie. Zaczynam się martwić, że to nieco groźna, choć użyteczna cecha. A może po prostu mam obsesję na punkcie wszystkiego, co mogłoby kiedyś skrzywdzić mojego najdroższego synka, podczas gdy on ma się całkiem dobrze. *Czy kiedykolwiek poczuję się odprężona i spokojna w jego obecności i podczas nieobecności? Stoi teraz przede mną i patrzy na mnie czule, przewracając oczami z udawanym rozdrażnieniem.*

– Właż i przygotuj mi te preparaty. Jeżeli masz jakieś zadanie domowe, lepiej odrób je od razu, cwaniaczkę. Mamy mnóstwo roboty. Aha, na kolację będą domowe burritos – w wykonaniu taty. Chyba znowu udało ci się postawić na swoim, bo mówiłam mu, że jeżeli jeszcze raz zrobi te cholerne futbolówki, to wolę głodować. – Vanty zaczyna się oddalać, ale go zatrzymuję, chcąc, żeby jeszcze chwilę stał przede mną. – Aha, a jutro przyjeżdża prababcia z Savannah, więc postaraj się jakoś ogarnąć tę norę, którą nazywasz swoją sypialnią – dodaje, zaganiając go do środka. – Jeżeli chcesz dzisiaj pogadać o *Stu latach samotności*, możemy pogadać. Poczytam ci mój ulubiony fragment przez minutę i sześć sekund.

– *Že ne se in kła e tła* – odpowiada bardzo przekonującym udawanym francuskim.

– Tak, też cię kocham. Leć.

Patrzę, jak do siedziby „15/33” wchodzi mój piękny i beztroski syn, który

jednak może budzić lęk. Zaczynam obrywać zwiędłe fioletowe kwiaty petunii w niebieskich donicach przy wejściu, by opanować drżenie podbródka. *W przyszłym roku pójdzie do college'u, powtarzam sobie w myśli.*

Można kogoś kochać tak mocno, że sam jego widok potrafi wywołać głęboki smutek. Tak właśnie jest, gdy się ma dziecko.

* * *

Mówiłam, że trzeba wspomnieć o trzech sprawach. O Lennym. Mojej firmie. A na koniec na pewno o najmniej ważnej, czyli o Bradzie.

Vanty, Lenny i babcia to jedyne osoby, dla których zawsze mam włączoną Miłość, ani na moment nie przestawiam jej na „zero”. Dla innych czasem ją włączam. Są też tacy, którym nie użyczam ani odrobiny Miłości, za to mam dla nich ogromną, bezdenną nienawiść, niepozbawioną nawet instynktów morderczych. Gdyby nie anielski dotyk Lenny'ego na mojej głowie, zabrakłoby na naszej planecie jeszcze kilku osób.

W „15/33” zaczyna się nowy dzień. Ostatni raz wyglądam ten rękopis, a potem zamykam na klucz, by został otwarty i ujawniony światu po mojej śmierci, a tymczasem przed budynek podjeżdża Liu z żoną, która wyskakuje z forda F-150, jedynego samochodu, jakim Liu może jeździć. To chyba czwarty wóz tego modelu, odkąd go poznałam. Sandra stroi do niego śmieszne miny, dopytując się, która najlepiej pokazuje reakcję na spożycie „syf-burdera”. Jak co dzień pracuje nad nowym skeczem.

Moim zdaniem człowiek jedzący syf-burdera wyglądałby jak kot, który krztusi się kłaczkiem sierści, kiedy więc Sandra staje w czerwonych drzwiach kuchni, najlepiej, jak potrafię, udaję kaszłającego kota, któremu włosy dostały się do gardła. Mój kot, Stewie Poe, na widok mojej błazenady miauczy z dezaprobatą. Rozciągając w całej okazałości swoje obwisłe brzuszysko, leniwym gestem wyciąga przed siebie łapę, zły, że przerwałam mu pierwszą z trzydziestu drzemek, jakich co dzień zażywa. Wyleguje się na turkusowym dywaniku przed lazurowym kredensem, jak najbliżej swojej miski, niczym faraon w obszernym szarym futrze. Stewie to naprawdę upierdliwe stworzenie, skacze mi na twarz, kiedy śpię, głośno domaga się siekanych filetów i białego tuńczyka zamiast zwykłej kocięj karmy. Zresztą sama jestem temu winna. Zawsze z głębokim podziwem przyglądałam się, jak umiejętnie koty potrafią okazać niesmak do niemal wszystkiego, jak nonszalancko lekceważą nawet rękę, która je karmi. Dlatego spełniam w zasadzie wszystkie zachcianki Stewiego. Za to w odwecie każę mu nosić różowe dzwoneczki na fioletowej obroży.

– Hej, jesteś gotowa? – pyta Liu, stojąc obok samochodu, którego silnik ciągle pracuje.

– Aha, podoba mi się. Zrób tak jeszcze raz – prosi Sandra, która staje

w drzwiach kuchni i z uznaniem przygląda się mojej syf-burgerowej minie.

– Chwileczkę, Liu, tylko wezmę kurtkę – wołam i łapię białą kurtkę safari z czerwonego kołka przy drzwiach, równocześnie jeszcze raz demonstrując Sandrze mój wyraz twarzy, w nadziei, że faktycznie wygląda zabawnie.

– Świetnie. Właśnie tak to zapiszę w scenariuszu. Tylko nie bądźcie dzisiaj zbyt bezlitośni – dodaje, nalewając kubek kawy z dzbanka, który zaparzyłam specjalnie dla niej. Kuca, by pogłodzić tłuste podgardle Stewiego, po czym rusza do swojego gabinetu do pracy.

Wychodzę tyłem z kuchni, przyglądając się Sandrze i wciąż artystycznie wykrzywiając twarz, a potem wskakuję do samochodu Liu.

– Powiedziała, żebyśmy nie byli zbyt bezlitośni – mówię.

Liu kiwa nosem i powstrzymuje uśmiech.

Dzisiaj postaramy się nie mieć żadnej litości.

– Aha, jasne – przytakuję.

Liu zbliża się już do sześćdziesiątki. Ma gęstą czuprynę siwych włosów. Nadal ćwiczy, jak gdyby otrzymał od władz federalnych ważne zadanie, które wymagało ścigania po lasach królów kidnapingu, dlatego zachował gibkość i dobrą formę; gdy skręca kierownicą pikapa, wyraźnie napinają się mięśnie przedramion.

Wiem, o czym myśli, ponieważ myślę o tym samym. O pace samochodu, takiego jak ten, na której siedemnaście lat temu Brad, intensywnie pracując zębami i językiem, zsunął kneblującą go apaszkę i aby uniknąć kary, ukląkł i z rękami skutymi z tyłu i nogami przywiązanymi do haka próbował zassać benzynę przez lejek stojącego tam kanistra. Lola wyczuła zapach benzyny, a Liu podbiegł do Brada i trzasnął go w twarz tak mocno, że zdawało się nam, iż złamał mu szczękę. Właśnie szkicowaliśmy plan złapania Doktora i Banalarzy, stojąc w kole przed maską forda, gdy na szczęście przez zimne powietrze jak woda stalową rynną napłynęła gryząca woń paliwa. Gdyby Bradowi udało się zejść z tego świata, musiałabym poczekać na własną śmierć, żeby wkroczyć do piekła i dopiero tam poddać go torturom. Na szczęście nie muszę czekać.

W ciągu siedemnastu lat Liu i ja odbyliśmy tę podróż już dwa razy. Ten jest trzeci. Musimy tam jechać, ilekroć Brad błaga o łaskę i próbuje wyżebrać coś u rady do spraw zwolnień warunkowych. Czasami trzeba mu przypominać, co go czeka na wolności i jakie ma szczęście, że torturują go za kratami. Liu i ja mamy przyjaciół w więziennictwie stanowym Indiany, a także dożywotnich informatorów, którym być może wyświadczyliśmy pewne przysługi. Dlatego wiemy wszystko. Dosłownie wszystko.

Wtedy, na platformie pikapa, zawarliśmy z Bradem układ: jeżeli nie będzie próbował rozstać się z życiem, nie będziemy żądać kary śmierci. Spędzi resztę życia w więzieniu stanowym, ale pod naszym nieoficjalnym nadzorem. W tamtej chwili, tuż po schwytaniu, Brada najbardziej przerażała nie perspektywa śmierci,

ale czekania na egzekucję; ta kara z pewnością byłaby dla niego dotkliwa, przypomnijcie sobie wszystkie młode ciała w kamieniołomie. Kiedy przedstawiliśmy mu naszą propozycję, błysnęła w nim słaba iskierka, płomycek nadziei, który wystarczył, by obudzić w nim chęć do życia, a właśnie o to nam chodziło. Można powiedzieć, że Brad przyjął nasze warunki bardzo nietypowej ugody, w związku z czym specjalne więzienie w Indianie, w którym teraz gnije Brad, zostało zaadaptowane do moich własnych potrzeb.

Nie trzeba było długo przekonywać Liu, aby mi pomógł w długofalowym planie nękania Brada. Po trzeciej nieudanej próbie samobójczej swojego brata Moziego pięć lat temu stał się jeszcze bardziej zawzięty. Czasami martwię się o Liu, zastanawiam się, jak sobie poradzi, pracując całą noc nad zleconą nam sprawą – ale szybko wyłączam wszystkie troski, gdy wchodzę do biura, które dzieli z Sandrą, i widzę ją tuż obok niego, jak rysuje jego karykatury ze zmarszczonym czołem. Niektórzy akceptują swój los i cierpliwie go znoszą, a część z nich zostaje nagrodzona dobrym partnerem, który pomoże im się wspiąć na każde drzewo, by mogli odnaleźć i wyplenić wszystkie demony.

Wjeżdżamy na parking dla odwiedzających przy naszym własnym więzieniu w Indianie. Pokazujemy dokumenty i przepustki, przez chwilę gawędzimy z naszymi znajomymi na wieży strażniczej i w dyżurkach, a potem ruszamy korytarzami do sali widzeń. Nie zdejmuję kurtki i nie rozpinam żadnych kieszeni, w których chowam prezent dla Brada.

Sala widzeń to okropny betonowy kwadrat pomalowany na miętowo. Jasna miętowa zieleń, najobrzydliwszy i najtańszy kolor, na jaki stać władze stanowe z trudem dopinające budżet. Mnie nie przeszkadza. Nie chcę, żeby stan wydawał pieniądze z moich podatków na tworzenie domowej atmosfery w pudle. Moim zdaniem groźba przebywania w otoczeniu tak ohydnej barwy powinna skutecznie odstraszać każdego od popełnienia przestępstwa.

Prostokątne okna, zakratowane i osłonięte drucianą siatką, znajdują się trzy metry nad wyłożoną linoleum podłogą. W pomieszczeniu stoi około dziesięciu kwadratowych stolików. Jeden z nich zajmuje kobieta po sześćdziesiątce ubrana w ręcznie robiony czarny sweter i nerwowo mnie w rękach chusteczkę, ani razu nie patrząc na mnie i Liu. Wygląda uroczo, jak babcia szydełkująca na ławce w parku. Przypuszczam, że czeka na syna, który sprawił jej ogromny zawód. Przy innym stoliku, zgarbiona i z rękami założonymi na piersi, siedzi kobieta w wieku trzydziestu kilku lat, ale o skrzywionych, zniszczonych i spękanych ustach sześćdziesięcioletniej palaczki. Sprawia wrażenie twardej, jak gdyby sama miała na koncie niejedną zbrodnię, i mogłabym przysiąc, że zamierza mi powyrywać włosy z głowy. Gdy zauważam błękitne jak lód oczy, zastanawiam się, jakim cudem dziewczyna, która mogła być przepiękna, postanowiła rzucić wszystko dla jakiegoś dupka w pudle. Mam ochotę z nią porozmawiać, zapytać, dlaczego tyle pali, czy

jako rozsądna osoba tego nie widzi. Powstrzymuję się jednak, przypominając sobie, żeby nie oceniać. *Wszyscy mamy swoje problemy i demony do pokonania, ale nie wszyscy możemy liczyć na takie samo wsparcie*, powtarzam sobie to, co często mówiła mi babcia – ucząc mnie spojrzenia z dystansu.

Otwierają się zakratowane drzwi i do sali wchodzi trzech mężczyzn w kajdankach, a za nimi pięciu strażników, którzy otaczają pomieszczenie, trzymając dłonie w pogotowiu blisko broni na pasach.

– Och, skarbie – łąka kobieta w czarnym swetrze, podnosząc się, by uściskać neonazistę z wytatuowanym na twarzy krzyżem. Kiedy wstaje, podwija się brzeg jej swetra, ukazując wytatuowaną nad talią flagę Konfederacji.

– Cześć, tato – mówi błękitnooka do siwowłosego mężczyzny o identycznych oczach barwy lodowca. Wtulona twarzą w jego ramię, z płaczem powtarza: – Tato, tato, tato... – najwyraźniej czekając na odwzajemnienie uścisku, którego się jednak nie doczeka, ponieważ tato ma ręce nadal skute za plecami.

Nie oceniaj po pierwszych wrażeniach. Zawsze przyjrzyj się uważniej, mówię sobie. Każdy człowiek to zagadka. Stereotypy rzadko potwierdzają się w stu procentach.

Na widok Liu i mnie Brad próbuje się wycofać z sali widzeń.

– Siadaj – burkliwie rozkazuje strażnik, popychając Brada na krzesło w rogu, z dala od nastawionych uszu państwa Rasistów oraz ojca i córki Błękitnookich.

Liu i ja siadamy naprzeciwko Brada i w odpowiedzi na jego ciężki zdenerwowany oddech szeroko się uśmiechamy. Czas nie obszedł się łaskawie z naszym dandysem Bradem. Kiedy trafił za kraty, miał czterdzieści trzy lata, czyli teraz ma sześćdziesiąt. Można było dostrzec wytworne zakola i lekko zarysowany męski brzusek, lecz wyglądał nieskazitelnie, był ogolony, wypomadowany, wymuskany, wypielęgowany pod każdym względem. Ideal w każdym calu, jak wymarzona narzeczona na rajskiej plaży. Dzisiaj Brad przypomina wyschnięte winogrono. Przez te lata stracił ze dwadzieścia kilogramów, nie dzięki ćwiczeniom, ale z powodu nieustannego stresu, być może wywołanego przeze mnie.

Pomarańczowy kombinezon wisi na jego wychudzonej sylwetce jak koc na dwulatku. Czaszka jest kompletnie łysa, choć przykryta włóczkową żółtą czapką. Paznokcie ma opiłowane, ale niewypielęgowane, a ciemne i matowe protezy zębów cuchną.

– Twój chłopak zrobił ci tę czapeczkę? – pytam drwiąco, zerkając na idiotyczne nakrycie głowy.

– Ta sama wredna panterza suczka.

Kładę dłoń na kolanie Liu, aby nie zerwał się z krzesła i nie uderzył Brada.

– Och, Brad, całkiem sympatyczna. Rozumiem, że musisz ją nosić. Harkin pewnie by się zdenerwował, gdyby pomyślał, że ci się nie podoba.

Strażnik, który wepchnął Brada do sali, parska śmiechem.

Brad odwraca się do niego.

– Hi, hi, hi, barania gębo.

– Uważaj, Brad. Będziesz tu siedział i słuchał, dopóki zechcę. A czapka jest do niczego. Harkin za cholere nie umie robić na drutach. Powiem mu, że tak mówiłeś – ostrzega spokojnie strażnik.

Brad odwraca się do nas z powrotem, wyraźnie stropiony, ponieważ strażnik zapędził go w kozi róg.

Harkin jest właścicielem Brada. Kupił go za tysiąc dolarów, które przemyciłam przez jednego ze strażników. Harkin to wyjątkowo brutalny więzień, który przed przeniesieniem z innego zakładu udusił trzech swoich „kochanków”. Odsiaduje dziesięciokrotne dożywocie za zamordowanie siekierą wszystkich dziesięciu członków konkurencyjnego gangu motocyklowego. Zabił ich, gdy spali, nie oszczędził też ich zwierzaków. Harkin, ważący sto sześćdziesiąt kilogramów przy dwóch metrach piętnastu centymetrach wzrostu, jest wielkoludem wśród więźniów. Terapeuci przekonali go, że robótki na drutach złagodzą jego ciągle rozdrażnienie, więc Harkin robi na drutach, używa jednak wyłącznie żółtej włóczki, ponieważ tylko taką dysponuje stan po skonfiskowaniu magazynu nielegalnej firmy importowej z Gary, który miał wysłać skrzynie z tym towarem do Detroit.

Dziewiarskie dzieła Harkina są beznadziejne. Żółta czapeczka dla Brada ma się nijak do czasów jego aksamitnych marynarek i jedwabnych szali.

– Słuchaj, Brad, podobno próbujesz przekonać władze stanowe, żeby znowu pozwoliły ci się ubiegać o warunkowe – mówi Liu.

Brad wpatruje się tylko w niego. Do mnie zwrócił się bokiem i odchyła się na krześle, jak gdybym dźgała go ostrzem miecza.

– Przecież wiesz, Brad, jaka była umowa. Zgadzasz się na dożywocie bez warunku, a my nie domagamy się kary śmierci. Wiesz, że za te pokrojone dziewczyny, martwe dzieci, wszystkich, których znaleźliśmy w kamieniołomie i gdzie indziej, dostałbyś czapę dwadzieścia razy. Pamiętasz naszą umowę, Brad. Pamiętasz?

Brad krzywi twarz.

– Po co w ogóle chcesz stąd wychodzić? – wtrącam się. – Żle ci tutaj?

– Wal się i twoją wredną panterzą sukę – odwarkuje do Liu Brad, ciągle odsuwając się ode mnie.

Liu i ja patrzymy na niego i czekamy. Po chwili rzeczywiście dorzuca wysokim głosem:

– Ha, ha, ha, ależ jesteście zabawni.

– Brad, słyszałam, że zająłeś się ogrodnictwem – mówię i kładę dłoń na stole w sposób, który ma go zmusić, żeby w końcu na mnie popatrzył.

– Co ci do tego, suczko? – Obrzuca wzrokiem stół, ciągle bojąc się odwrócić głowę w moją stronę i spojrzeć mi prosto w oczy.

Odpinam jedną z ośmiu kieszeni kurtki i wyjmuję liść w foliowej torebce.

– Podobno zająłeś się ogrodnictwem. Jakiś rok temu, zgadza się? Założyłeś sobie małą działkę w więziennym ogrodzie, co?

– Och, jaka mądra. Zwerbowałaś tych wszystkich zbirów, żeby szpiegowali takiego biedaczka jak ja.

– Nie powiedziałabym, że to zbirzy. Powiedziałabym, że to przyjaciele – odpowiadam bardzo poważnie.

– Posłuchaj, Brad, posłuchaj uważnie – radzi Liu.

Brad wciska się głębiej w krzesło.

– W każdym razie wiesz, co to jest? – pytam, kładąc torebkę z liściem na porysowanym blacie i podsuwając ją Bradowi. Liść jest podłużny, spiczasty, skórzasty i cienki, ma głęboki ciemnozielony kolor.

– Hmm – mówi Brad. Krzyżuje i prostuje nogi, podpira głowę prawą, potem lewą ręką. Wierci się nerwowo. Zmarszczki na twarzy pogłębiają się, ukazując jego wewnętrzne opory i lęk.

– Wyhodowałam to sama, Brad. Pojechałam aż na południe Chin, żeby zdobyć nasiono, wszystko specjalnie dla ciebie, Brad. Tylko dla ciebie.

Wzdryga się.

– To wyjątkowa krzyżówka; w części oleander, w części inny gatunek, który rośnie wśród traw w odległych zakątkach Azji. Jedna z najbardziej śmiertelnych i jadowitych roślin znanych ludzkości. Wystarczy kęs, a twoje serce eksploduje. – Ustami imituję wybuch i trzepoczę palcami w powietrzu, pokazując na migi rozpryski fajerwerków. – Bum – dodaję, po czym kładę dłoń na spokojnie bijącym sercu.

Strażnik stojący za Bradem tężeje i odchodzi do kolegi, dając do zrozumienia, że nie chce słyszeć tej części rozmowy, ale równocześnie dając do zrozumienia, że nie zamierza jej przerywać.

Nachylam się bliżej i szepczę do Brada ociekającym słodyczą głosem, jak gdybym go próbowała uwieść, co zresztą jest zupełnie nierealne:

– Wystarczy rozkruszyć liść i wsypać ci do błyskawicznego purée, kiedy tylko zechcę. Może tu, a może, gdyby jakimś cudem udało ci się stąd wyjść, w jakiejś zawszonej norze, gdzie na pewno trafisz i będziesz ledwie wegetował na bezrobociu. Podobno ta hybryda wywołuje taki potworny ból, jakbyś miał w przełyku płonąca benzynę, jakby w piersi szalał tajfun i lawa spływała do trzewi, które rozrywają się od środka. Nikt nie będzie sobie zawracał głowy żadnym dochodzeniem ani badaniem toksykologicznym, Brad. Uznają, że to zawał, i załatwione. Ta roślina, ten liść, jest bardzo podobna do tego, co uprawiasz w swoim ogródku. Łatwo zamaskować.

– Ty suko – wyrzuca z siebie Brad, w końcu obracając na mnie wściekły wzrok.

Właśnie dla tej chwili tu przyjechałam. Dla chwili, do której nie chciałam dopuścić. Chwili, gdy mogę mu przypomnieć.

– Żyjesz tylko z mojej łaski. Nie zapominaj o tym – mówię i dźgam palcem wskazującym torebkę z liściem śmierci.

Liu się uśmiecha. Biorę ze stołu torebkę i powoli chowam do kieszeni.

Oczywiście, że mogłabym zabić Brada na sto tysięcy różnych sposobów. Ale jego uśmiercenie nie było zasadniczym celem ani moim, ani Liu. Priorytetem na naszej liście Rzeczy, które Trzeba Zdażyć Zrobić Bradowi, jest troska o to, aby, jak to ujął Liu, „spędził resztę życia w straszliwych cierpieniach i najgłębszym upokorzeniu”.

Kiedy się dowiedziałam, że Brad z zapalem zajął się uprawą roślin, zapisał się na więzienny kurs ogrodnictwa, zrywał się z łóżka wczesnym rankiem, żeby grabić i pielic grządki, przy czym podobno radośnie pogwizdywał, pozwoliłam mu się nacieszyć nowym hobby przez rok. Chciałam, żeby przeżył naprawdę bolesną stratę. Wybrałam trujący liść, żeby zabolało, żeby poczuł strach, który będzie mu przypominał o śmierci, ilekroć wyjdzie do swojego idiotycznego ogródka półtora na półtora metra, by popatrzeć na róże i polne kwiaty, i zobaczy jeszcze jeden liść. Mogłabym podkreślić zabawę, przesyłając mu przez strażników duży wybór roślin z naukowym opisem ich trującego działania – żadna nie byłaby naprawdę trująca, bo na pewno nie dałabym mu do ręki broni. Z jego żalosego ogródka wkrótce zostałyby tylko ziemia i dmuchawce i znowu nie miałby czego wyczekiwać.

Niektórym ofiarom zależy na definitywnym wymierzeniu sprawiedliwości; domagają się kary śmierci albo udzielają przebaczenia. A mnie najbardziej odpowiada właśnie to. Inni, tacy jak ja, wołają przez bardzo długi czas nacierać na wszystkich frontach, próbując rzeczywiście zadośćuczynić zasadzie „oko za oko”. Brad miał na koncie tak makabryczne zbrodnie, że mogłabym podpalić go żywcem i wyciągnąć z płomieni w ostatniej chwili, żeby zdażył się przypiec, ale żaden narząd nie został nieodwracalnie uszkodzony. Moim zdaniem jednak nawet to nie wyrównałoby rachunków.

Liu pytająco kiwa głową, upewniając się, czy skończyłam. Potakuję również skinieniem głowy, żeby na odchodnym oddać mu głos. Chrząka, by przerwać mój pojedynek na nienawistne spojrzenia z Bradem, po czym wstaje i oznajmia:

– To tyle. Siedź tu spokojnie, a niedługo, jeżeli będziesz grzeczny i przestaniesz się starać o zwolnienie warunkowe, którego zresztą i tak nigdy się nie doczekasz, umrzesz sobie śmiercią naturalną albo Harkin cię udusi. Jedno z dwojga. A wtedy twoja kara w tym życiu się zakończy. – Liu tłumi śmiech, ale trącam go w udo i oboje chichoczymy porozumiewawczo. – Chociaż jestem prawie pewien, Brad – dodaje Liu – że diabeł ma co do ciebie jakieś wspaniałe plany.

– Och, na pewno – przytakuje, myśląc o Dorothy, Mozim i wszystkich dziewczynach i dzieciach w kamieniołomie, które nie przeżyły.

* * *

Liu i ja wracamy do „15/33”, słuchając jego playlisty złożonej z country i utworów Raya LaMontagne’a, idealnego połączenia Północy z Południem. Liu nuci słowa piosenki *Trouble*, które działają na mnie jak uspokajający balsam. Znamy się tak długo, że nie musimy rozmawiać; on nie musi powstrzymywać się od śpiewania w mojej obecności.

– Słuchaj, Liu, powinniście dzisiaj zostać z Sandrą na kolacji. Lenny znowu robi burritos.

– Futbolówki? Jasne. Chętnie.

– Aha. A potem zabierzmy się do tych próbek ziemi ze sprawy na uniwersytecie. Niemożliwie, żeby te ziarna i kamyki pochodziły z Massachusetts.

– Jak sobie życzysz, Liso. Jesteś szefem – odpowiada Liu i puszcza do mnie oko, po czym wraca do terapeutycznego głosu i słów LaMontagne’a.

6 *Put Your Lights On* Carlosa Santany z udziałem Everlasta.

PODZIĘKOWANIA

Pragnę gorąco podziękować mojej rodzinie, na której wsparcie zawsze mogę liczyć, za to, że dała mi czas i dopingowała mnie do pisania. Mojemu mężowi, Michaelowi, który stale przynosi mi kawę do pokoju, w którym pracuję – bez ciebie nigdy nie udałooby mi się prawie niczego skończyć. Dajesz mi siłę, żeby się nigdy nie poddawać. Mojemu synowi, Maxowi, który, choć jest jeszcze taki mały, znajduje sposoby, aby mnie wesprzeć na duchu, i który nieświadomie wprowadził „miłość” wszędzie tam, gdzie to uczucie pojawia się w tej historii. Moim rodzicom, Richowi i Kathy, którzy czytają każdy szkic wszystkiego, co piszę, i nie tylko mobilizują mnie do pracy, ale dzielą się ze mną niezwykle cennymi opiniami. Moim braciom, Adamowi, Brandtowi i Mike’owi: czuję się pewniej na tym świecie, kiedy wiem, że zawsze mogę liczyć na waszą pomoc. Beth Hoang, kuzynce, która jest mi bliska jak siostra: bez twoich uwag redakcyjnych i surowej, wymagającej miłości na pewno nie doprowadziłabym książki do jej ostatecznej formy. Wszystkim moim przyjaciółom i krewnym: dziękuję, że nigdy nie zostawiliście mnie z tym samej. Szczególną wdzięczność wyrażam mojemu bratu, Michaelowi C. Capone, znakomitemu raperowi i bluesmanowi. Słowa „Skup się. Proszę. Skup się. Oddychaj”, które pojawiają się w powieści, pochodzą z jego piosenki *Hate What’s New Get Screwed By Change*. Muzyka Mike’a jest muzą mojego pisarstwa i dziękuję mu za wszystkie teksty.

Jako laik opierałam się na wielu źródłach, wyjaśniając tak złożone tematy jak neuroplastyczność krosmodalna, odmienne przetwarzanie krosmodalne i inne naukowe problemy, których nie potrafię pojąć. Bezcenną pomocą okazały się następujące publikacje: *Super Powers for the Blind and Deaf*, Mary Bates, „Scientific American”, 18 września 2012; *Altered Cross-Modal Processing in the Primary Auditory Cortex of Congenitally Deaf Adults: A Visual-Somatosensory MRI Study with a Double-Flash Illusion*, Christina M. Karns, Mark W. Dow i Helen J. Neville, „The Journal of Neuroscience”, 11 lipca 2012.

Mojej agentce, Kimberley Cameron, dziękuję za to, że dała mi szansę. Dzięki, że poświęciłaś czas, by przejrzeć kupę sentymentalnych bzdur, zadzwoniłaś i odmieniłaś moje życie. Jesteś uosobieniem taktu i wdzięku, to prawdziwa radość pracować z tobą. Dziękuję Oceanview Publishing, Bobowi i Pat Gussinom, za to, że dali szansę „15/33”, za entuzjazm, bezcenne rady i wsparcie. Dziękuję całemu zespołowi Oceanview, Frankowi, Davidowi, Emily, za wsparcie i przyjęcie do rodziny Oceanview.

Carpe diem, każdego dnia

Spis treści

ROZDZIAŁ 1. CZWARTY I PIĄTY DZIEŃ W NIEWOLI ROZDZIAŁ 2. AGENT SPECJALNY ROGER LIU ROZDZIAŁ 3. SZESNASTY I SIEDEMNASTY DZIEŃ W NIEWOLI ROZDZIAŁ 4. AGENT SPECJALNY ROGER LIU ROZDZIAŁ 5. DWUDZIESTY DZIEŃ W NIEWOLI ROZDZIAŁ 6. WIELE DNI, MONOTONIA ROZDZIAŁ 7. AGENT SPECJALNY ROGER LIU ROZDZIAŁ 8. DWUDZIESTY PIĄTY DZIEŃ W NIEWOLI ROZDZIAŁ 9. TRZYDZIESTY DZIEŃ W NIEWOLI ROZDZIAŁ 10. TRZYDZIESTY DRUGI DZIEŃ W NIEWOLI ROZDZIAŁ 11. AGENT SPECJALNY ROGER LIU ROZDZIAŁ 12. DZIEŃ, W KTÓRYM ROZDZIAŁ 13. AGENT SPECJALNY ROGER LIU ROZDZIAŁ 14. CIĄG DALSZY DNIA TRZYDZIESTEGO TRZECIEGO ROZDZIAŁ 15. AGENT SPECJALNY ROGER LIU ROZDZIAŁ 16. CIĄG DALSZY DNIA TRZYDZIESTEGO TRZECIEGO, IDŹ ROZDZIAŁ 17. AGENT SPECJALNY ROGER LIU ROZDZIAŁ 18. CIĄG DALSZY DNIA TRZYDZIESTEGO TRZECIEGO ROZDZIAŁ 19. AGENT SPECJALNY ROGER LIU ROZDZIAŁ 20. CIĄG DALSZY DNIA TRZYDZIESTEGO TRZECIEGO ROZDZIAŁ 21. AGENT SPECJALNY ROGER LIU ROZDZIAŁ 22. CIĄG DALSZY DNIA TRZYDZIESTEGO TRZECIEGO ROZDZIAŁ 23. AGENT SPECJALNY ROGER LIU ROZDZIAŁ 24. CZWARTA GODZINA PO ZDARZENIU ROZDZIAŁ 25. PROCES ROZDZIAŁ 26. ADAPTOWANE WIEZIENIA PODZIĘKOWANIA

